

**BARBARA McMAHON**

**Znalazłem  
dom**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hawk Blackstone zatrzymał się w drzwiach restauracji. Nim wszedł do środka, uważnie obejrzał całe wnętrze. Trudno pozbyć się starych nawyków. Zdarzało mu się bywać w miejscach, w których należało zachować ostrożność. Dlatego lubił zorientować się, kto jest wewnątrz i gdzie są wyjścia.

Omiótł spojrzeniem siedzących przy stolikach i przy długim kontuarze. Kowboje, ranczerzy, komiwojażerowie, jedna czy dwie kobiety. Tak samo jak we wszystkich miastach, w których żył do tej pory. Śniadanie jak setki innych w jego życiu.

Skrzywił twarz i skierował się do kontuaru. Bolały go wszystkie kości. Zawsze siadał przy kontuarze. Zwykle bywała tam lepsza obsługa. I mógł przyglądać się barmance. Miałby samotnie siedzieć przy stoliku!

Wybrał jedno z czterech wolnych miejsc. Tuż obok jedynej przy barze kobiety. Z drugiej strony starszy mężczyzna czytał gazetę nad filiżanką kawy. Obrzucił sąsiadkę krótkim spojrzeniem. Usiadł ciężko i sięgnął po kartę. Poruszał się powoli i ostrożnie. Każdy ruch przeszywał mu bólem całe ciało. Omal nie jęknął głośno, kładąc dłoń na jadalospisie. Poranione palce bolały okropnie. Potłuczone i pokaleczone, były cichym świadectwem walki, którą stoczył poprzedniego dnia. Bójka. Cóż za idiotyczny sposób świętowania trzydziestych urodzin! Kiedy wreszcie uda mu się wyzbyć tego przyzwyczajenia, by najpierw nacierać pięściami, a dopiero potem zadawać pytania?!

- Jak wygląda ten drugi? - usłyszał. Rudowłosa barmanka postawiła przed nim filiżankę z kawą. Uśmiechała się przyjaźnie.

- Znacznie gorzej - mruknął. Uśmiechnął się, pomimo bólu obitych szczęk. Muszę kiedyś nauczyć się panować nad sobą, pomyślał.

Jak setki razy przedtem. A przecież za każdym razem dłużej musiał dochodzić do siebie. Do diabła! Czyżby się starzał?!

Trzydzieści lat! Wprost nie mógł uwierzyć, że osiągnął taki wiek. Nie podobało mu się to, lecz cóż mógł na to poradzić? Czym mógł poszczycić się po tych trzydziestu latach? Dom? Nie było miejsca, które mógłby nazwać w ten sposób. Pozostało mu jedynie trochę pieniędzy w banku.

Poczuł raczej, niż zobaczył, że siedząca obok dziewczyna przygląda mu się. Wolno odwrócił się ku niej. Była naprawdę ładna. Zapatrzył się na nią, zapomniawszy nawet o głodzie. Chyba nie jest jeszcze aż tak stary. Dziewczyna była młoda i świeża, lecz wcale mu to nie przeszkadzało. Długie, kasztanowe włosy zaplecione w war-kocz połyskiwały w słońcu. Szare oczy kryły się za niezwykle ciemnymi rzęsami. Mocna opalenizna i skóra schodząca trochę z nosa sprawiały, że wyglądała jeszcze młodziej. Uśmiechnął się przyjaźnie, gotów wdać się w pogawędkę, lecz ona odwróciła się szybko.

- Co podać? - ponagliła go barmanka.

Złożył zamówienie i sięgnął po filiżankę z kawą. Dziewczyna obok siedziała nieruchomo. Dziwne. Dziewczyna, sama w barze, tak wcześniej rano. Przyglądał się jej kątem oka. Miała na sobie spraną flanelową koszulę i dżinsy. Nie widział stóp, lecz był pewien, że miała na nogach kowbojskie buty. Tylko takie pasowały do całości obrazu. Na oparciu jej stołka wisiał zakurzony stetson.

Odsunął własny kapelusz na tył głowy i rozejrzał się dookoła. Może była córką ranczera, czekającą na ojca? Nie moja sprawa, pomyślał. I tak dla niego była za młoda. Wolał raczej nieco starsze.

Po śniadaniu zamierzał pójść do sklepu i sprawdzić, czy na tablicy ogłoszeniowej nie ma jakiejś oferty pracy. Bójka nie tylko naruszyła mu rękę i całe ciało. Skończyła także jego pracę na farmie „Circle J”. Po raz piąty w ciągu czterech lat wyleciał z pracy za bijatykę. Czy nigdy nie nauczy się panować nad sobą? Z okazji urodzin zorganizował pokazowe pijaństwo. Wtedy to właśnie pięściami skwitował złośliwe uwagi Jasona Johnsona. Powinien był znaleźć sobie przeciwnika innego niż syn szefa.

Wypił kolejny łyk kawy. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz

musiał znaleźć pracę. Może uda mu się tutaj, w miasteczku Tagget w stanie Wyoming. A może nie. Wtedy pojedzie dalej.

- Proszę, kowboju. Jeśli będziesz chciał jeszcze czegoś, zawołaj. - Barmanka postawiła przed nim pełny talerz i wsunęła pod brzeg rachunek. Dolała mu kawy i szybko ruszyła do następnego klienta.

- Czy mogę prosić o sól? - powiedział do sąsiadki. Podsunęła mu solniczkę i prędko cofnęła rękę. Jakby bała się, że jej dotknie.

- Ładne miasto - zagaił. Może jej ojciec słyszał o jakiejś pracy? Wzruszyła ramionami. Nie odezwała się. Nie przerwała jedzenia. Jakby w ogóle go nie dostrzegała.

Jego ciekawość rosła. Nie umiał postępować z kobietami. Nie ufał im. Podejrzliwość ową zawdzięczał matce. Tym razem poczuł jednak ochotę, by przekonać się, do czego będzie umiał skłonić tę małą. Czy zdoła wciągnąć ją w rozmowę? A może zabroniono jej rozmawiać z obcymi?

Normalnie dałby sobie spokój. Lecz tym razem było inaczej. Dziwny impuls kazał mu brnąć dalej.

- Od dawna mieszkasz w tych stronach? - spytał.

Popatrzyła nań podejrzliwie i sięgnęła po filiżankę z kawą.

- Przez całe życie - odparła.

Niskie, matowe, wibrujące witalnością i... seksem brzmienie jej głosu zmroziło Hawka. W jego wyobraźni pojawiły się wizje pełne namiętych pocałunków i rozrzuconej pościeli. Zapragnął wciąż słuchać jej głosu.

- W mieście czy na ranczu? Po stroju sądząc, chyba raczej na ranczu.

- Zgadza się.

Bardzo rozmowna dziewczyna, pomyślał.

- Być może mogłabyś mi pomóc... - zaczął.

W tym właśnie momencie zwalisty kowboj zatrzymał się tuż obok. Chwytał jej warkocz i zaczął nim targać. Dziewczyna szarpała się rozpaczliwie.

- Odczep się, Brent - rzuciła głosem ochryłym z wściekłości. Gniewne ogniki zapaliły się w jej oczach.

- Hej, hej, słodziutka! Może umówisz się ze mną na sobotę, co? Potanczmy, wypijemy kilka piw, a potem pojedziemy do mnie. Raniutko odwozę cię do domu.

Hawk dostrzegł jego pożądlive spojrzenie. Poczuł ogarniającą go wściekłość. Zapragnął rozkwasić tamtemu jego lubieżną gębę, walnąć go pięścią w nos i otworzyć nim drzwi.

- Idź sobie. Nie jestem zainteresowana. - Dziewczyna pochyliła się nad talerzem.

- Daj spokój, słodziutka. Mogłaś z innymi, to możesz i ze mną - prawie zaskomlał natręt.

Położył dłoń na jej ramieniu. Szarpnęła się gwałtownie. Hawk zauważył rumieniec zażenowania na jej policzkach. Wciąż wpatrywała się w talerz.

Hawk nie wytrzymał. Nie zastanawiając się, zerwał się ze stołka i stanął przed intruzem. Popatrzył na tamtego z góry, z trudem hamując wściekłość.

- Ta pani powiedziała, żebyś sobie poszedł. Radzę ci usłuchać. Natychmiast! - Odruchowo zacisnął pięści. Ból przeszył mu poranione palce. Ostatnią rzeczą, o której marzył, była kolejna bijatyka. Ale ten prostak przekroczył wszelkie granice.

Zrobiło się cicho. Nieruchome spojrzenia wszystkich obecnych zawisły na Hawku i Brennie. Na mgnienie oka gniew rozbłysnął w oczach rywala i zaraz zgasł. Rzucił okiem na dziewczynę, potem spojrzął na Hawka.

- Ach, więc to tak - rzucił. - Teraz nie moja kolej. - Powolnym krokiem obszedł Hawka i ruszył do wyjścia.

Hawk potoczył po sali zamglonym wściekłością wzrokiem. Wszyscy obecni natychmiast odwrócili oczy. Po chwili w lokalu zapanował zwykły gwar.

- Dziękuję - usłyszał - ale to naprawdę nie było konieczne. Umieć dać sobie radę. - Dziewczyna spojrzała nań hardo.

- Nie znoszę, gdy mężczyzna zaczepia kobietę. - Hawk wypił łyk kawy. Uspokajał się powoli.

A przecież kilka chwil wcześniej przyrzekał sobie, że zacznie bardziej panować nad sobą.

- Nazywam się Amanda Williams - powiedziała cicho dziewczyna.

- Hawk Blackstone.

Po raz pierwszy popatrzyła na siedzącego obok niej mężczyznę. Jego wcześniejsze próby rozpoczęcia rozmowy uważała za trochę inny niż zwykle sposób nagabywania jej. Teraz przyszło jej na myśl, że mogła być w błędzie.

Jego lewe oko otaczał wielki siniak, policzek był obrzmiały i spuchnięty. Mężczyzna koniecznie potrzebował golenia. Pod flanelową koszulą prężyły się potężne muskuły. Widać było, że nawykł do ciężkiej pracy. Jego strój natychmiast zdradzał, że miała do czynienia z kowbojem lub z robotnikiem rolnym.

Już wcześniej przyjrzała się jego dłoniom. Znać było na nich stoczoną bardzo niedawno walkę. Tym bardziej ujęło ją to, że gotów był bić się w jej obronie z Brentem Marshalem. Nie jest łatwo stanąć do walki, gdy nie zabiżniły się jeszcze wcześniejsze rany.

Poczuła dziwne skurcz serca. Nigdy przedtem nikt nie stanął w jej obronie. Była zdumiona, że zrobił to ten obcy. Zdumiona, poruszona i zakłopotana.

Zapewne nie miał pojęcia, kim była. A może nie dbał o to. Poczuła dziwne wzruszenie. Za sprawą przybysza, którego zapewne już nigdy nie spotka, zaznała tego wymarzonego uczucia.

Z ciężkim westchnieniem pochyliła się nad talerzem z omletem. On chciałby pewnie porozmawiać, lecz ona pragnęła opuścić restaurację najszybciej, jak tylko można. Nie powinna była przyjeżdżać na śniadanie do miasta. Wszystko co się zdarzyło, stało się z jej winy. Powinna była zjeść w domu. Ale już od wielu tygodni była bardzo zapracowana. Tak bardzo chciała choć raz zjeść posiłek, którego nie musiała sama przygotowywać. Zwykle gdy opuszczała ranczo, jechała do Thermopolis, nie do Tagget. Ale to było ponad pięćdziesiąt kilometrów. Tyle tylko, że w Thermopolis nigdy nie przytrafiało się jej coś takiego. W Tagget nie mogła być pewna niczego. Najgorsze, że nigdy nie było wiadomo, co ją spotka i z której strony. Jadała już kiedyś w tym barze i nic złego się nie zdarzyło. A tym razem... Może dlatego, że wtedy nie była to pora śniadania i w lokalu nie

było tylu kowbojów. Po prostu Brent miał widownię i mógł się popisać.

Westchnęła, dopiła kawę i sięgnęła po rachunek. Skinęła głową obcemu i poszła do kasy. Miała jeszcze mnóstwo pracy do wykonania. Nie miała czasu martwić się ordynarnymi zaczepkami Brenta. Poza tym powinna była już do tego przywyknąć. Od sześciu lat nic się nie zmieniło, więc czemu nagle miałoby być inaczej?

Wsiadając do furgonetki, spojrzała w okno restauracji. Na Hawka Blackstone'a. Poczowała ukłucie w sercu. Włączając silnik, zastanawiała się, kim był i czy spotka go jeszcze kiedyś. Wspaniale byłoby pogawędzić z nim przez kilka chwil. Wieki całe nie rozmawiała z kimś takim jak on. Prawdę mówiąc, oprócz Pepe'a i Walta nie rozmawiała z żadnym dorosłym mężczyzną.

Amanda pojechała do składu drewna. Potrzebne jej były nowe słupki ogrodzeniowe. Gdy objeżdżała ostatnio granice posiadłości, zauważyła, że wiele słupków wymaga wymiany. Najwięcej na granicy z terenami należącymi do Toma Standisha. Trzeba też było naciągnąć nowy drut.

Po drodze zatrzyma się przed sklepem. Musiała kupić trochę rzeczy dla żrebnej klaczy. Miała nadzieję, że nie spotka jej już nic gorszego niż zaczepki Brenta. Ale przecież nie miało sensu jechać do Thermopolis tylko z powodu klaczy. Chciałaby być już w domu. Tylko tam czuła się bezpiecznie.

Może powinna poddać się, ustąpić? Sprzedać ranczo i zacząć wszystko od nowa gdzieś, gdzie nikt jej nie zna?

Tylko dlaczego?! Nie zrobiła przecież nic złego. Tu był jej dom.

Nie po raz pierwszy toczyła ze sobą takie spory. I tym razem także niczego to nie mogło zmienić. Ranczo „Królewski Poker” było jej własnością, z całym dobrodziejstwem inwentarza. I nie zamierzała pozbywać się go tylko dlatego, że chciał tego Bobby Jack Pembroke czy jego kłamlivi przyjaciele. Nie ustąpi! Choćby Robert Pembroke senior miał nękać ją nadal.

Pół godziny później Amanda stała przed sklepem. Z kieszeni wyjęła kartkę, na której wypisała tekst ogłoszenia. Za każdym razem,

gdy ona sama lub któryś z jej pracowników byli w mieście, przypinali na lokalnej tablicy ogłoszeniowej przed sklepem ofertę pracy. Podejrzewała, co prawda, że właściciel sklepu za każdym razem zrywał jej ogłoszenia, nim zdążyła dojechać do domu, ale może pewnego dnia nie będzie mu się chciało i ktoś zdąży je przeczytać. Rozpaczliwie potrzebowała pomocy.

Westchnęła głęboko, weszła do środka i ruszyła w lewo, ku korkowej tablicy. Stał przed nią Hawk Blackstone i czytał ogłoszenia. Zawahała się przez chwilę, ale podeszła bliżej.

- Cześć - powiedziała cicho. Siedząc w barze, nie zorientowała się, że ten mężczyzna jest aż tak wysoki. Błękitne oczy lśniły, gdy patrzył na nią z góry. Uśmiechnął się serdecznie, a jej serce zabiło mocniej.

- Serwus. - Hawk dwoma palcami dotknął runda kapelusza.

Amanda stała przed nim, rumieniąc się jak dorastająca panienka i starając się zapanować nad sobą. Trudno było. Zrobiło się jej gorąco, gdy zmierzył ją wzrokiem. To dziwne uczucie zaskoczyło ją. Sposób, w jaki na nią patrzył - nie.

- Miałem rację co do butów.

- Co? - Amanda spodziewała się czegoś całkiem innego.

- W barze nie widziałem twoich stóp, ale pomyślałem, że nosisz buty z cholewami. Gdy powiedziałaś, że mieszkasz na ranczu, byłem tego prawie pewien. Ale miło jest przekonać się, że miało się rację. - Hawk był z siebie bardzo zadowolony.

Kiwnęła głową, podeszła do tablicy i przypięła ogłoszenie. Tak bardzo chciała jeszcze przez chwilę z nim porozmawiać, lecz poczuła nagle zupełną pustkę w głowie. Szybko więc ruszyła między półki z towarami. Nie powinna zwlekać już dłużej. Trzeba załatwić sprawunki i wracać do domu. Po co narażać się na nowe kłopoty?

Obładowana zakupami, ruszyła w głąb sklepu. Joe Stevens, właściciel, rozmawiał przy ladzie z dwoma mężczyznami. Znała ich. Pracowali na ranczu „Bar M Bar”. Zdenerwowała się. Po raz drugi tego dnia będzie musiała radzić sobie z intruzami.

Przez moment chciała zostawić torby z zakupami i przysłać Wal-



ta, żeby je zabrał. Ale przecież byłoby to głupie. Nie wolno marnować czasu. Zacisnęła zęby, podeszła do lady i położyła paczki. Szperała w portmonetce, nie patrząc na stojących obok mężczyzn.

- Proszę, proszę! Kogóż tu mamy?! - zawołał Rolly Owens, szturchając kumpla w bok. - To nasz szczęśliwy dzień, Jim.

- Właśnie. Znudzili ci się już staruszkowie, złotko? - Jim ujął ją za ramię.

Amanda cofnęła się o krok, strącając jego rękę.

- Trzymaj łapy przy sobie - powiedziała, patrząc prosto w oczy Jimowi. Potem spojrzała na milczącego właściciela sklepu. Czemu nie wyrzucisz stąd tych drani? pomyślała.

- Za wszystko razem... pięćdziesiąt cztery dolary i osiemdziesiąt sześć centów. Płaci pani gotówką? - zapytał Joe powoli, starannie unikając jej wzroku.

- Oczywiście - mruknęła. Każdy w miasteczku kupował na kredyt. Tylko nie Amanda Williams. Ona tylko za gotówkę. Powinna była pojechać do Thermopolis. Nie musiała przecież dawać zarabiać takiemu typowi. Odliczyła należność i rzuciła pieniądze na ladę. Odwróciła się i stanęła zaniepokojona. Obaj kowboje zbliżali się do niej. Nie miała złudzeń, co ją czeka.

• - Wybierasz się dokądś, laleczko? - spytał Jim, zsuwając kapelusze do tyłu.

- Coś ty, Jim! Przecież nie pójdzie sobie, dopóki nie zaczęła się zabawa, prawda, maleńka?

- Przepraszam, chciałbym przejść - odezwał się Hawk. Podszedł cicho i stał nieruchomo na szeroko rozstawionych nogach tuż za dwoma mężczyznami. Tylko pięści zaciskały mu się i otwierały. Co się dzieje z facetami w tym mieście? pomyślał. Czy wszystkie kobiety traktują w ten sposób... czy tylko tę jedną? I dlaczego? Z tego, co zaobserwował do tej pory, nie wynikało, by ta dziewczyna dała jakikolwiek powód do zacepek.

- To nie pańska sprawa, proszę pana... Proszę się nie wtrącać - warknął Rolly i rzucił Hawkowi groźne spojrzenie.

- Chciałbym porozmawiać z tą panią. Ona szuka pracownika, a ja szukam pracy.

Obaj mężczyźni odwrócili się jak na komendę i wlepili w niego wzrok. Joe też. I Amanda. Zapadła cisza.

- Chciałbym się zgłosić - powiedział Hawk, machając zdjętą z tablicy ogłoszeniowej kartką.

- Lepiej niech pan spróbuje w „Bar M Bar”. To największe ranczo w okolicy - powiedział Jim, spoglądając na Amandę. - Nie musi pan pracować w „Pokerze”.

Hawk bez trudu zrozumiał ukryte ostrzeżenie.

- Sam decyduję o sobie - powiedział cicho. Napięcie rosło. Tamci dwaj wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zastanawiając się, co powiedzieć.

Amanda wykorzystała okazję. Przecisnęła się między swoimi prześladowcami i stanęła przed Hawkiem Blackstone'em.

- Potrzebuję robotnika do wszystkiego. Do koni i krów. I do reperacji ogrodzenia. Trzeba jeszcze kosić trawę, czyścić wodopoje i zajmować się chorymi zwierzętami. Każdej wiosny trzeba też znakować bydło. I pomagać, gdy któraś z krów będzie rodzić.

- Przez całe życie mieszkalem na ranczach i potrafię zrobić to wszystko. Szybciej i lepiej niż ktokolwiek inny.

Omam nie parsknęła śmiechem. Lecz nagle uświadomiła sobie, że prawdopodobnie powiedział prawdę. Westchnęła ciężko. Nozdrza wypełnił jej jego zniewalający zapach. Zastygła przerażona. Nie pragnęła takich podniet. Nie potrzebowała kłopotów z mężczyznami. Zresztą, nawet nie pamiętała już, kiedy ostatnio przytrafiło się jej coś takiego.

Rozpaczliwie natomiast potrzebowała pomocy, A on był pierwszym człowiekiem, który odpowiedział na jej ogłoszenie. Chociaż rozwieszała je już od roku. Tylko czy zatrudnienie go nie będzie zbyt niebezpieczne? Mógłby zamieszkać w baraku wraz z Waltem i Pe-pe'em. Pracy dałaby mu tyle, że byłby zbyt zmęczony, by zrobić cokolwiek innego. A poza tym, jak dotąd, był niezwykle wobec niej uprzejmy.

- Od kiedy mógłbyś zacząć? - spytała, starając się odpędzić niepokojące myśli. Naprawdę potrzebowała pracownika.

- Choćby od dziś. - Zabrał z lady jej pakunki i ruszył ku

drzwiom. - Zostawiłem rzeczy na przystanku autobusowym. Mam tam też listę moich poprzednich miejsc pracy. Będiesz mogła zatelefonować i sprawdzić moje referencje.

- Niech pan tego nie robi - odezwał się Roiły. - Będzie pan tego cholernie żałował.

- Teraz czy później? - zapytał Hawk z ponurym uśmiechem. Nie zostawił cienia wątpliwości, że nie życzy sobie, by ktokolwiek wtrącał się w jego sprawy.

Roiły spojrział na kolegę, potem rozejrzał się dookoła.

- Będę czekał - powiedział Hawk. Przytknął palec do ronda kapelusza i wyszedł na zewnątrz.

- Przyjechałeś autobusem? - spytała Amanda, gdy już siedzieli w jej furgonetce.

- Tak. Dziś rano. - Hawk z zainteresowaniem przyglądał się głównej ulicy Tagget. Do złudzenia przypominała główne ulice wszystkich miasteczek, w których mieszkał do tej pory. Domy, w większości stare, zbudowane były z drewna w stylu Dzikiego Zachodu. Choć trafiały się też i nowsze, ze szkła i aluminium. Ulica była czysta i zadbana. Gdzieś niedaleko stał na podjeździe jakiś samochód.

Poczuł na sobie jej wzrok.

- Chyba powinienem odświeżyć się nieco, prawda? - powiedział z uśmiechem.

Jeszcze raz spojrzała w jego stronę. Na pewno powinien się ogolić. Spędził w autobusie całą noc.

- Odbierzemy twoje rzeczy i pojedziemy na ranczo.

Nie minęło dziesięć minut, gdy wyjechali z Tagget drogą wiodącą do rancza „Królewski Poker”. Po lewej leniwie toczyła swe wody rzeka Wind. Świeża, gęsta trawa porastała olbrzymie pastwiska. Czysty błękit nieba zwiastował jeszcze jeden ciepły dzień.

Szybko pokonywali kolejne kilometry. Amanda prowadziła pewnie i spokojnie. Hawk rzucał co pewien czas w jej kierunku zaciekawione spojrzenia. Zaintrygowała go bardziej niż którakolwiek ze znanych mu przedtem kobiet. Zastanawiał się, ile może mieć lat.

- Jesteś uprawniona do zatrudniania pracowników? - spytał leniwie.

Spojrzała nań kątem oka i kiwnęła głową.

- To moje rancho i mogę chyba zatrudniać każdego, kogo tylko zechcę.

Dostrzegła jego zaskoczenie. Co w tym złego, że kobieta jest właścicielką rancho? pomyślała. Potrafi poradzić sobie równie dobrze jak mężczyźni. No, może prawie tak samo dobrze. Lecz gdyby miała więcej fachowej pomocy, pokazałaby, na co ją stać.

- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi tym facetom, których spotkaliśmy w mieście? - spytał.

Wzruszyła ramionami. O tym nie chciała rozmawiać. Wiedziała, że wcześniej czy później i tak Hawk pozna prawdę. Tylko co zdarzy się wtedy? Czy potraktuje ją jak wszyscy mężczyźni z miasta, czy może wyniesie się, zostawiając ją z nie skończoną robotą?

Okaże się wkrótce, pomyślała.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i wzięła głęboki oddech.

- Nie zorientowałeś się, kowboju? W tym mieście traktują mnie jak łatwą panienkę.

- No, dobrze. Spróbujmy jeszcze raz - mruknął.

Zdezorientowana, zamrugała nerwowo powiekami. Spodziewała się zupełnie innej reakcji.

- Nie wierzysz mi? - spytała zakłopotana. Miała przecież w Tagget złą reputację. Nikt nie śmiał wątpić w słowa Bobby'ego Jacka. Ani jego przyjaciół. Jej nie wierzył nikt. Aż tu nagle ten przybysz...

- Słoneczko, jesteś zbyt młoda i niewinna, byś mogła grać tę rolę. Podczas spotkań z tamtymi napalonymi gośćmi w mieście reagowałaś zupełnie inaczej niż którakolwiek ze znanych mi łatwych panienek. A wierz mi, złociutka, znałem ich niemało.

W to akurat mogła uwierzyć. Tak to zwykle bywa, że tacy ludzie jak Hawk mają do czynienia z określonym typem kobiet. I gotowa była iść o zakład, że on szczególnie często. Nawet taki nie ogolony przyprawiał ją o drżenie serca. Jego niebieskie oczy spoglądały w bezchmurne niebo Wyoming jasno i pewnie. Choć przekonała się już, że potrafiły zmrozić jak lód albo rozjarzyć się gorącym płomieniem.

Siedział odprężony, ze skrzyżowanymi nogami. Nie odzywał się. A przecież jego obecność przytłaczała ją.

- Nie mów do mnie: złotko. Nie jesteśmy aż tak zaprzyjaźnieni - powiedziała. Pomyślała, że może popełniła jednak błąd, zatrudniając go.

Spojrzał na nią. Zadrzała. Nie, wcale nie potrzebowała takich przeżyć. Jeśli będzie wypełniał swoje obowiązki, to dobrze, pomyślała. Jeśli nie, wyleję go i już. Nic ich nie łączy. Tylko interesy. Dlaczego jednak pod wpływem jego spojrzenia miękła jej kolana? Nie mogła pozwolić sobie, by sama tylko jego obecność budziła od pięciu lat drzemiące pragnienia. Nie mogła...

Weź się w garść! skarciła się w myślach. Nie można normalnie pracować, jeśli wystarczy spędzić dziesięć minut w jego obecności, by zaczynać zachowywać się idiotycznie. Choćby był księciem z bajki.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przez całą drogę Hawk przyglądał się Amandzie z uwagą. Wciąż nie mógł pojąć, czemu to powiedziała. Nigdy nie spotkał kogoś mniej pasującego do określenia „łatwa panienka”. Wyczuwał pod tą bufonadą głęboką wrażliwość i bezradność. Starła się to ukryć. Lecz jeśli miał rację, to musiała bardzo cierpieć. Była zbyt niewinna, by żyć z takim piętnem. Ciekawe, skąd się to wzięło? Ale tłumaczyło przynajmniej zachowanie mężczyzn w Tagget. Tylko czy oni byli aż tak ślepi?!

Przez krótką chwilę poczuł coś zdumiewającego. Przenikliwy lęk o tę młodą kobietę. Przez całe życie nie troszczył się o nikogo i nie mógł pojąć, skąd wzięło się u niego to niespodziewane uczucie. Zajmij się, do cholery, sobą! pomyślał. Niech ona sama martwi się o siebie. Musi dać sobie radę. W końcu i bez jego pomocy poradziłyby sobie z tymi dwoma facetami w sklepie. Tak twierdziła.

Na samo wspomnienie zakipiał z wściekłości. Poczuł chęć powrotu do miasta i dania im jasno i wyraźnie do zrozumienia, że muszą odczepić się od niej.

Niecierpliwie potrząsnął głową, by odegnąć takie myśli. Przecież to nie jego sprawa. W końcu i tak nie zamierzał zostawać tam długo. Tylko do czasu, gdy uda mu się znaleźć posiadłość, którą będzie mógł kupić. Marzyły mu się wielkie, kwitnące pastwiska gdzieś w Montanie albo w Wyoming, na których pasłoby się bydło krzyżowane według jego pomysłów dla uzyskania wspaniałego mięsa.

Furgonetka zwolniła i skręcili w wąską, pełną wyrw i kolein drogę. Amanda poczuła ulgę. Odzyskała spokój. Dzięki staremu Jonasowi Harperowi to miejsce należało do niej. I nikt nie zdoła go jej odebrać. Żeby kiedyś mogła przekazać je Joeyowi. Wszystkie doznane w mieście przykrości uleciały w niepamięć. Ciepły blask rozjaśnił jej oczy.

- Witaj na ranchu „Królewski Poker”. - Nie tajona duma dźwięczała w jej głosie.

- Niezwykła nazwa - mruknął Hawk, rozglądając się z zainteresowaniem. Pobocza porośnięte były bujną, dawno nie koszoną trawą, ale płoty wzdłuż drogi stały nienaruszone. W oddali dostrzegł zagrodę dla koni.

- To część twojego stada, tak? - spytał.

- Tak. Rasowe quartery . Uwielbiam konie. To stado hoduję od pięciu lat. W ubiegłym roku po raz pierwszy stawałam na aukcji. Całkiem nieźle mi poszło. - Duma i satysfakcja. To słyhać było przede wszystkim w jej głosie. Bo też dobry wynik w całości zawdzięczała sobie. Nic to, że dla dobrej ceny musiała zawieźć konie aż do Cheyenne. Zrobiła to. Jonas śmiał się z jej marzeń, ale nie oponował. Zasmuciła się na chwilę. Tak bardzo chciałaby, żeby Jonas żył i mógł oglądać jej sukces na pierwszej aukcji.

Chciałaby też móc podziękować mu za uratowanie jej życia, za stworzenie jej domu, prawdziwego schronienia.

- Jest też bydło, jak sądzę?

- Oczywiście. Przede wszystkim. Końmi zajmuję się właściwie dla przyjemności. O tym marzyłam najbardziej, a Jonas spełnił moją zachciankę.

- Miłe urozmaicenie.

- Prawdziwa radość. - Amanda uśmiechnęła się. - Miłym urozmaiceniem są pieniądze, które można na tym zarobić.

Pieniądze, których tak potrzebowała, by móc płacić gotówką, bo nikt nie chciał dawać jej niczego na kredyt. Pieniądze, których nigdy nie ulokowałyby w banku Roberta Pembroke'a.

- Skąd wzięła się nazwa rancha?

- Dziadek Jonasa wygrał je w pokera na początku stulecia. Miał wtedy właśnie królewskiego pokera. I to on zmienił nazwę posiadłości. Na pamiątkę. Ale ludzie mówią po prostu „Poker”.

Quarter Horse - bardzo popularna w USA rasa koni wyścigowych.

Najlepsze na krótkich dystansach (przyp. tłum.)

Przez ponad osiemdziesiąt lat ranczo należało do rodziny Jonasa. Teraz jest moje, pomyślała.

Hawk potarł zarośniętą brodę.

- Kto to jest Jonas? - spytał.

Przez chwilę panowała cisza. Amanda w skupieniu kierowała autem, omijając co większe doły i wyboje. Kiedyś będzie miała dość pieniędzy, żeby poprawić tę drogę.

- Jonas Harper. Poprzedni właściciel. Umarł w zeszłym roku.

- To był twój ojciec?

- Nie. Człowiek, z którym żyłam.

Ugryzła się w język, lecz było już za późno. Chciała wyjaśnić wszystko, ale zrezygnowała. W końcu nikogo to nie obchodziło. Czemu więc miałoby to interesować jego. Obcego. Nie musiała wstydzić się związku z Jonaszem Harperem. To on zaoferował jej dom, gdy jej rodzona matka odwróciła się od niej. Nigdy tego nie zapomni! I dlatego za nic miała krążące po mieście plotki. Starła się tylko bywać tam jak najrzadziej.

Człowiek, z którym żyła! Właściwie mógł się tego spodziewać. Zbyt była urocza, by żyć samotnie. Ile też mogła mieć lat? Musiała być jednak starsza, niż wyglądała. Miała skórę delikatną jak płatek róży. Zaprzagnął dotknąć jej, przekonać się. Nie malowała się. Ale wcale nie potrzebowała makijażu. I bez tego jej rzęsy były wystarczająco długie i ciemne. Różowe wargi kusiły, obiecywały rozkoszne ciepło. Z westchnieniem odwrócił wzrok. Potrzebował tej pracy. Marzenia o całowaniu nowej szefowej nie mogły pomóc w jej utrzymaniu. A poza tym wiedział, że nie zniosłby zazdrości, którą poczuł, gdy tylko usłyszał o Jonasie. Ot, po prostu, spotkał kobietę. I nic go nie obchodziło to, co robiła w przeszłości. Ani co będzie robiła w przyszłości.

Była tylko szefową. Nikim więcej. I to tylko do czasu, gdy znajdzie inną pracę.

Zatrzymali się przed starym, drewnianym domem. Amanda wyłączyła silnik i zamyśliła się. Spłowiata farba łuszczyła się ze ścian. Narożniki były wypaczone i poobijane. Dach miał więcej łąt niż dziadowska derka. Ten dom wymagał remontu. Ale należał do niej!

- Mamusiu, mamusiu, wróciłaś! - Siatkowe drzwi trzasnęły po-



tężnie. Jakaś drobna postać przemknęła po schodach w kierunku samochodu.

Hawkowi wydało się, że ogromna pięść ugodziła go w żołądek. Amanda była matką!

Otworzyła drzwiczki i wyskoczyła z furgonetki. Chwyciła chłopca w ramiona i roześmiała się radośnie.

- Tak, wróciłam. Byłeś grzeczny? - Przytuliła go mocno, pogłaskała po policzku i postawiła na ziemi. Mały cierpliwie znosił „głupie bzdury” - jak nazywał niepotrzebne pieśczęty - jeśli tylko nie było ich zbyt wiele.

- Byłem. Zrobiłem wszystko, co mi Walt kazał, i zjadłem całe śniadanie. Jadłaś śniadanie w mieście? Naleśniki?

- Nie. Jadłam omlet. - Pogłaskała go po głowie. - Ale też był świetny.

- Ja też chciałem jechać. - Usta chłopca wykrzywiły się w podkówkę.

- Może następnym razem - powiedziała ostrożnie. Nie mogła zabierać go do miasta. Nie chciała rzucać ukochanego dziecka na żer plotkarzy. I bez tego życie było zbyt ciężkie.

Hawk poszedł do tyłu auta po swoje rzeczy. Przerzucił siodło przez ramię i tłumiąc przekleństwa, ruszył w stronę stajni.

- Zaczekaj, wskażę ci drogę - rzuciła za nim Amanda.

Odwrócił się ku niej i jej dziecku i stał bez słowa. Trzymając chłopca za rękę, obeszła furgonetkę. Ciekawe, czy to jest syn Jonasa? pomyślał. Człowieka, z którym żyła. Dlaczego Jonas nie ożenił się z nią? Zwłaszcza gdy mieli dziecko.

- Pomyślałem, że siodło powinno trafić do stajni. A barak dla pracowników pewnie jest w pobliżu. - Hawk maszerował zamaszycie, nie reagując na to, że z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Nie masz konia? - Amanda z podziwem patrzyła na jego eleganckie, wyszukane siodło.

- Jeżdżę na koniach z rancza.

- To po co wozisz uprząż? Nie lepiej używać także siodeł z rancza?

- To siodło wygrałem na rodeo. Bardzo mi odpowiada.

- Hawk, zatrzymaj się na chwilę. Chcę ci przedstawić mojego syna.

Stanął posłusznie i przyglądał się chłopcu. Mały był uroczym

dzieckiem. Miał włosy podobne jak jego matka. Duże, ciemnobrązowe, szeroko otwarte oczy przyglądały mu się z pewną obawą. A Hawk zupełnie stracił głowę. Nie umiał rozmawiać z dziećmi. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Hawku Blackstone, to jest Joey Williams. Joeyu, Hawk będzie pracował z nami - powiedziała Amanda.

- Jak Walt i Pepe? - spytał chłopczyk, ani na moment nie odrywając oczu od Hawka.

- Tak.

- Cześć - szepnął chłopiec nieśmiało.

Hawk gapił się na małego bez słowa. Nie był specjalnie podobny do matki, ale uśmiechał się w ten sam łobuzerski sposób. Spojrzał na Amandę i zrobiło mu się gorąco. Patrzyła gdzieś w dal, z lekko rozchyłonymi ustami. Gdy końcem języka zwilżyła dolną wargę, omal nie stracił głowy. Z westchnieniem odwrócił się i wszedł do stajni. Potrzebował pracy. Ciężkiej pracy i twardego snu. Nagle przez głowę przemknęły mu szalone obrazy. Ujrzał siebie śpiącego z nową szefową. Jej kasztanowe włosy rozsypane na poduszce, jej szare oczy zamglone pożądaniem. Jego dłonie sunące po jej delikatnej skórze.

Psiakrew!

Amanda zadrzała. Patrzyła za oddalającym się Hawkiem, czując, że miękną jej kolana. Sam jego wygląd mówił wszystko. Gdy patrzył na jej usta, niemal czuła żar jego spojrzenia. Nie spodziewała się, że jednym mimowolnym ruchem języka poruszy go aż tak bardzo. A przecież tyle razy czytała o tym w książkach. Powinna wiedzieć, że w ten sposób kobiety okazują mężczyznom swoje zainteresowanie. Czyżby uznał, że prowokowała go?

Przecież wcale tak nie było! Sama była zaskoczona swoją reakcją. Nie zdarzyło się jej coś takiego nigdy przedtem. Nawet z Bobbym Jackiem. Hawk poruszył w jej duszy jakąś tajemniczą strunę i nie potrafiła dać sobie z tym rady. Ale nie mogła oderwać od niego oczu.

Poruszał się z niemal arogancką pewnością siebie. Długie nogi niosły go pewnie i szybko. Nawet pod ciężarem uprząży i siodła. Uosobienie męskości. Tropiący wilk. Skradająca się puma. Zadrzała. Lecz to nie był strach. Poczwała budzące się w niej pragnienie. Pożądanie.

- Chodź, Joey, pokażemy Hawkowi, gdzie będzie mieszkał - rzuciła.

- On jest strasznie duży, mamusiu - bąknął Joey.

- To prawda. Ale na pewno nie zrobi ci krzywdy. - Amanda pomyślała, że chłopiec się wystraszył.

- Wiem. Jest wielki jak olbrzym. Walt i Pepe nigdy nie byli tacy wielcy.

Uśmiechnęła się. W całym swoim życiu Joey nie poznał zbyt wielu mężczyzn. Jonas, Walt, Pepe i miejscowy weterynarz, Mike Peters. Żaden z nich nie był szczególnie postawny. A już na pewno nie tak jak Hawk. Może powinna pokazać synowi jeszcze innych ludzi?

Hawk zawiesił siodło na dolnej połówce drzwi jednego z boksów i rozejrzał się po stajni. Wyglądało to znacznie lepiej niż z zewnątrz. Na stryszku leżało zeszłoroczne, pachnące siano. Wszystkie boksy były puste. Drzwi do nich szeroko otwarte. Zajrzał do najbliższego. Było tam wysprzątane, podłoga wyścielona czystą słomą. Przez otwarte drzwi widać było wybieg, gdzie w słońcu drzemały konie.

Odwrócił się. Amanda stała pośrodku otoczona blaskiem wpadającym przez drzwi. Ani dżinsy, ani flanelowa koszula nie mogły ukryć jej ponętnych kształtów. Wyniosłych piersi i wiotkiej talii oraz krągłych bioder. Zapragnął jej. Całym ciałem. Zacisnął zęby. Nie chciał, nie mógł pozwolić sobie na przygody z kobietami. Zwłaszcza z nową szefową. Musiał skoncentrować się na zdobyciu własnego rancza. Skoro powziął już takie postanowienie, musiał zrealizować je jak najszybciej. Pozostanie w „Pokerze”, dopóki nie znajdzie, czego szuka. Potem odejdzie. Nie może pozwolić sobie na żadne komplikacje z kobietą. Zwłaszcza z kobietą mającą dziecko.

- Barak mieszkalny jest zaraz obok - powiedziała.

- Wiem, widziałem.

O, tak, na pewno potrafi zrobić wszystko, co sobie wymarzy, myślała Amanda kilka godzin później, mieszając energicznie gęsty gulasz bulgocący w garnku na ogniu.

Kiedy Hawk zmienił ubranie i zgłosił się do pracy, Walt wymienił długą listę zadań do wykonania. Niedługo później nie mógł nachwa-

lić się nowego pracownika. Wszystko było zrobione! Komuś w wieku Walta wykonanie tego wszystkie zajęłoby znacznie więcej czasu. I zmęczyłoby.

A Hawk wciąż był pełen wigoru. Wprost tryskał energią. Amanda doszła do wniosku, że zbyt długo żyła wśród starszaków. Przywykła do wolniejszego tempa życia. Może jednak nowy, młody kowboj naprawdę był potrzebny na ranczu? Może teraz, we czwórkę, zdołają podołać nie kończącym się obowiązkom.

W tym czasie Amanda wykonała zaległą papierkową robotę, rozładowała furgonetkę i napisała plan pracy na następne dni. Starła się przy tym, by jej zadania nie kazały jej być zbyt blisko Hawka. Nie musiała pilnować go przy pracy. Co prawda, zapomniał prawdopodobnie znacznie więcej o prowadzeniu gospodarstwa, niż ona zdołała nauczyć się w ostatnich latach, lecz nie taka była prawdziwa przyczyna. Po prostu bała się. Swoich reakcji. A nie chciała, by nabrał przekonania, że się nim interesuje. Łączyła ich tylko praca.

Jednak kiedy mężczyźni przyszedli na obiad, jej oczy same zwróciły się ku niemu. Kuchnia, w której jadano, była duża, ale kiedy Hawk wszedł do środka, nagle zrobiło się ciasno. Był wykąpany i ogolony. Choć wyraźniejsze stały się jego rany i skaleczenia, ona nie dostrzegała ich wcale. Wystarczył jeden jego uśmiech, by serce zaczęło tłuc się w jej piersi jak oszalałe, a na policzkach wykwitły rumieńce. Odwróciła się gwałtownie, żeby nie poznać jej myśli.

Za to Joey nieustannie wodził za nim oczami. Hawk fascynował go. Bezustannie zadawał pytanie za pytaniem, dopóki Amanda nie powstrzymała go.

- Jedz - powiedziała. - Hawk będzie z nami wystarczająco długo, żebyś mógł dowiedzieć się wszystkiego. Nie musisz od razu zadać wszystkich pytań.

- Zostaniesz z nami na zawsze? - rzucił jeszcze Joey.

- Nie - rzuciła Amanda, zanim Hawk zdążył się odezwać. - Hawk nigdy nie zostaje długo w jednym miejscu. - Spojrzała mu w oczy. Dał

W krajach anglosaskich obiad jada się wieczorem, w porze europejskiej kolacji (przyp.tłum.)

jej wcześniej listę miejsc, w których pracował, a ona zadzwoniła do właścicieli farm. Wszędzie powiedziano jej to samo. Że Hawk to wyśmienity pracownik, ale ma diabelski temperament. Rozdrażniony, traci panowanie nad sobą. Z czterech miejsc wyrzucono go za bijatyki.

Hawk wytrzymał jej spojrzenie. Widać jednak było, że jest zły. Ale przecież sam dał jej tę listę.

- Twoja mama ma rację, Joeyu - powiedział. - Nigdzie zbyt długo nie zagrzewam miejsca. Pobędę tu trochę i znowu ruszę dalej. - Rozejrzał się dookoła. - Zamierzam kupić rancho. Pewien pośrednik już nad tym pracuje. Gdy znajdzie coś dla mnie, da mi znać.

Jak długo może to potrwać? pomyślała Amanda. Czy aż tak długo, że całkiem zadurzę się w tobie?

Z trudem oderwała od niego oczy. Zapytała Walta, jak minął dzień. I Walt Johnson, i Pepe Gonzales pracowali wcześniej u Jonasa. Obaj byli już dobrze po sześćdziesiątce. Walt nie był już taki żwawy jak kiedyś. Coraz bardziej dokuczał mu artretyzm. Za to Pepe wciąż był niezmordowany i silny jak młodzieniaszek. Jedyną oznaką mijających lat było to, że coraz słabiej słyszał.

- Sprawdziłem ogrodzenie w wąwozie. Znowu jest przewrócone - powiedział Walt.

Amanda westchnęła ciężko. Natychmiast straciła apetyt.

- Cholera! Przeczuwałam, że tak będzie. Kupiłam nowe słupki.

- Przydadzą się. Tym razem porąbali cztery.

- O czym wy mówicie? - spytał zaintrygowany Hawk.

Trójka dorosłych popatrzyła po sobie. W końcu odezwał się Walt.

- Mamy kłopoty z jednym z sąsiadów. Tak się jakoś składa, że płot między naszymi terenami stale bywa niszczony...

- Powiedz, że to Tom Standish i jego ludzie - przerwała mu Amanda.

- Nie wiemy tego na pewno.

- Ja wiem.

- Czemu ktoś miałby robić coś takiego? - spytał Hawk.

- Wojna podjazdowa - rzuciła Amanda.

- Czyja wojna podjazdowa? - zainteresował się Joey.

- Pewnego milczącego starca, który nie może zaatakować otwarcie. Skończyłeś już? Jeśli chcesz, możesz jeszcze pobawić się na dworze.

Nie chciała mówić o tych sprawach w jego obecności. Im dłużej uda się jej uchronić go przed przykrościami tego świata, tym lepiej. W końcu był jeszcze dzieckiem. Miał dopiero pięć lat. Kiedy dorosnie, zdąży się przekonać, jak niesprawiedliwy potrafi być los.

Wszyscy w milczeniu odczekali, aż siatkowe drzwi trzasnęły za wychodzącym Joeyem.

- O co tu chodzi? - spytał Hawk.

- Tom Standish ma ochotę kupić nasze rancho. Mówił o tym jeszcze wtedy, gdy żył Jonas. Ale ja nie chcę go sprzedać. Próbuje więc w ten sposób zmusić mnie do sprzedaży.

- Przecina ogrodzenie, wpędza swoje bydło na nasze pastwiska, a potem dzwoni tu z pretensjami - dodał Pepe.

- Powiedźcie o tym szeryfowi - rzucił Hawk.

- Pewnie! - Amanda parsknęła śmiechem. - Tak bardzo pragnie pomóc mi, jak zależy mu na przegraniu następnych wyborów. Nie mam żadnych wątpliwości, że szeryf Yates ma związane ręce.

- Dokąd więc to nas prowadzi? - spytał Hawk.

Nas? zdziwiła się.

A on omal nie roześmiał się na widok jej zaskoczonych miny. Czyżby nigdy nikt nie chciał stanąć po jej stronie? Oprócz tych dwóch starsuszków, rzecz jasna. Zaciekawiała go coraz bardziej. Kim jest Amanda Williams? I w jaki sposób można zyskać jej zaufanie?

- No cóż, jeśli masz jakiś pomysł, jak powstrzymać Toma, powiedz - rzuciła Amanda.

- Kto wie. Pojedziemy jutro na przejażdżkę. Pokażesz mi wszystko.

- Jeśli uda ci się powstrzymać Toma, synu, będziesz prawdziwym bohaterem - powiedział Pepe.

Bohaterem. Hawk pokręcił głową. Był ostatnim człowiekiem na świecie, który zasługiwałby na to miano. Przyszło mu natomiast do głowy, że gdyby zdołał tego dokonać, to może zyskałby w oczach Amandy. Może nawet zasłużyłby na małą nagrodę? Na pocałunek? Ale taki prawdziwy, od którego ciarki chodzą po całym ciele.

Chyba zupełnie zwariowałem! pomyślał, dłubiąc widelcem w ta-

lerzu. Spotkałem ją dziś rano. a już pragnę jej jak żadnej innej. Tym razem było to coś więcej niż pożądanie. Chciał poznać jej myśli, dowiedzieć się, co kazało jej wieść takie życie, zgłębić jej tajemnicę. No i dowiedzieć się, ile ma lat. Miała syna, więc nie mogła być tak młoda, jak wyglądała.

- Ile ty masz lat? - spytał nieoczekiwanie.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Dlaczego zadał jej to pytanie? Pepe zakasłał i sięgnął po szklanke, by ukryć za nią uśmiech. Walt spoglądał z zainteresowaniem to na nią, to na niego.

- Dwadzieścia trzy. A ty?

Poczuł ulgę. Była pełnoletnia.

- Dwa dni temu skończyłem trzydzieści - odparł. - A Joey?  
- Poczuł, że zrobił z siebie głupca. Rzucił wściekłe spojrzenie w stronę Pepe'a, lecz tamten wbił oczy w stół. Wyglądało jednak, że z trudem hamował wybuch śmiechu.

- Za kilka tygodni skończy sześć. - Czekala, co będzie dalej. Nie trzeba umysłu naukowca, by obliczyć, ile miała lat, gdy Joey przyszedł na świat.

- Myślałem, że jesteś młodsza. Tak wyglądasz. - Przecież sama była prawie dzieckiem, kiedy rodziła. Jeszcze jeden powód, dla którego Jonas powinien był ożenić się z nią. Co on sobie, do diabła, myślał?!

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Amanda bardziej bawiła się jedzeniem, niż jadła. Na szczęście uszczknęła sporo, gotując, bowiem teraz całkiem straciła apetyt. Czuła, iż powinna wytłumaczyć Hawkowi, że sprawy nie miały się tak, jak z pozoru wyglądały. Chciała, żeby został, potrzebowała jego pomocy.

- Wspaniałe jedzenie, Amando. - Walt odłożył widelec na pusty talerz i uśmiechnął się

Odpowiedziała uśmiechem. Codziennie słyszała te same słowa. Dobrze, gdy na coś w życiu można liczyć. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Pepe bąknął, że idzie do baraku oglądać transmisję z wyścigów. Walt wyszedł zaraz za nim.

Po chwili Hawk i Amanda zostali sami.

Poczuła na sobie spojrzenie błękitnych oczu i serce zabiło jej mocniej.

- Jest jeszcze trochę gulaszu - powiedziała. - Chcesz?
  - Bardzo chętnie, poproszę. Zawsze gotujesz dla pracowników?
- Kiwnęła głową. Podała mu pełny talerz i zabrała się do zmywania.

Liczyła po cichu na to, że Hawk zje i wyjdzie, zanim ona skończy.

- Opowiedz mi jeszcze o tej sprawie z sąsiadami - poprosił.

Z pustym talerzem podszedł do zlewu. Czemu jesteś taka spięta, zdenerwowana? pomyślał, stając obok niej. Była tak blisko, że mógł policzyć piegi na jej nosie.

- Co z tymi sąsiadami? - ponaglił.

- Chodzi o Toma Standisha. Kiedy umarł Jonas, Tom postanowił zdobyć tę ziemię. Zaproponował mi jakieś śmieszne pieniądze, więc wygoniłam go. Od tamtej pory raz po raz niszczy mój płot, wpędza swoje bydło na mój teren, a potem oskarża mnie o kradzież.

- Moim zdaniem powinien raczej pozalecać się do wdowy po Jonasie, a nie nękać ją i dręczyć. - Hawk próbował wybadać sytuację. Może jednak mylił się co do Jonasa i Amandy?

Spojrzała mu w oczy.

- Nie byłam żoną Jonasa, jeśli tego usiłujesz dociec.
- Przepraszam. Sądziłem, że skoro zostawił ci ranczo...
- Myślę, że nie było nikogo bardziej zaskoczonego tą wiadomością niż ja. Zawsze sądziłam, że zapisze je Waltowi. W końcu przyjaźnili się od dziecka.

Przyjaźnili się od dziecka?! Przecież Walt dobiegał już siedemdziesiątki!

- Ile lat miał Jonas?

- Sześćdziesiąt siedem, gdy umarł w zeszłym roku - odparła. Nie mogła nie zauważyć zdumienia na jego twarzy. Mechanicznie spłukiwała następny talerz. Wiedziała, że powinna opowiedzieć mu całą historię, ale nie czuła się na siłach.

Hawk dotknął jej policzka i delikatnie zmusił, by spojrzała mu w twarz. Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Opowiedz mi o życiu z Jonasem. Był starszy od ciebie niemal o pół wieku.

- Nigdy nie żyłam z nim tak, jak myślisz. - Żar oblał jej policzki. - Nawet jeśli ludziska w miasteczku twierdzą inaczej. Zafero-



wał mi pracę i schronienie, kiedy... bardzo tego potrzebowałam. Byłam kucharką. Gotowałam dla wszystkich. Ale też przez te minione lata Jonas uczył mnie prowadzenia gospodarstwa. I do dziś codziennie przyrządzam posiłki dla domowników.

- Jak duża jest twoja posiadłość?

- Liczy prawie trzysta tysięcy hektarów. Do tego jeszcze trochę dzierzawie. Razem „Poker” ma ponad dwadzieścia cztery tysiące hektarów.

Ciepło ręki Hawka przenikało ją na wylot. Jego palce były twarde i szorstkie. Nie szkodzi, pomyślała. Od tak dawna nie dotykał jej żaden mężczyzna.

- Nie masz zbyt wielu pracowników, posiadając tyle ziemi.

- Próbowałam zatrudnić kogoś już od śmierci Jonasa. Ty zgłosiłeś się pierwszy.

- Dlaczego tak się dzieje?

Nerwowo oblizwała wargi.

- Początkowo dawałam ogłoszenia w miejscowej gazecie, ale przestałam ze względu na koszty - powiedziała. - Poza tym w ogłoszeniach zawsze znalazł się jakiś błąd. A to w numerze telefonu, a to w wysokości proponowanej zapłaty. Moje ogłoszenia Joe zrywa z tablicy ogłoszeniowej, gdy tylko je tam przyczepię. Poza tym musisz przyznać, że Tagget w stanie Wyoming nie jest najbardziej uczęszczanym miejscem na ziemi. Niewielu obcych tędy przejeżdża. A wszyscy miejscowi kowboje mają już pracę.

- Chyba powinnaś jednak dokładniej mi wszystko wyjaśnić, złotko. Żebym wiedział, na czym stoimy. Zacznij od zachowania mężczyzn w mieście i mów wszystko, aż do twoich planów powstrzymania sąsiada od rujnowania płotu.

Amanda poczuła dławienie w gardle. Zrozumiała, że musi natychmiast odsunąć się, nim zrobi coś szalonego. Śliską od płynu do mycia naczyń dłonią chwyciła Hawka za nadgarstek. Spróbowała odsunąć jego rękę. Równie dobrze mogła próbować odsunąć gruby mur. Jego dłoń dotykała delikatnie jak puszek, lecz ramię było twarde jak skała.

- Wszystko było całkiem dobrze, póki żył Jonas - zaczęła. - To

on jeździł zwykle do miasta. No i wtedy mieliśmy jeszcze czterech pracowników. Później, z różnych przyczyn, wszyscy oni odeszli. W każdym razie było tak, że ja przygotowywałam posiłki i prowadziłam rachunki. Kiedy jednak zaczęło brakować rąk do pracy, zaczęłam pomagać przy krowach i przy moich koniach. No i zaczęłam uczyć Joeya. Śmierć Jonasa zmieniła to wszystko... - To było takie okropne. Z trudem zmusiła się, by mówić dalej. - Musiałam zacząć jeździć do miasta. Na pewno znasz takie małe miasteczka. Plotkowanie jest ulubionym zajęciem ich mieszkańców. Odczułam to bardzo mocno, kiedy byłam młodsza. Przez Bobby'ego Jacka. Teraz doszły do tego jeszcze historie o mnie i o Jonasie.

- Kto to jest Bobby Jack?

- Ojciec Joeya. - Amanda wstrzymała oddech.

Hawk cofnął się o krok. Z głośnym westchnieniem przeczesał palcami włosy. Wsparty o stół, ze wzrokiem wbitym we własne buty, usiłował zrozumieć wszystko, co usłyszał.

- To jest trochę skomplikowane - powiedziała Amanda, wycierając wilgotne dłonie w spodnie.

- A wszystko, jak sądzę, ma związek z tym, że jesteś „łatwą panienką”. - Starał się rozpaczliwie, by zabrzmiało to zupełnie naturalnie. Możliwe, że nie docenił tej kobiety. Może rzeczywiście zdolna była.

- Tego właśnie nienawidzę. Dlatego, jak mogę, unikam Tagget. Przykleili mi etykietkę i nic już nie może tego zmienić - rzuciła gniewnie.

- Uspokój się, mała. Nie jestem twoim wrogiem. Masz rację... to brzmi strasznie skomplikowanie. Widziałem ławkę-huśtawkę na werandzie. Weźmy ciasteczka i chodźmy tam. Opowiesz mi wszystko, powoli i wyraźnie, żebym mógł zrozumieć - powiedział łagodnie.

- Nie. To naprawdę nie twoja sprawa. Przyjechałeś tu popracować, dopóki nie uznasz, że pora ruszać dalej. Jeżeli zamierzasz wyjechać teraz, tam są drzwi!

Hawk sięgnął po talerz z ciasteczkami. Potem chwycił Amandę mocno za ramię, odwrócił i ruszył naprzód.

- Hawk, przestań! Co ty wyrabiasz?!

- Musimy porozmawiać. Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś aż tak potrzebującego pomocy. I wcale nie chodzi tu o reperowanie zniszczonego płotu. Ale muszę poznać całą historię. Jesteś mi to winna.

- Nic ci nie jestem winna. - Amanda zatrzymała się gwałtownie.  
- Wszystkim mężczyznom wydaje się...

- Ja nie jestem „wszyscy mężczyźni”. Nazywam się Hawk Blackstone. Jesteś mi winna szczegółowe wyjaśnienia, żebym dokładnie wiedział, co tu jest grane. Żebym nie wykonał jakiegoś fałszywego ruchu.

- Fałszywego ruchu? - zdziwiła się.

Nie zwalniając uścisku, zaprowadził ją na szeroką werandę. Ognista kula słońca wisiała nad horyzontem. Łagodny wiatr niósł świeży zapach traw. W oddali Joey siedział na ogrodzeniu i machając nogami, drapał za uchem jednego z koni.

- Usiądź.

Począł, by usiadła obok niego, i zaczął wolno kołysać ławką.

- Opowiedz mi teraz o Bobbym Jacku. Gdzie on mieszka teraz?  
- Umarł niedługo przed Jonasem. Ponad rok temu. Przedtem żył w mieście. Pracował w banku swojego ojca.

- Bobby Jack - powtórzył Hawk.

- Robert Jackson Pembroke. Ale wszyscy mówili o nim Bobby Jack, żeby odróżnić go od ojca, Roberta.

- Byliście małżeństwem?

- Nigdy. - Gorycz i żal dźwięczały w jej głosie.

- Dlaczego?

Zerwała się na równe nogi.

- Powiedział, że Joey nie jest jego dzieckiem! - krzyknęła.

Powiedział wtedy znacznie więcej, lecz tego nie była w stanie powtórzyć. Bobby Jack wiedział, że Joey był jego synem. A jednak wyrzekł się go. Nie potrafiła, nie mogła mu tego wybaczyć. Mogła znieść wszystkie brudy, jakimi ją obrzucił, ale nie to.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Joey dostrzegł matkę i zeskoczył z płotu. Z promiennym uśmiechem pędem ruszył ku niej. Serce Amandy natychmiast zmiękło jak wosk. Kochała go ponad wszystko. Bez względu na to, co ją w życiu spotkało, nie wyrzekłaby się ani chwili z tamtych lat, byle tylko mogła nadał być z Joeyem.

- Policzyłem konie, mamusiu. - Chłopczyk zadudnił stopami po drewnianych schodach. Sapiąc ciężko, zatrzymał się przed huśtawką. Hawk uśmiechnął się i posadził go obok siebie.

- To ty umiesz liczyć? - mruknął, częstując małego ciasteczkami.

- Mamusia mnie nauczyła. Umieję już liczyć do stu. Chcesz posłuchać?

- Innym razem, kochanie. Powinieneś już szykować się do łóżka - powiedziała Amanda, gładząc go po głowie. - Dostałeś już swoje ciastka - skarciła go.

- Hawk mi to dał. A z nim lepiej nie zaczynać - powiedział malec z wielką powagą.

- Tak? A to czemu? - Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Bo jest taki duży, że mógłby rozwalić cię na kawałki.

- No wiesz, Joeyu! Nigdy nie skrzywdziłbym twojej mamy. To prawdziwa dama.

Słyszając taki komplement, Amanda zaczerwieniła się. Mimo tego co powiedziała, wciąż uważała ją za damę. Jeszcze nigdy nikt nie traktował jej w ten sposób.

- Chodźże już, uparciuchu. Pora do łóżka - powiedziała. Zastanawiała się przy tym, czy miękkość kolan nie zapowiadała przypadkiem grypy.

- Zaczekam tutaj - powiedział Hawk.

Po cichu liczyła, że dzięki Joeyowi uda się jej uniknąć dalszej

rozmowy. Była znużona i rozdrażniona. Nie lubiła wracać do przeszłości, do błędów, które popełniła. Marzyła o tym, by zapomnieć o nich, zacząć wszystko od nowa gdzieś daleko, gdzie nikt by jej nie znał. Lecz to oznaczałoby konieczność opuszczenia rancza. A tego nie chciała. To był jej dom. Jej i Joeya.

- Niedługo wrócę - mruknęła niechętnie.

- Nie wybieram się nigdzie. Wciąż jeszcze nie wiem nic o sąsiedzie.

Zrezygnowana, pokiwała głową i wraz z Joeyem zniknęła w domu.

Hawk siedział na huśtawce i rozmyślał o tym, co usłyszał. Nie spodobało mu się, że nie mogli liczyć na pomoc szeryfa. Jego starszy brat był prokuratorem okręgowym w Cheyenne. Obaj mieli wrodzony szacunek dla prawa:

Podniósł się i odniósł do kuchni pusty talerz po ciastkach. Z piętra dobiegły go przytłumione głosy. Dziecięcy śmiech dźwięczał jak dzwoneczek. Z przechyloną na bok głową słuchał w skupieniu. Ileż to już lat nie słyszał śmiechu dziecka? Poczłł przenikające go ciepło domowej atmosfery. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz doznał tego uczucia. Kiedy matka odeszła, ojciec zgorzkniał zupełnie. Hawk nigdy nie zaznał tyle miłości, ile Amanda ofiarowywała Joeyowi. Nawet kiedy ojciec poślubił Ellen.

Hawk sięgnął po telefon. Postanowił zadać bratu kilka pytań. Nie myślał rozczulać się nad swoim życiem. Nie planował zakładania rodziny. Kiedy zdobędzie wreszcie wymarzone ranczo, będzie miał dość innych spraw na głowie. Tym bardziej że miał w pamięci dwie żony swojego ojca. Raczej nie nabrał przekonania do instytucji małżeństwa. Nie ufał kobietom. Przychodziły, kradły mężczyźnie serce, by potem zdeptać wszystko i odejść. Zabierając przy okazji większość dóbr doczesnych. Nie, nie. To stanowczo nie było dla niego.

Pół godziny później, gdy Amanda wróciła na werandę, Hawk siedział na ławce-huśtawce. Zapadła noc. Na ciemnym niebie połykiwały gwiazdy. Wiatr ustał. Było spokojnie, cicho i chłodno.

- Joey już śpi? - Amanda usłyszała cichy, zniewalający głos.

Zadrżała i skinęła głową.

- Tak, śpi - dodała. Przysiadła na balustradzie i spojrzała w stronę Hawka. Nie widziała go w ciemnościach.

- Mówiłaś o Bobbym Jacku - przypomniał.

Oparła głowę o kolumnę. Wcale nie potrzebowała opowiadać mu wszystkiego. Mogła kazać mu wziąć się do pracy. Ale w końcu i tak to niczego nie zmieniało. A on powinien mieć jasny obraz spraw, w które się zaangażował. Ze wzrokiem wbitym w ciemność nocy na nowo przeżywała swoją głupotę.

- Kiedy poznałam Bobby'ego Jacka, były wakacje. Miałam zacząć naukę w ostatniej klasie liceum. On już wtedy studiował. Należał do najbogatszej rodziny w mieście. Jego ojciec ma bank. Nie zapomnę go do końca życia. Zakochałam się w Bobbym Jacku od pierwszego wejrzenia. Patrzyłam w niego jak w obraz.

Huśtawka zaskrzypiała. Hawk podniósł się i podszedł do Amandy.

- No i tego lata zaszłaś w ciążę, a on wyjechał, żeby studiować, tak?

- Nie. To by było zbyt proste. Spotykaliśmy się kilka razy. Romantyczne, potajemne schadzki, tylko we dwoje. Żeby nikt nam nie przeszkadzał. Ha! Coś trzeba było robić...

Gdybyż miała wtedy trochę więcej doświadczenia, gdyby od początku umiała przewidzieć...

- Moja matka miała opinię... hm... osoby bardzo towarzyskiej. Bobby Jack tego samego spodziewał się po mnie;

I nie pomylił się, pomyślał Hawk.

- Wiem, co myślisz, i wcale mnie to nie obchodzi - odrzekła.

- Ani trochę. Ale wtedy... - ciągnęła cicho. - Byłam pewna, że to miłość. Myślałam, że kocham go i że on mnie kocha.

Stała jej przed oczyma tamta naiwna dziewczyna i tak bardzo szczęśliwe trzy tygodnie wakacji.

- Zgwałcił cię? - spytał niespodziewanie Hawk.

- Nie. - Pochyliła głowę. - Nie zmuszał mnie. Naprawdę sądziłam, że byliśmy zakochani.

- Ale on nie był.

- Nie, nie był. Kiedy dostał, czego chciał, porzucił mnie. Nie znałam wielu chłopców. Gdy zaprosił mnie na randkę pierwszy raz,

omal nie oszalałam z radości. Pracowałam wtedy popołudniami w aptece. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy. Na taką okazję kupiłam sobie nową bluzkę. Poszłam do fryzjera i do kosmetyczki. Nie miałam przyjaciół. Musiałam pracować, by pomóc matce. Lecz, aż do tamtej nocy, biegłam szczęśliwa na każde z nim spotkanie. Pycha poprzedza upadek, prawda?

Hawk przysiadł na balustradzie, tuż przy niej.

- I co było potem? - Była taka młoda. Prawie dziecko.

- Matka powiedziała mi, że mogłam się tego spodziewać. Kazała mi przestać płakać i postarać się, by zaprosił mnie na randkę ponownie. Uznała, że mogłam dobrać się w ten sposób do jego pieniędzy. Kiedy okazało się, że Bobby Jack przestał spotykać się ze mną, wpadła w szal.

- Ty też?

- Nie. Byłam tylko bardzo nieszczęśliwa. Zaczął się rok szkolny. Niedługo potem zorientowałam się, że jestem w ciąży. Powiedziałam Bobby'emu Jackowi, a on parsknął mi śmiechem prosto w twarz. Powiedział, że zaprzeczy, iż kiedykolwiek spał ze mną. Że ma przynajmniej pięciu przyjaciół, którzy przysięgną, że to oni, każdy z nich, ze mną spali. „I jak zamierzasz wskazać, który z nich jest ojcem twojego dziecka?” spytał. „Puszczalskie panienki muszą liczyć się z czymś takim, prawda?”

Amanda wzdrygnęła się na samo wspomnienie tamtego koszmaru. Przez wszystkie minione lata wciąż brzmiały jej w uszach te okrutne słowa. I nic nie mogło tego zmienić. Zostały wryte w jej sercu.

Wyprostowała się. Było, minęło. Bobby Jack nie żył i nic już nie mogło zmienić faktu, że była niegdyś bardzo naiwną siedemnastolatką. Teraz miała własne życie i już nikt nie będzie bawił się nią jak lalką.

Hawk zaklął cicho. Taka jaskrawa niesprawiedliwość wprawiała go we wściekłość. Przez moment poczuł żal, że tamten facet umarł. Chciałby móc pojechać do miasta i dać mu w pysk.

- Dla pewności, żebyś nie mogła go w to wplątać, kazał swoim kumplom opowiadać po całym mieście te obrzydliwe kłamstwa.

- Głos się jej załamał. - Któregoś dnia spostrzegłam, że wszyscy mnie potępiają. W tym czasie matka zaczęła spotykać się z Johnem Deere'em i przestraszyła się, że wrzawa wokół mnie może zrujnować jej plany. Kiedy więc plotki na mój temat nasiliły się, wyrzuciła mnie z domu. Wtedy przygarnął mnie Jonas. Przed wielu laty był jednym z przyjaciół mojej matki i zawsze mnie lubił.

Dzięki ci, Boże, za Jonasa! Wciąż pamiętała ten potworny strach tamtego ranka. Zanim znalazł ją i zabrał do siebie. To dzięki Jonasowi Harperowi miała dom, pracę i przyszłość. Nigdy mu tego nie zapomni.

- Właściwie nic ci do tego, ale opowiadam to, żebyś zrozumiał, z czym przyszło mi tu walczyć. Wszystko i wszyscy są przeciwko mnie. Ojciec Bobby'ego Jacka to wielka szyszka w Tagget. Nic więc dziwnego, że to jego synowi dawano wiarę, a nie mnie. Z tego powodu właśnie nie bywam w mieście. Dlatego też szeryf palcem nie kiwnie, jeśli złożę skargę. Robert Pembroke i Tom Standish to jego przyjaciele. Myślę, że oni wszyscy najbardziej ucieszyliby się, gdybym wyjechała stąd na zawsze.

- Chyba pora już zmienić to - warknął Hawk groźnie. Gniew wzburzył mu krew. Nienawidził niesprawiedliwości. I głupoty. Lecz w tym wypadku jego pięści nie wystarczały, by rozwiązać problem. Wobec tego trzeba ruszyć głową, pomyślał. Omal nie parsknął śmiechem. Oto po wielu, wielu latach startowania w rodeo i pracy za trzydzieści dolarów dziennie zamierzał przechytrzyć całą bandę drani, którzy postanowili zniszczyć tę kobietę.

Jego ojciec źle radził sobie z kobietami. Ale jednak opiekował się synem. Dawał mu pewność i poczucie bezpieczeństwa. Joey Williams tego nie miał. Może już czas, by ktoś ujął się za jego matką.

- Czy próbowałaś, kiedykolwiek, upomnieć się u Bobby'ego Jacka o alimenty? - spytał.

- Żartujesz chyba! Nawet rodzona matka nie chciała stanąć po mojej stronie. Myślisz, że ktokolwiek chciałby mnie wysłuchać? Bank ma zastawy na hipotekach większości parceli w tym mieście. Tylko w banku można dostać kredyt na samochód. Pembroke'owie rządzą w Tagget.



- To tylko ludzie, złotko.
- Nawet nie próbowałam się upomnieć - powiedziała słabo.
- Tak więc Jonas przygarnął cię, dał ci schronienie, a kiedy umarł, wilki zaczęły krążyć w pobliżu, tak?
- To ty to powiedziałaś. - Amanda uśmiechnęła się, słysząc jego słowa.

Otworzył zaciśnięte dotąd pięści i położył rękę na jej dłoni. Głaskał ostrożnie delikatną skórę. Gdy spróbowała uwolnić rękę, wzmocnił uścisk. Nie chciał jej wypuścić.

A Amanda, gdy poczuła jego dotyk, przestała oddychać. Miała wrażenie, że budzi się do życia z niebywale długiego snu. Urok nocy obiecywał zapomniane niemal doznania. Niezwykły żar oblał ją aż po koniuszki palców. Nigdy przedtem nie przydarzyło się jej coś takiego. I wcale nie była pewna, czy to się jej podobało.

- Znasz już całą moją historię - powiedziała. - Coś jeszcze? Muszę już iść. - Uwolniła rękę.

- Oczywiście, złotko. - Hawk położył dłonie na jej ramiona i przez moment masował napięte mięśnie. Nagle ujął jej twarz w dłoń i zasłonił gwiaździste niebo. Dotknął ustami jej warg.

Amanda gwałtownie wciągnęła powietrze. Pocałunku nie przewidziała. A Hawk przechylił głowę i wsunął język między rozchyłone wargi. Nie całowała się jeszcze w taki sposób. Owszem, była kiedyś, dawno, na kilku randkach. Ale to byli jeszcze chłopcy. Hawk zaś był najprawdziwszym mężczyzną.

Hawk oddychał ciężko. Cofnął się nieco i delikatnymi pocałunkami obsypał policzki, kark i szyję Amandy. Liznął jej skórę. Była taka, jak się spodziewał - gładka i słodka. Niecierpliwie ponownie przywarł do jej warg. Objął ją, przytulił mocno. Była słonecznym blaskiem w tym ponurym życiu. Gorąca, delikatna i, och! taka słodka!

Nagle odepchnęła go gwałtownie. Wystraszony, uwolnił ją z objęć.

- Ja... - Z cichym szlochaniem pobiegła do domu. Zatrzaśnięte drzwi huknęły głośno. Był taki sam jak wszyscy mężczyźni. Jak Bobby Jack. Chciał tylko jednego! Boże, czy nigdy już nie zmądrzeję! ganiła się w myślach. Jej opowieść dodała mu tylko odwagi.

Pożądał jej i nie krył tego wcale. Zupełnie jak Brent tego ranka. Jakże nienawidziła tego!

Z sercem łomocącym jak oszalałe oparła się o drzwi swojego pokoju. Miała nadzieję, że hałas nie obudził Joeya. Krew pulsowała w jej żyłach z takim łomotem, że nie słyszała niczego. Całym ciałem pragnęła pieścić Hawka. Kolana gięły się pod nią. Z oczu ciekły łzy.

Hawk. Poznała go zaledwie kilka godzin wcześniej, a już pozwoliła, by ją pocałował. I to jak! Mrugała nerwowo powiekami, usiłując odegnać łzy z oczu. Była głupia. W ten sposób zmuszała go, by uwierzył, że to jednak ona uwiodła Bobby'ego Jacka. Przecież tam, na werandzie, praktycznie rzuciła się na niego! Inna rzecz, że nie bronił się zbyt mocno. Ale w końcu usłyszał dosyć, by uznać, że z nią wszystko idzie łatwo. Jedno było pewne - popełniła błąd, zatrudniając go.

Z płonącymi policzkami weszła do łazienki. Wzięła prysznic i położyła się do łóżka. Nie mogła już zmienić tego, co się stało, ale nie musiała powtarzać błędu. Nigdy więcej nie zaufa mężczyźnie. Myślała tylko o jednym, biorąc i odchodząc.

Lecz wspomnienia pocałunku wciąż rozpały jej krew. I marzyła, by powtórzyć go jeszcze raz. Choćby jeden raz!

Wściekła na siebie za takie myśli, zgasiła światło. Leżała sama w wąskim, pustym łóżku. Była naga. Lecz o tym nie wiedział nikt. Nigdy nie spała z mężczyzną. Raz tylko kochała się z jednym. I była to całkowita klęska. Nie raz marzyła o tym, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Żeby ona była inna. Żeby umiała sięgnąć po wszystko, co chcieli dać ci podnieceni kowboje. W końcu miała określoną reputację. Śmiało mogła wejść do gry. Sęk w tym, że jak dotąd nie trafił się taki, z którym chciałyby dzielić łóżko.

Aż zjawił się on.

Gdy obudziła się następnego ranka, natychmiast pomyślała o tym, żeby nie zejść na śniadanie. Bywało już tak, że Walt gotował, kiedy ona nie mogła. Lecz wtedy musiałaby zrezygnować ze wszystkich posiłków, aż do wyjazdu Hawka. A to jednak nie było możli-

we. Ubierała się powoli, ze strachem myśląc, jak zdoła spojrzeć mu w twarz. Doskonałe wiedziała, czemu ją pocałował. Ale swojej reakcji pojąć nie umiała. Zastanawiała się, czy powinna wyrzucić go natychmiast, czy też wykorzystać jednak na ranczu. Po tylu latach udało się jej znaleźć pracownika! Tylko czy na pewno mogła ryzykować?

Kiedy mężczyźni przyszli na śniadanie, wciąż nie rozwiązała swojego problemu. Postawiła na stole półmisek z plackami, wyjęła z kuchenki gorące kiełbaski i nalała kawę do filiżanek. Nim sama siadła do stołu, uważnie sprawdziła, czy nie brakowało im niczego.

Siedziała sztywna i spięta. Starannie unikała patrzenia na Hawka. Choć wymagało to gigantycznego wysiłku. Ale nie mogła. Nie była jeszcze gotowa. Wciąż nie miała pojęcia, jak powinna postąpić.

Za to Hawk ani na moment nie spuszczał jej z oka. Śledził każdy jej ruch, każdy gest. Czuł się okropnie. Okazał poprzedniego dnia tyle delikatności, co byk podczas rui. Na pewno miała teraz o nim zdanie równie dobre co o Bobbym Jacku. A przecież chciał tylko pocieszyć ją, dać odrobinę ciepła. Nie mógł wiedzieć, że oboje zareagują tak gwałtownie. Długo trwało, zanim zdołał powstrzymać szalejące hormony. Na szczęście udało się. Pozwolił sobie jedynie na pocałunek. Pozwolił sobie?! Nie zdołał się powstrzymać. Najgorsze było jednak co innego. Stracił jej zaufanie. I to w chwili, gdy tak bardzo pragnął jej pomóc.

- Chcesz, żeby któryś z nas został z Joeyem, kiedy pojedziesz z Hawkiem obejrzeć zniszczony płot? - spytał Pepe.

Spojrzała na Hawka. Na moment jedynie. Lecz dostrzegła wyraźnie jego gorejące oczy. Serce załomotało jej w piersi jak szalone. Zapomniała, że zaplanowali ten wyjazd. Nie. Nie mogła. Nie tego dnia. Lepiej niech Hawk pojedzie z Waltem.

- Nie, chyba dziś nie...

- Nakarmiłem już konie i oczyściłem boksy w stajni - przerwał jej Hawk. Za żadne skarby nie mógł pozwolić jej się wycofać. Długo nie mógł zasnąć tej nocy. Miał wiele czasu na rozmyślanie. W końcu doszedł do przekonania, że znalazł sposób na powstrzymanie Toma

Standisha. Ale musiał przekonać Amandę. I do samego planu, i do tego, żeby w ogóle pozwoliła mu zostać na ranczu.

- Mam teraz inne sprawy do załatwienia - rzuciła.

- Mogą poczekać. To nie potrwa długo. Mam pewien pomysł.

Popatrzyła na niego zaintrygowana. Ciekawość wzięła górę nad ostrożnością. I pragnienie zwycięstwa.

- Jaki?

- Najpierw muszę obejrzyć to miejsce. Sprawdzić, czy w ogóle jest szansa, że to się uda. Możemy jechać, kiedy tylko będziesz gotowa - rzucił jej wyzwanie.

- Będę gotowa za pół godziny - odparła z ociąganiem.

- Poczekam przy stajni.

- Czy któryś z was mógłby popilnować Joeya? To nie potrwa długo. - Obejrzą tylko zniszczenia i zaraz wrócą. Przez moment pomyślała, że powinni może zabrać ze sobą słupki i drut do naprawy płotu. Ale wtedy musieliby pojechać samochodem. Jednak po ostatniej nocy nie czuła się na siłach przebywać z Hawkiem Blackstone'em w tak małej przestrzeni. Potrzebowała czasu, by wziąć się w garść.

Kiedy po trzydziestu minutach poszła do stajni, Hawk już czekał. Dla niej osiodłał jej ulubioną klacz, dla siebie gniadego wałacha. Gdy ją zobaczył, podciągnął popręgi i lekko wskoczył na siodło. Amanda odwiązała wodze i chwyciła się łęku. Jak zawsze pomyślała że zalem, że mogłaby być nieco wyższa.

- Prowadź - powiedział Hawk.

Jechali w milczeniu. Amanda czuła, że powinna powiedzieć coś o poprzedniej nocy, lecz nie wiedziała, co. W końcu to był tylko pocałunek, pomyślała. Akurat!

Gdyby okazało się, że na Hawku nie zrobił on takiego wrażenia jak na niej, ośmieszyłaby się. A jeśli zrobił? Jeżeli Hawk zaczął uważać, że ma prawo oczekiwać czegoś więcej? W takim razie musiała wyprowadzić go z błędu. Będę zimna, pomyślała. Konkretna i rzeczowa. Tego właśnie może najemnik oczekiwać od szefowej.

Na miejsce dotarli po dwudziestu minutach. Powolutku wjechali między pasące się w wysokiej trawie krowy.

- Widzisz? To było Toma. Ma wypaloną literę „S”.

- Jaki znak ma bydło z „Pokera”?

- Litery „KP” w kole. Dziadek Jonasa wymyślił takie oznakowanie - powiedziała rozglądając się. Żadne ze zwierząt w pobliżu nie było jej własnością. Kręcąc z oburzeniem głową, ruszyła w głąb wąwozu. Wiosną i jesienią zawsze był pełen wody. W pewnym miejscu zwężał się w szeroką na ponad dziesięć metrów skalistą rynnę. To właśnie tam ogrodzenie było zniszczone. Słupki leżały połamane, a drut pocięty był na drobne kawałki. Amanda zagryzła wargi z wściekłości. Na pobliskich wzgórzach ogrodzenie było nienaruszone.

- Chciałbym coś sprawdzić - mruknął Hawk, zsiadając z konia i podając Amandzie wodze. Poszedł do granicy posiadłości. Obejrzał połamane słupki, pobierał kawałki pociętego drutu. Rozglądał się dookoła. Uważnie przyjrzał się pobliskim skałom i krzakom porastającym zbocze parowu. Potem wspiął się na górę i zniknął za krawędzią.

Amanda przyglądała się temu w milczeniu. Zupełnie nie rozumiała, do czego zmierzał.

Wreszcie znów pojawił się na zboczu. Nadal rozglądając się badawczo, zszedł na dół. Tylko ręce miał puste.

- Co zrobiłeś z drutem? - spytała, podając mu cugle.

- Zostawiłem go między skałami. Krowy tam nie wejdą. Nie pokaleczą się. Na razie zostawimy to tak, jak jest. Przyjedziemy tu jutro i naprawimy płot.

- Czy to nie ja powinnam o tym decydować? - spytała Amanda.

- To zdecyduj, że zrobimy to jutro. - Znowu bez żadnego wysiłku wskoczył na konia. Wyglądało to tak, jakby urodził się w siodle.

- Za co dostałeś to siodło? - spytała niespodziewanie.

Uśmiechnął się. Niebieskie oczy załśniły.

- Za ujeżdżanie mustanga. To była dodatkowa nagroda dla zwycięzcy rodeo w Houston.

- Dobrze jeździsz.

- W każdym razie utrzymałem się w siodle przez osiem sekund.

- Naprawdę sądzisz, że możesz powstrzymać Toma Standisha?

- Oczywiście, złotko. Znam doskonały sposób.

Cichy i łagodny głos Hawka przeniknął ją do głębi. Może naprawdę chciał jej pomóc?

- Uważam, że powinniśmy zreperować ogrodzenie jeszcze dziś - powiedziała. - Nie życzę sobie, żeby krowy Toma jadły moją trawę.

- Nie zdążymy przygotować się do rana. A nie warto naprawiać czegoś, co zaraz może być zniszczone. Poczekamy.

Chciała zaprotestować, lecz powstrzymała się. Mogło to przecież być częścią jego planu. A jeśli było możliwe, że płot znowu zostanie popsuty, to miał rację. Pieniądze nie spadały jej z nieba. A słupki i drut kosztowały ją coraz więcej.

W drodze powrotnej Hawk przyglądał się Amandzie w zadumie. Wzniosła między nimi niewidzialny mur. Odgrodziła się od niego. Wyrzucał sobie niecierpliwość i brak opanowania. Przecież zamierzał zostać na jej ranchu dłużej. Nie musiał się spieszyć. Pragnął następnych pocałunków. Ale nie tak gwałtownie przerywanych.

Myślał, co prawda, poprzedniego wieczora o czymś więcej, ale przecież mógł jeszcze trochę poczekać na następny pocałunek. Taką przynajmniej miał nadzieję. Jeszcze przed śniadaniem miał chętkę skraść Amandzie całusa. Potem, przy stole, ani na moment nie spuszczał z niej wzroku. Kiedy ruszali, poczuł wyrzuty sumienia, że nie pomógł jej wsiąść na konia. Była przecież taka mała i drobna! Lecz widok jej opiętych dżinsów, gdy przerzucała nogę ponad siodłem, sprawił, że zapragnął sam znaleźć się w takim uścisku.

Westchnął ciężko. W ten sposób nie dojdzie do niczego dobrego. Miał czas. Dużo czasu, by zdobyć Amandę Williams.

Nie, tylko nie to! W ten sposób uwiązałby się na zawsze. Telefonował niedawno do agencji handlu nieruchomościami. Powiedzieli, że szukają właśnie odpowiedniej farmy, w Montanie i Wyoming i że są na dobrej drodze. Musiał być gotów do wyjazdu, gdy tylko zatelefonują.

Tymczasem jednak był na ranchu Amandy i pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. Kiedy dojechali do domu, Amanda szybko zsunęła się z konia i podała wodze Hawkowi.

- Każę Pepe'owi rozsiodłać ją - powiedziała i już jej nie było.

Uciekła. Przez całą drogę jej myśli krążyły wokół tamtego pocałunku. Koniecznie musiała o nim zapomnieć. Żeby nie oszaleć.

- W porządku, szefowo. - Hawk przytknął palec do ronda kapelusza i poprowadził konie do stajni.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Kilka godzin później Hawk zapukał w siatkowe drzwi do kuchni. Amanda odwróciła się od pieca i wyszła na werandę.

- Muszę dostać się do miasta, żeby kupić to i owo - powiedział.  
- Walt powiedział, że mógłbym wziąć furgonetkę.

Poczuła gwałtowne bicie serca.

- Wyjeżdżasz? - spytała. Uświadomiła sobie nagle, jak bardzo chciała, żeby został. Oczywiście, doskonale wiedziała, że odejdzie, kiedy będzie miał na to ochotę. Albo gdy znowu wda się w bijatykę. Ale postanowiła ze wszystkich sił spróbować zatrzymać go. Tyle było jeszcze do zrobienia. Obiecywała sobie solennie, że będzie panować nad sobą w przyszłości. Żadnych pocałunków.

Hawk, wiedziony impulsem, ujął ją pod brodę i spojrzał prosto w oczy.

- Wszystkie moje rzeczy zostały w twoim baraku. Moje siodło jest w twojej stajni. Sądzisz, że zamierzam ukraść auto i nigdy nie wrócić?

Oblizła wargi i wolno pokręciła głową. Po prostu bała się, że wyjedzie, że zostawi ją. Czemu zareagował w taki sposób?

- Przywożę coś, co na zawsze powstrzyma ataki sąsiada. Wróć, zanim się spostrzeżesz.

- Na obiad? - szepnęła.

Delikatnie przesunął palcem po jej ustach. Jeszcze raz. Zrobiło mu się gorąco. Okazało się nagle, że miał strasznie ciasne dżinsy. Nie mógł oderwać od niej oczu. Dotykał jej warg i pragnął chwycić ją w objęcia i znowu zakosztować słodkiego smaku pocałunków.

- Wróć na obiad - powiedział.

- Kluczyki zostawiłam w stacyjce. Jedź ostrożnie.

Kiwnął głową i ruszył w kierunku auta. W oddali, przy korycie z wodą stał Pepe. Przyglądał się im. Szczęśliwie powstrzymał się

tym razem i nie pocałował jej. Mogłaby wściec się, gdyby zrobił to na oczach innych ludzi. A tak mógł czekać spokojnie. Okazja na pewno jeszcze się nadarzy. Na pewno kiedyś znajdą się sami. Tylko we dwoje.

Amanda patrzyła za odchodzącym Hawkiem. Wróci, pomyślała. Może nawet już na obiad! Teraz koniecznie chciała poznać cały plan powstrzymania Toma. Może wieczorem, kiedy Joey uśnie, będą mogli porozmawiać? Może znowu zaprosi ją na huśtawkę na werandzie?

Lecz wątpliwości nie opuszczały jej. Może jednak byłoby lepiej, gdyby wyjechał? Już raz się wplątała. W historię z Bobbym Jackiem. A tamten nie dorastał Hawkowi do pięt.

Ale przecież nie mogła, nie wolno jej było stracić głowy. Mistrz rodeo nie był dla niej odpowiednim mężem. Nie mogła ryzykować, znowu się narażać. Kiedy ostatnio uległa porywowi serca, skończyło się tym, że została na świecie sama, ze zrujnowaną reputacją. I z dzieckiem. Nie. Nigdy więcej nie zaufa mężczyźnie. To zbyt niebezpieczne. Poza tym musiała myśleć o Joeyu.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez cały ranek Amanda uczyła Joeya. Właściwie przerobiła już z nim cały program zerówki. Umiał już przeczytać prosty tekst, znał podstawowe działania matematyczne, potrafił nazwać i narysować różne figury geometryczne. Była dumna ze swego synka. Uwielbiała te ich wspólne lekcje.

Joey pracowicie stawiał literki. Nie były zbyt równe. Pisanie nie było jego najmocniejszą stroną i Amanda wiele czasu poświęcała na doskonalenie tej umiejętności. Ale *w przyszłym tygodniu skończą* już program i będą mogli wziąć się za coś innego. Podczas ostatniego pobytu w Thermopolis kupiła gry i malowanki. I tak Joey nadal będzie się uczył, uważając jednak, że bawi się ze swoją mamą.

Delikatnie pogłaskała go po głowie.

- Co, mamusiu? - spytał zdziwiony.

- Nic, nic, kochanie. Chciałam tylko dotknąć cię.

Kochała go tak bardzo, że chwilami przerażało to ją. Na początku wcale tak nie było. W ogóle nie chciała mieć dziecka. Ale kiedy okazało się, że jest w ciąży, gdy Joey przyszedł na świat, pokochała go bez pamięci. Nie przeszkadzało jej, że w każdej chwili, do końca życia miała dostrzegać w nim cechy Bobby'ego Jacka. Kochała Joeya. Należał tylko do niej. I gotowa było zrobić wszystko dla jego bezpieczeństwa.

- Dobrze? - Joey podsunął jej zapisany arkusz.

- Doskonale! - Przyjrzała się starannie wypracowanym literom. Sięgnęła do szuflady, wyjęła z małego pudełeczka samoprzylepną złotą gwiazdkę i uroczyście nakleiła na górze kartki.

Mały uśmiechnął się radośnie. A jej zrobiło się ciepło na duszy.

Przytuliła synka i pocałowała go w policzek. Pachniał małym chłopcem, końmi i sianem.

- Oj, mamusiu! - Joey wyrwał się i potarł policzek.
- Głupie bzdury? - uśmiechnęła się.
- Właśnie. - Z radością przyglądał się złotej gwiazdce na swojej pracy. - Chciałbym pokazać to Hawkowi.
- Nie ma go teraz. Wróci na obiad. Będziesz mógł pokazać swoją pracę jemu, jak również Waltowi i Pepe'owi.
- Dobrze. Mogę iść się bawić?
- Oczywiście. Kiedy tylko poskładasz wszystkie swoje rzeczy.
- Po co? Przecież jutro znowu będę ich używać.
- Być może. Ale chcę mieć porządek w biurze.

Bez dalszych protestów chłopczyk włożył kartki i kredki do swojej szuflady i wybiegł.

Amanda przyglądała się pracy syna. Zastanawiała się, co Hawk powie, gdy ją zobaczy. Od początku zorientowała się, że nie miał doświadczenia w obcowaniu z dziećmi. Lecz poprzedniego wieczora, na huśtawce, rozmawiał z małym bez skrępowania. Mimo to mógł nie chcieć, żeby zawracało mu głowę jakieś dziecko.

Postanowiła sprawdzić, czy Joey nie dokucza Hawkowi. W końcu został on przyjęty do pracy w gospodarstwie, a nie do opieki nad dzieckiem. A poza tym nie chciała, żeby zwykły robotnik mógł powiedzieć, że jej syn naprzykrza mu się.

Nie wyglądało na to, by Hawkowi przeszkadzało towarzystwo chłopca. Podczas obiadu słuchał go z zainteresowaniem, rozmawiał. Amanda sama przed sobą musiała pochwalić Hawka. Nie każdy potrafi tak poważnie potraktować pięcioletniego chłopca.

A Joey, dumny, że dorosły rozmawia z nim tak poważnie, opowiadał mu o swoich lekcjach.

- I dostałem złotą gwiazdę. Chcesz zobaczyć?
- Oczywiście. Kiedy byłem w twoim wieku, też dostałem kilka złotych gwiazd - powiedziała Hawk.
- Naprawdę? Za co?
- Za ortografię.

- Phi! Ja też potrafię napisać wiele wyrazów. Na przykład „krowa”. Albo „wodze”.

- To bardzo ważne słowa dla farmera - powiedział Hawk z powagą.

- Przyniosę moją pracę...

- Po jedzeniu, Joeyu - wtrąciła Amanda, posyłając Hawkowi przepraszające spojrzenie. - Twoja praca nie ucieknie. Będziesz mógł pokazać ją wszystkim po obiedzie.

- Ale Hawk chce zobaczyć ją teraz - zaprotestował Joey.

- Mogę poczekać. Pokażesz mi także, gdzie odrabiasz lekcje, dobrze? - powiedział Hawk.

- Mogę, mamusiu?

- Po jedzeniu. - Amanda uśmiechnęła się i skinęła głową. Spojrzała na Hawka. - Dziękuję.

- Ja chodziłem do szkoły. - Hawk wzruszył ramionami. - Nigdy nie widziałem, jak wygląda nauka w domu.

- Chłopiec powinien pójść do szkoły - odezwał się Walt gderliwie. - Dopóki tam nie pójdzie, nie nauczy się radzić sobie z innymi.

- Kiedy będzie starszy— ucięła Amanda. Jak zawsze, gdy o tym mówiono. Wiedziała, że wcześniej czy później Joey będzie musiał pójść do szkoły w mieście. Powinien przecież poznać kiedyś inne dzieci. Chłopców i dziewczynki, którzy w przyszłości mogą być jego sąsiadami. Ale jeszcze nie teraz, pomyślała. Jest jeszcze zbyt mały. A po mieście wciąż krążyły złośliwe płotki. Kiedy będzie starszy. Wtedy będzie umiała wyjaśnić mu całą historię.

- Dostałeś w mieście wszystko, czego chciałeś? - spytała Hawka.

- Jesteśmy gotowi - skinął głową.

- Do czego? - spytał Pepe.

- Pora już pokazać sąsiadom, że nie będziemy siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak niszczą nam ogrodzenie i wypasają bydło na naszej ziemi.

Amanda zwróciła oczywiście uwagę na to, że Hawk powiedział: „naszą ziemię”. Popatrzyła na Walta i Pepe'a. Czy oni mówią o „Pokerze” „nasze ranczo”? zastanowiła się. Czemu tak ją drażniła ta

forma u Hawka? Czy tylko dlatego, że przyjechał dopiero poprzedniego dnia? Czy może po prostu nie ufała mu?

- Czas już najwyższy, to prawda. Ale jak chcesz tego dokonać? - spytał Walt, prostując się na krześle.

- Dałem ogłoszenie w gazecie i na tablicy przy sklepie, że oferujemy wszystkim pastwisko. Po siedem dolarów dziennie za każdą krowę czy konia. Jeśli teraz któryś z sąsiadów wpędzi zwierzęta na nasz teren, po prostu każemy mu zapłacić.

- Mówisz poważnie?! Możemy tak zrobić? - Amanda szeroko otworzyła oczy.

Pokiwał głową.

- To znaczy, że weźmiemy od Standisha pieniądze za to, że jego bydło pasło się na naszej łące? - spytał Walt z niedowierzaniem.

- Oczywiście! Obejrzałem dziś z Amandą tamten wąwóz. To jest idealne miejsce do niszczenia ogrodzenia. Łatwo zrobić to niezauważalnie. Ale krowy nie przejdą tamtędy same. Zbyt dużo tam skałek i głazów. Ktoś musiał przegnać stado. Zresztą zauważyłem ślady kopyt kilku koni.

- On nie zapłaci - powiedziała Amanda.

- Owszem, zapłaci. - Hawk spojrzał jej prosto w oczy. - Albo nie dostanie z powrotem swoich krów. Rozmawiałem z bratem. Jest prokuratorem okręgowym w Cheyenne. Podał mi kilka stosownych przepisów prawnych.

- Tom powie, że bydło weszło tam samo. Że płot był uszkodzony i...

- I tu go właśnie mamy - przerwał Hawk.

- Jak to? - spytał Pepe. Obaj starsi panowie aż pochyłili się do przodu, słuchając, zafascynowani, słów Hawka.

- Kiedy byłem w mieście, opowiadałem na prawo i lewo, że moją pierwszą pracą tutaj będzie reperacja zniszczonych płotów i że zabiorę się do tego jutro z samego rana. Zakładam więc, że za dzień lub dwa Standish znowu wróci. Mam rację?

Trzy głowy kiwnęły potakująco. Trzy pary oczu nie odrywały się od jego twarzy.

- A my już tam będziemy czekać. Na niego lub jego ludzi.

- I?

- Będziemy tam, ukryci wśród skał. Kiedy przyjadą, zaskoczemy ich. Udowodnimy, że działają świadomie i z premedytacją.

- I myślisz, że odjadą potulnie i nigdy już nie wrócą? - W głosie Amandy brzmiało zwątpienie. Wierzyła, że Hawk jest w stanie pomóc jej, że powstrzyma wszelkie szykany. Dlatego była aż tak bardzo zaskoczona. Czyżby chciał bić się z nimi?

- Zaufaj mi. - Hawk mrugnął do niej. - Wszystko będzie dobrze.

Amanda odsunęła krzesło i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Joey, zabierz Hawka do biura i pokaż mu, gdzie odrabiasz lekcje - powiedziała. - Potem możesz pobawić się na dworze aż do zmroku. - Starła się uniknąć spojrzenia Hawka. Udało się, ale z wielkim trudem. Przez moment sądziła, że Hawk wymyślił coś zaprawdę skutecznego. Ale on nie znał Toma Standisha. Jego plan to była mrzonka. Tak samo uważali chyba Walt i Pepe. „Zaufaj mi”, powiedział. Jakby mogła zaufać mężczyźnie. Nigdy w życiu! Wolała wierzyć w siebie. Może powinna ogrodzić pastwisko murem z cegieł? Wtedy Tom Standish i jego ludzie na pewno tamtędy nie przejdą.

Albo też udreć ją tak, że któregoś dnia podda się i sprzeda to ranczo. Robert Pembroke ucieszyłby się. On i Tom byli dobrymi przyjaciółmi. Była przekonana, że to Robert namówił Toma, by jej dokuczał tak bardzo, żeby zdecydowała się wyjechać. W końcu obaj mieli w tym interes. Robert postawiłby na swoim - wygnałby ją z miasta. A Tom nie miałby nic przeciw kupieniu rancza za jakieś marne pieniądze.

Nie, pomyślała, nie poddam się. Nie ustąpię!

- Dobra robota, Joey. Napisałeś te literki doskonale. - Hawk siedział przy stole i z poważną miną oglądał pracę Joeya. - Twoja mama musi być z ciebie dumna.

- Nooo, pocałowała mnie. - Joey odruchowo potarł policzek. - Mama lubi takie głupie bzdury.

Hawk pokiwał głową. Wrócił myślami do czasów, kiedy sam

miał pięć lat. Matka już wtedy odeszła. Więc żadne wspomnienia „głupich bzdur” nie zapisały mu się w pamięci. Zgorzkniały ojciec nie poświęcał synowi zbyt wiele czasu. Dlatego Hawk tak bardzoIGNĄŁ do kolegów w szkole i do panny Jamison. Uwielbiał swoją nauczycielkę. Szukał u niej tego, czego nie mógł znaleźć w domu. Ale panna Jamison nigdy nie posunęła się do „głupich bzdur”. Patrząc na Joeya musiał przyznać, że starania Amandy dały wymiennie rezultaty.

- Mama świetnie nadaje się do tego. Lubisz uczyć się w domu? Nie wolałbyś chodzić do szkoły w mieście?

Dlaczego chłopiec był uczony w domu? Czy ze względu na kłopoty z dojazdem? A może to po prostu taki system nauczania?

- Nigdy nie jeżdżę do miasta. Może kiedy będę starszy - odparł Joey.

Hawk uśmiechnął się. Ostatnie zdanie musiało być cytatem.

- Mogę zabrać cię do miasta któregoś dnia, jeśli zechcesz. Zaproszę cię na lody.

- Naprawdę, Hawk?!

- Najpierw będziemy musieli poprosić o zgodę twoją mamę.

- Mamusiu, mamusiu! - Joey wybiegł z pokoju i po chwili słychać było jego rozgorączkowany głos dobiegający z kuchni.

Dwie minuty później w drzwiach stanęła Amanda. Z rękami wspartymi na biodrach, z oczami miotającymi błyskawice.

- Joey nie potrzebuje jeździć do miasta. I nie podsuwaj mu takich pomysłów - rzuciła sucho.

Hawk patrzył na nią zdumiony.

- Zabrać go do miasta to dla mnie żaden problem - powiedział.

- Mogę zafundować mu lody.

- Nie.

- Boisz się, że go porwę? - spytał cicho, wstając.

Jej oczy pałały gniewem.

- Oczywiście, nie. - Amanda szybko pokręciła głową. - To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie chcę, żeby Joey jeździł do miasta.

- Dopóki nie będzie starszy.

- Właśnie.

- Dlaczego?

- Daj spokój. Hawk. Przecież wiesz, dlaczego. Jak uważasz, co ludzie w mieście powiedzą mojemu synowi?

- Myślisz, że ktokolwiek mógłby powiedzieć coś dziecku? - Hawk uniósł brwi ze zdumienia.

Pokiwała głową.

- Nie chce mi się w to wierzyć. Jeżeli pojedzie ze mną, nikt nawet nie domyśli się, kim jest.

- Jeżeli nawet nikt nie powie nic wprost jemu, to przecież mógłby usłyszeć jakąś rozmowę. To jest moje dziecko, Hawk. Nie chcę, by spotkała je jakakolwiek przykrość.

- Złotko, nie możesz za niego przejść przez życie. Nie sprawisz, by nigdy nie został zraniony. Wcześniej czy później...

- Lepiej później. Jest zbyt młody, by słuchać obrzydliwych oszczerstw o swojej matce.

Długą chwilę Hawk przyglądał się jej w milczeniu.

- To jest zapewne kolejna rzecz, którą powinniśmy spróbować zmienić - powiedział z namysłem.

- Jeszcze jeden wspaniały pomysł? Jak ogłoszenie w sprawie opłat za wypas zwierząt i oczekiwanie, że Tom Standish poniecha psucia mojego ogrodu? - prychnęła.

Nie spuszczać z niej oczu, Hawk pokręcił głową.

- Nie. W tym wypadku to może potrwać znacznie dłużej. Pomyśl o tym.

- Zrób to. Lecz tymczasem Joey nie będzie jeździł do miasta, rozumiesz?

- To ty jesteś matką.

Kiwnęła głową i odwróciła się. Chodziło o to, że w obecności Hawka czuła się jak podłotek oszołomiony zainteresowaniem starszego mężczyzny. Z marsową miną weszła do kuchni. Ze złością pchnęła siatkowe drzwi i przysiadła na stopniach werandy. Joey bawił się przy zagrodzie dla koni. Uwielbiał konie. Kiedyś będzie musiała kupić mu kucyka. Czas już był najwyższy, by zaczął uczyć się jeździć konno.

Może Hawk mógłby go uczyć? pomyślała. Pokręciła głową. Sama potrafiła zadbać o swojego syna.

Tymczasem Hawk tkwił bez ruchu, rozważając wszystko, czego dowiedział się o Amandzie Williams. Podniósł się wreszcie i ruszył, by jej poszukać. Po chwili stał tuż za nią. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Czuł, że powinien coś zrobić. Ale wciąż nie znał całej sprawy. Wiedział tylko to, co powiedziała mu Amanda. Nie poznał jednak wersji Bobby'ego Jacka. I już jej nie pozna. Czy Amanda mówiła prawdę, czy specjalnie przedstawiła siebie jako ofiarę? Z tego, co wiedział o kobietach, wynikało, że potrafiły dbać o swoje sprawy. I wodzić mężczyzn za nos. Mogło przecież być tak, że to ona próbowała uwieść Bobby'ego Jacka. Czy i na niego także zastawiła sidła?

Ale mogło też być tak, że powiedziała prawdę.

- Amando? - powiedział cicho.

Zareagowała każdym nerwem. Zamrugała gorączkowo powiekami, odwróciła się i popatrzyła na Hawka. Napotkała skupione spojrzenie i dostrzegła mocno zaciśnięte szczęki.

- Jesteś zły? - spytała. Na pewno był. To było widać. Miała nadzieję, że nie na nią. Bezwiednie popatrzyła na jego dłonie noszące jeszcze ślady bójki sprzed przyjazdu do Tagget.

- Trochę. - Usiadł obok niej, lecz nieco niżej. W ten sposób ich głowy znalazły się na tym samym poziomie. Amanda mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Zauważyła zadrapania na szczęce i jednodniowy zarost na policzkach. I zapragnęła nagle dotknąć go, przekonać się, jak czułaby go palcami... ustami.

Z trudem zapanowała nad sobą.

- Dlaczego? - zapytała. Musiała zmusić się do myślenia o czymś innym niż o nim.

- Złości mnie, że pozwalasz tym ludziom onieśmielać się, straszać. Ty i twój syn macie prawo bywać w mieście, kiedy tylko zechcecie.

- Co? - Nie spodziewała się takiego komentarza. Patrząc na Hawka potrząsała głową. - Nie wiesz, jak to jest. Cudowna rodzinka Bobby'ego Jacka zagięła na mnie parol. A to są najbardziej wpływowi ludzie w mieście. Jestem pewna, że gdyby tylko hipoteka mojego rancza była obciążona jakimś długiem, bank już dawno



zabrały mi je. Nigdzie nie mogę liczyć na kredyt... Wszędzie tylko słyszę: „forsa na stół”. Jestem szykanowana na każdym kroku. Widziałeś tych ludzi w restauracji i tamtych w sklepie. Za każdym razem jest tak samo. Unikam Tagget jak tylko mogę i oczywiście nie chcę, by mój syn tam jeździł.

- I trwa to tak już od sześciu lat?

- Niezupełnie. Przestałam bywać w mieście dopiero wówczas, kiedy... kiedy zamieszkałam z Jonasem. Ale kiedy zachorował, musiałam jeździć do miasta po zakupy. Raz pojechałam do Bobby'ego Jacka. Tuż przed jego śmiercią. Wyśmiał mnie wtedy, robił dwuznaczne propozycje, a kiedy nie wytrzymałam i wybuchłam gniewem, zwyczajnie roześmiał mi się w twarz. Wtedy wszystko zaczęło się od nowa. Myślę, że kazał kumplom znowu opowiadać bzdury na mój temat. Tak czy inaczej, od tamtej pory nienawidzę jeździć do miasta.

- Dlaczego umarł?

- Przez wódkę. Rozwalił swój samochód na przydrożnym drzewie - powiedziała sucho.

- Piękny spadek zostawił synowi.

- Joey nic nie wie o swoim ojcu - odparła szybko.

- Kolejna sprawa, która czeka na wyjaśnienie, aż będzie starszy?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Może ci się nie podobać sposób, w jaki wychowuję syna, ale tak właśnie będzie. Nie potrzebuję twojej zgody. - Hawk siedział tak blisko, że czuła niemal ciepło jego ciała. Splotła dłonie i ścisnęła je kolanami, żeby powstrzymać się od dotknięcia go.

Nie potrzebowała jego zgody, to prawda, ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby interesował się tym, co ona robi. Tak jak chciałyby, żeby popatrzył na nią z uwielbieniem i pochwalił.

- Wiesz, złotko, uważam, że to, co robisz, robisz doskonale. Ale czasem lepiej jest uczyć się i poznawać prawdę w młodym wieku. W ten sposób można uniknąć szoku i stresów w latach późniejszych.

Zastanawiała się przez moment.

- To tak jak dowiedzieć się w dniu osiemnastych urodzin, że jest się adoptowanym dzieckiem, tak? - spytała.

- Tak, właśnie. Co mu odpowiadasz, kiedy pyta o ojca?

- Nie pyta.

- To dziwne. Na pewno pyta innych. Założę się, że Pepe'a lub Walta. I na pewno powiedzieli mu, żeby z tobą o tym nie rozmawiał.

- Uważasz, że powinnam powiedzieć mu, że jego ojciec był pijakiem, kobieciarzem i wielkim ladaco? I że jego matka to największa latawica w mieście? - spytała z gniewem.

Pochylił się i położył palce na jej ustach.

- Jego matka nie jest największą latawicą w mieście. Do wściekłości doprowadza mnie zawsze niesprawiedliwość. Moim zdaniem, z tym właśnie mamy tutaj do czynienia. Czas najwyższy, żebyś przestała się ukrywać. Przestań tolerować oszczerców. Powiedz światu całą prawdę.

Odepchnęła jego rękę.

- Próbowала mówić prawdę. Dlatego właśnie znalazłam się w takim położeniu. Powinnam była wyjechać bez słowa, urodzić dziecko i porzucić je. Tak jak radziła mi matka.

- Nie denerwuj się. Sądzę, że twoja matka nie jest dobrą kobietą.

- Chyba nie powinien był tego mówić. Jego matka była z nim tak krótko, że nawet nie mógł przekonać się, czy była dobra, czy zła. Amanda miała jednak matkę, kiedy dorastała.

- Masz rację. Lecz miałam tylko ją.

- Gdzie jest teraz? - spytał.

- W Phoenix. Przeprowadziła się tam pięć lat temu.

- Kiedy urodził się Joey?

- Właściwie tuż przed jej wyjazdem. - Oblizła wargi. Zagubiona w błękitnie jego oczu traciła kontrolę nad rozmową. Nigdy przedtem nie rozmawiała o swoim życiu. Starła się nie dostrzegać jego złych Stron. Cieszyła się tym, co dobre. A Hawk? Był dobrem czy złem?

- Amando - powiedział łagodnie, zamykając w dłoniach jej rękę.

- Słucham? - wyszeptowała. Znowu zamierzał ją pocałować. Wiedziała o tym. I miała mnóstwo czasu, by go powstrzymać. Przecież nie zniewalał jej. Lecz nie poruszyła się. A nawet pochyliła się nieco ku niemu.

Poczuła jego wargi na swoich ustach - twarde i gorące. Dotknął ich delikatnie, pieścizotliwie. Z cichym westchnieniem oddała mu pocałunek. Gdy poczuła jego język, rozchyliła usta. Objął ją, przechylił nieco głowę i całował.

Amanda poddała się dręczącej tęsknocie. Pogłaskała Hawka po twarzy. Zapragnęła więcej. Chciała czuć jego dotyk. Na szyi, na ramionach, na piersiach. Pragnęła go.

Odsunęła się, przestraszona, z szeroko otwartymi oczami.

- Nie mogę - szepnęła zdumiona, że potrafiła jeszcze pożądać mężczyzny. Po tym, co przeszła.

- Wspaniale całujesz - mruknął, wplatając palce w jej włosy. Oczyma wyobraźni widział ją w swych ramionach. Czuł niemal jej słodki ciężar.

Pragnął jej.

Amanda dostrzegła w jego oczach błysk pożądania i spróbowała odwrócić wzrok, wyrównać oddech i powstrzymać szaleńczy galop serca. Bez skutku. Nie mogła poruszyć się, wpatrzona w mężczyznę, który rozbudził drzemiące w niej od dawna pragnienia. Musiała znaleźć dość siły, by wyrwać się z tej pułapki.

- Nie dam się omamić czułymi słówkami. Nie pozwolę znowu zniewolić się mężczyźnie. Zwłaszcza jakiemuś wagabundzie, który ledwo zjawił się, a już uważa, że może wskoczyć do mojego łóżka. - Odsunęła się od niego. - Jesteś tutaj, żeby obrabiać moje ranczo, nie mnie. Chyba że zacząłeś już wierzyć w plotki z miasta.

Zerwał się na równe nogi i stanął tuż przy niej. Wściekłość wprost rozsadała go.

- Dorośnijże wreszcie, dziewczynko. Zachowujesz się jak obrażona wiktoriańska dziewczica, którą nie jesteś! Co jest złego w pocałunku dwojga dorosłych ludzi, którzy mają na to chęć? A ty, złotko, byłaś chętna jak cholera. Nie masz już, Amando, szesnastu lat. A poza tym nigdy, ani słowem nie wspomniałem, że chcę iść z tobą do łóżka!

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Amanda stała bez ruchu. Tylko serce tłukło jej tak gwałtownie, jakby chciało wyrwać się z piersi. Nie mogła pojąć, że powiedziała

to, co powiedziała. Że tak zareagowała na pocałunek. Nie przywykła do takich emocji. Od sześciu lat nie spotykała się z mężczyznami. Nie wiedziała, co w takich razach odczuwają mężczyźni i kobiety. Wiedziała jedynie, co ona czuła w objęciach Hawka. I przerażało to ją śmiertelnie.

Śniadanie następnego dnia upłynęło w dość ponurej atmosferze. Amanda poskładała naczynia w pełnej piany wodzie i w ślad za mężczyznami wyszła z kuchni. Powietrze było chłodne i rześkie, a na czystym niebie świeciło słońce. Zapowiadał się kolejny upalny dzień.

- Spakowałaś drugie śniadania? - spytał Walt, gdy szli przez podwórze.

- Co? Nie, skończymy przed południem. Zjemy w domu. - Niepokojnie spoglądała w stronę szopy. Hawk wyszedł z domu, gdy tylko skończył jeść, i teraz ładował już na samochód zwoje kolczastego drutu, słupki i szpadle. Już prawie kończył. A ona nie zamieniła z nim tego dnia jeszcze ani słowa. Czekwała, wycierając nerwowo dłonie w dzinsy.

Hawk wyszedł z szopy, niosąc dwie skrzynki z narzędziami. Spojrzał na Amandę i Walta. Zimno i obojętnie. Wstawił skrzynki do furgonetki i zwrócił się do Amandy:

- Jakieś polecenia, szefowo?

Widziała, że jest zły. Owszem, wpadła w panikę poprzedniego wieczora, ale przecież nie musiał wściekać się o to, prawda?

- Jadę z wami - powiedziała, poprawiając kapelusz.

- Ty tu rządzisz - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Nadszedł Pepe. Niósł młotki i uchwyty do drutu. Zdezorientowany, spojrzął na stojących przy aucie.

- Coś nie tak? - spytał.

- Nie. Gotowi? - Hawk usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwiczki. Uruchomił silnik i siedział nieruchomo, patrząc prosto przed siebie.

Amanda spojrzała na Pepe'a i westchnęła. To chyba nie był dobry pomysł, pomyślała. Otworzyła drzwi i wsunęła się do środka. Usiadła obok Hawka. Za nią do samochodu wszedł Pepe.

- Posuń się trochę, szefowo - powiedział. - Nie mogę zamknąć drzwi.

Jeszcze trochę? Jeszcze bliżej Hawka?!

Dotknęła udem jego uda. Przeniknęło ją ciepło. Poczuła skurcz w gardle, przypomniawszy sobie słowa, które rzuciła poprzedniego wieczora. Przypomniawszy sobie pocałunek. Walt miał rację. Pepe i Hawk poradziliby sobie bez niej. Kogo chciała oszukać? Przecież nie musiała sprawdzać, czy dobrze wykonali pracę. Hawk był świetnym fachowcem. Powiedzieli jej o tym wszyscy jego poprzedni pracodawcy. Zresztą przekonała się już o jego zaletach sama. Hawk zawsze pracował sumiennie.

Lecz stało się. Jechała. I było już za późno, żeby mogła wycofać się, nie ośmieszając się przy tym. A do tego brakowało jej odwagi. Zwłaszcza przy Hawku Blackstonie.

- Możemy ruszać - powiedział Pepe, zamykając drzwi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Hawk zatrzymał samochód tuż przed ogromnym głazem, zagrażającym im dalszą drogę w głąb wąwozu. Dalej już nie dało się dojechać. Wyłączył silnik i rozglądał się uważnie. Następnym razem będą musieli zostawić furgonetkę w ukryciu, I to miejsce nadawało się do tego. Było całkiem niewidoczne z wąwozu.

Pepe otworzył drzwiczki i wyskoczył z auta. Przeszedł na tył ciężarówki i zaczął wyładowywać słupki. Zarzucił sobie kilka sztuk na ramię i ruszył w dół.

Amanda podeszła do Hawka i dotknęła jego ramienia. Zesztywniał. Potem spojrział na nią.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór - powiedziała cicho. - Bardzo przesadziłam... przepraszam.

- Nie ma pani za co przepraszać, pani Williams. Po prostu jasno wyraziła pani swoje zdanie.

- Przestraszyłam się - wyznała, czerwieniąc się.

Zaskoczyła go. Była to bowiem ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć. Ale była to chyba prawda. Długo w nocy rozmyślał o tym, co się stało. Taki wariant również brał pod uwagę.

- Nie jestem Bobbym Jackiem. Ani żadnym z tych facetów z miasta - rzucił. Napięte mięśnie dygotały od skrywanej wściekłości. Jak mogła wziąć go za kogoś takiego samego jak tamci?! Przecież był zupełnie inny. Powinna była zorientować się od razu.

- Wiem, że nie jesteś taki jak oni. Tak mi przykro. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Nie powinnam była tak cię oskarżać. Jesteś dobry... Z własnej woli pocałowałam cię. Tylko nie mam wielkiego doświadczenia w takich sprawach.

Stała z opuszczonymi bezradnie rękami, z pałającymi policzkami. To było okropne!

Oczywiście, że nie miała doświadczenia. Jeden raz tylko zakochała się i skończyło się to dramatem. Od tamtej pory unikała mężczyzn. Poprzedniego wieczoru pomylił się co do niej. Ona była jak wiktoriańska dziewczica. I jeżeli zamierzał osiągnąć jeszcze cokolwiek ze swoją uroczą szefową, musiał o tym pamiętać.

- Przeprasiny przyjęte, chociaż zbędne - powiedział i podszedł do samochodu. Wziął kłęb kolczastego drutu i świder do wykonania dziur pod słupki ogrodzeniowe i ruszył przez kamienie. Z trudem próbował powstrzymać szaloną gonitwę myśli. Nie zamierzał niczego osiągnąć z szefową. Niedługo zabawi na jej ranchu. Do czasu gdy zdobędzie własną farmę.

Zaraz po powrocie muszę zadzwonić do agencji, pomyślał. Może już coś znaleźli.

Amanda patrzyła za oddalającą się postacią. Jeśli liczyła, że jej przeprasiny sprawią jakiś cud, to zawiodła się srodze. Wspięła się na furgonetkę. Wzięła młotki i uchwyty i powlokła się za mężczyznami. Znała Hawka dopiero od kilku dni, a już zniszczyła łączące ich koleżeństwo. W jaki sposób zmienić to, co się stało?

Gdy dotarła na miejsce, Pepe i Hawk poskładali już szczątki ogrodzenia i zastanawiali się, gdzie wiercić otwory pod nowe słupki. Rozejrzała się po okolicy ciekawa, ile minie czasu, nim Tom Standish znowu przyśle tu swoich ludzi.

Dzień był upalny. Po pewnym czasie Amanda pożałowała, że nie włożyła czegoś z krótkimi rękawami. Mężczyznom było dużo łaźniej. Kiedy zrobiło się im za gorąco, zdjęli koszule.

Wtedy jej zrobiło się jeszcze goręcej.

Szeroka klatka piersiowa i muskularne ramiona wskazywały, że Hawk nawykł do takiej pracy. Skórę miał spaloną słońcem. Widać zawsze pracował bez koszuli. Na żebrach, po lewej stronie, miał paskudną szramę. Jeśli nawet była to pamiątka po ostatniej bójce, to i tak nie przeszkadzało mu to pracować dwa razy wydajniej niż Pepe.

Amanda nie mogła oderwać od niego oczu. Podawała mu uchwyty, kiedy tego zażądał. Trzymała młotek, gdy naciągał drut. I nie odrywała oczu od grających pod skórą mięśni. Chciała ich dotknąć.

Chciała poczuć jego skórę. Cały pokryty był kropelkami potu. Ciekawe, czy jego skóra jest chłodna, czy gorąca? pomyślała.

Hawk odwrócił się nagle i spojrzał jej prosto w twarz. Nerwowo popatrzyła gdzieś w przestrzeń. Lecz czuła na sobie jego wzrok.

- Pepe! Pójdź do auta i poszukaj nożyc do drutu - powiedział Hawk.

- Dobra.

Słyszała ginący w oddali odgłos kroków Pepe'a. Po chwili zniknął za pagórkiem.

- Jeśli nie przestaniesz patrzeć na mnie w taki sposób, nie będę mógł pracować dalej - powiedział głucho.

Uśmiechnęła się.

- To chyba wszystko wyjaśnia.

- Co wyjaśnia? - Podszedł o krok.

- Co czuję do ciebie - powiedziała bez zająknięcia. Ona także zrobiła krok i wyciągnęła rękę. Ostrożnie dotknęła jego ramienia. Miała ochotę dotknąć jego piersi, lecz brakło jej odwagi.

- Amando. Wczoraj wieczorem...

- Popełniłam błąd wczoraj wieczorem i już za to przeprosiłam. Proszę, Hawk, nie miej mi tego za złe.

- Jedyne, co chciałbym mieć, to ty - mruknął. Chwycił ją w ramiona i przywarł ustami do jej warg.

Było to tak wspaniałe, jak się spodziewała. Napięta skóra Hawka była gładka i gorąca. Jego pierś zaś twarda jak otaczające ich skały. Za to pocałunek był łagodny i delikatny.

Poddała się ogarniającej ją rozkoszy. Zdumiewającym doznanom dostarczonym przez jego ręce, gdy przytulał ją, przyciskał do swych bioder. Pożądał jej. Czuła to wyraźnie. A ona pożądała jego. Przeraziło ją to, lecz i oczarowało zarazem.

Odepchnął ją.

- Pepe wraca - powiedział. Oddychał szybko. Oczy mu lśniły dziwnym blaskiem. Ten widomy dowód jego pragnień sprawił, że Amanda uśmiechnęła się.

Gdy Pepe wyłonił się zza kamienistego pagórka, Hawk stał już kilka kroków od niej.



- Przepraszam, Pepe. Znalazłem je zaraz po twoim odejściu..  
- Hawk pokazał trzymane nożyce i odciął kolejny kawałek drutu ze szpuli.

Pepe spojrział na Amandę. Potem na Hawka. Nie powiedział nic, lecz zadumał się głęboko.

- Co to za człowiek tam, na wzgórzu? - spytał Hawk kilka minut później.

Amanda podniosła wzrok. W oddali, na terenie Standisha, zobaczyła samotnego jeźdźca. Przyglądał się im.

- Nie wiem. To któryś z ludzi Toma. Na pewno.

Hawk uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Doskonale - powiedział. - Będzie mógł powiedzieć, że płot jest już naprawiony. W najbliższych dniach możemy spodziewać się wizyty.

- Te nieustanne naprawy kosztują mnóstwo pieniędzy, wiesz?  
- zauważyła Amanda.

- Następnym razem będzie ostatni - powiedział Hawk, nie spuszczać oka z samotnej sylwetki w oddali.

Skończyli wreszcie naprawę ogrodzenia i wyprostowali pochylone grzbiety. Kiedy obcy kowboj odjechał powoli, Hawk powiedział do Pepe'a:

- Myślę, że dzisiaj nie przyjadą. Ale jutro... Kto wie?

- I co wtedy, Hawk?

- Będziemy tu czekać w ukryciu, dopóki nie potną drutu. Wtedy przyłapiemy ich na gorącym uczynku.

- I to ma ich powstrzymać? - rzuciła powątpiewająco Amanda.  
- Roześmieją się nam w twarz.

- Może nie. - Hawk zamierzał przekonać Toma Standisha, że nie będą już dłużej tolerować takich napaści.

- Nie mogę się doczekać, aż powiesz Tomowi, że nie oddamy mu krów, dopóki nie zapłaci za wypas - mruzczała Amanda, gdy szli do samochodu.

- Ja także. - Hawk uśmiechnął się.

- To nic nie da - mruknęła z irytacją. - On ma co najmniej dziesięciu ludzi. Ma po swojej stronie szeryfa. I Roberta Pembroke'a.

- A ty masz po swojej stronie prawo. Jest koniec dwudziestego wieku. Nie żyjemy na Dzikim Zachodzie. Zaufaj mi tym razem, złotko.

- Niech tak będzie. - Do tej pory był tylko jeden mężczyzna, któremu ufała - Jonas. Nie sądziła, że będzie potrafiła zaufać innemu. Zwłaszcza komuś tak nieprzewidywalnemu, kto w jednej chwili prowadzi swobodną rozmowę o sprawach gospodarstwa, w chwili następnej łączy do utraty zmysłów, by na koniec powiadomić ją, że wyjedzie przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Kiedy tylko agent znajdzie mu ranczo.

I jak tu takiemu zaufać?

Uśmiechnęła się. Jak dotąd, wszystko wskazywało na to, że póki pracował w „Pokerze”, póty gotów był walczyć w jej sprawie do ostatka. Zaczynała z wolna wierzyć w to. Choć wiedziała, że nie powinna.

Całe przedpołudnie Amanda spędziła z Joeyem. Kiedy skończyli lekcje, pozwoliła mu bawić się na dworze. Sama wzięła się za domowe rachunki. Bolesne westchnienie wyrwało się jej z piersi, gdy zobaczyła wyciąg z konta bankowego. Rozpaczliwie potrzebowała więcej rąk do pracy. Ale już pensja Hawka mocno naruszyła finansową równowagę gospodarstwa. Znowu będzie musiała sprzedać kilka krów. Była już znużona nieustannym balansowaniem na krawędzi niewypłacalności. O ileż łatwiej by jej było, gdyby mogła liczyć na kredyt w okolicznych sklepach. Albo sprzedawać bydło po godziwych cenach. Tak jak sąsiedzi. Cała nadzieja w Hawku.

Poszła do kuchni szykować obiad. Wyrzała przez okno i zobaczyła Hawka w towarzystwie Joeya. Chłopiec nie odstępował go na krok. Właśnie zatrzymali się, pogrążeni w rozmowie. Hawk przykucnął i mówił coś z poważną miną. Joey pokiwał głową i po chwili ruszyli do stajni.

Amanda miała nadzieję, że Joey nie naprzykrzał się Hawkowi. Ale była pewna, że gdyby mu to było nie w smak, poradziłyby sobie bez trudu.

Bez wątplenia Joey mógł być oczarowany Hawkiem. Choćby dlatego, że Hawk był znacznie młodszy i absolutnie inny niż Walt,

Pepe i Jonas. Jedyni mężczyźni, jakich znał. Właściwie mógłby być doskonałym wzorem dla dorastającego chłopca, pomyślała. Póki był z nimi. Istniało tylko jedno niebezpieczeństwo. Że Joey przylgnie do niego zbyt mocno i odjazd Hawka może go zranić. Czy życie nie mogłoby być łatwiejsze?

Hawk uśmiechnął się, spoglądając przez ramię na drepcącego za nim chłopca. Nie miał dotąd okazji obcowania z dziećmi, ale Joey był bardzo miły. Miał fantastyczne pomysły i zadawał zabawne pytania. Był przy tym bystry i inteligentny. I chętny do nauki. Ujął go tym, że chciał z nim odrabiać lekcje. Kto wie, pomyślał Hawk, może warto ożenić się, żeby mieć dzieci?

Nie chciał jednak znaleźć się w sytuacji swego ojca. Wciąż oczekującego miłości... wszystkiego. Dlatego jego małżeństwo musi być dogadane i uzgodnione we wszystkich szczegółach. Jak poważna transakcja. Nie mógł pozwolić, by kobieta zabrała cokolwiek z jego rancza, gdyby kiedykolwiek miała porzucić go. No i dzieci muszą zostać z nim. Przewornym zawsze ubezpieczony. Może w ten sposób zdoła uniknąć losu ojca i nie zostanie w przyszłości samotnym, zgorzkniałym starcem.

- ...ze sobą - usłyszał głos Joeya.

- Co mówiłeś, współniku? - zamyślony Hawk nie usłyszał ostatniego zdania.

- Kiedy będziesz wyjeżdżać na koniu, możesz zabrać mnie ze sobą - powtórzył Joey. - Prawda?

- A co na to twoja mama? - spytał Hawk, otwierając drzwi do stajni. Zamierzał właśnie osiodłać konia i pojechać nad rzekę, żeby sprawdzić pasące się tam bydło. Do obiadu było jeszcze dużo czasu.

- Mogę ją zapytać - powiedział Joey.

- No to biegnij. Jeśli mama się zgodzi, ja nie mam nic przeciwko temu.

Joey popędził, ile sił w nożynach. Hawk uśmiechnął się. Oporządzając konia, rozmyślał o wydarzeniach ostatnich dni. Czy tydzień wcześniej, w dniu urodzin, mógł przypuszczać, że będzie zalecał się do samotnej matki i uczył gospodarzenia jej pięcioletniego syna,

knuł misterną intrygę, by powstrzymać jej mściwego sąsiada? A przecież ciągle jeszcze myślał nad sposobami zmienienia opinii o niej wśród mieszkańców miasta.

Wszystko będzie dobrze, jeżeli zakończę każdą ze spraw przed wyjazdem, pomyślał, wkładając siodło na koński grzbiet. Chyba wstrzyma się z telefonem do agenta przez dzień czy dwa. W końcu nie ma pośpiechu. Tyle jest jeszcze w „Pokerze” rzeczy do zrobienia.

Hawk zastanawiał się nad sytuacją. Na ranczu stanowczo brakowało rąk do pracy. Należało wyremontować i pomalować dom oraz wymienić część dachu stajni. Trzeba było dorobić nowe drągi do ogrodzenia wybiegu dla koni. Zawiasy przy bramie ledwo się trzymały. A jeszcze należało oczyścić wodopoje i stale kontrolować kilometry płotu. Konieczne trzeba było zatrudnić więcej robotników. Koniecznie...

- Zgodziła się! - Joey jak bomba wpadł do stajni. - Zgodziła się, Hawk. Mogę jechać!

- Doskonale, współniku. Jedziemy. - Podsadził chłopca na siodło i upewniwszy się, że mały mocno trzyma się łęku, wolno wyprowadził konia na podwórze. Wskoczył na grzbiet konia i trzymając Joeya przed sobą, ruszył naprzód.

- Juhuuuu! - krzyknął Joey.

- Spokojnie, bo spłoszysz konia. Trzymaj się dobrze. Ruszymy galopem - powiedział Hawk, popędzając wierzchowca.

- Jechaliśmy strasznie szybko, mamusiu. Szybciej niż samochód. Prawda, Hawk? - Wszyscy siedzący przy stole słuchali relacji Joeya.

- Prawda.

Amanda uśmiechnęła się do Hawka, lecz jej wzrok zaraz wrócił do syna. Już dawno nie widziała go tak ożywionego.

- A potem dojechaliśmy do stada - ciągnął Joey. - Oglądaliśmy mamy-krowy i cielątka. Ale nie było tam ani jednego taty-krowy, prawda, Hawk?

- Prawda.

- A potem... - Chłopczyk zgubił wątek. - Co było potem? - zwrócił się do Hawka.

- Potem sprawdzaliśmy stan pastwisk na tamtym terenie.
- Tak. A potem?
- Potem sprawdziliśmy wodopoje.
- Właśnie. I wtedy, mamó, musieliśmy rozglądać się uważnie, żeby nie najechać na susła, bo koń mógłby złamać nogę.

Hawk zakasłał cicho i odwrócił oczy. Jemu chodziło nie tyle o susły, co o ich nory. Nie spodziewał się, że zwykły objazd pastwisk może wzbudzić tyle emocji. Dostrzegł pełen wdzięczności uśmiech Amandy i również się uśmiechnął. Była taka urocza, gdy z wypiekami na twarzy i błyszczącymi oczami patrzyła na syna.

- Wygląda na to, że rośnie z ciebie prawdziwy gospodarz - powiedział Walt, rozbawiony opowieścią Joeya.

- Właśnie. Hawk powiedział, że gospodarz zawsze musi wiedzieć, co się dzieje z jego stadem i na jego ziemi. Musi być przygotowany na każdy... każdą... - Joey bezradnie popatrzył na swojego bohatera. - Na co gospodarz musi być przygotowany?

- Na każdą ewentualność.

Joey skrzywił się, słysząc tak trudne słowo, a Amanda zaśmiała się cicho.

- To prawda, Joeyu. Dlatego pilnie słuchaj tego, co ci Hawk mówi.

- Uwielbiam jeździć na koniu - podsumował chłopczyk.

- Ale nie zbliżaj się do niego, gdy w pobliżu nie ma dorosłych - powiedział Hawk. - Geronimo jest bardzo duży. Mógłby nie zauważyć cię i nadepnąć.

- Wiem - burknął Joey i wrócił do jedzenia.

Amanda poczuła wyrzuty sumienia. Koniecznie muszę kupić mu kuca, pomyślała. Nadszedł czas, żeby zaczął uczyć się jeździć konno. Jeśli uda się jej kupić zwierzę dość łagodne, będzie mógł sam oprowadzać je, bawić się z nim i jeździć po wybiegu. Będzie mógł nawet pojechać gdzieś dalej pod okiem któregoś z mężczyzn.

No i oni dwoje będą mogli jeździć razem. Nauczy go wszystkiego, co sama wie o quarterach i o prowadzeniu gospodarstwa w ogóle.

Jutro zadzwonię do wszystkich sąsiadów, pomyślała. Ktoś musi mieć kuca na sprzedaż. Zdawała sobie sprawę, że właściwie nie

bardzo mogła sobie na to pozwolić, ale gotowa była na każde poświęcenie dla szczęścia syna.

- Wspaniałe jedzenie, Amando. - Walt odsunął talerz.

- Cieszę się, że ci smakowało, Walt. - Obdarzyła go uśmiechem.

- Będziesz siedział z mamą na huśtawce? - spytał Joey Hawka. Amanda wstała gwałtownie i zaczęła zbierać puste naczynia.

- Dzisiaj nie, współniku. Muszę jeszcze zająć się siodłami. Wypastuję je i wypoleruję. I popatrzę w telewizor. Pepe i Walt mi pomogą. Ty też chcesz pomóc?

- Taaak! - Joey zerwał się z krzesła. - Czy mogę pomóc przy siodłach, mamó? - krzyknął, skacząc po kuchni.

- Oczywiście. - Miała nadzieję, że Hawk nie zauważył jej niezadowolenia. Przecież wcale nie spodziewała się, że spędzi z nim wieczór. Miała co robić. A poza tym Joey będzie szczęśliwy. - Przyślij go do domu około ósmej. Musi jeszcze wykapać się przed snem.

- Dobrze. - Hawk chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz rozmyślił się. Wyszedł z uszczęśliwionym Joeyem u boku.

Kiedy Amanda posprzątała już po obiedzie, wyszła na werandę i usadowiła się na huśtawce. Bardzo żałowała, że nie ma przy niej Hawka. Mogła robić dobrą minę do złej gry i udawać przed światem i przed nim, że jest inaczej, ale w głębi duszy miała nadzieję, że będzie chciał usiąść przy niej.

Jedną nogę ułożyła na poręczy, drugą odpychała się, bujając się leniwie. Z brodą wspartą na kolanie, rozmyślała. Hawk pragnął jej, była tego pewna. Ale wyczuwała, że było to coś innego niż w przypadku mężczyzn z miasta.

Hawk rozmawiał z nią. Traktował ją jak osobę, nie jak ciało. Pracę również traktował poważnie i rzetelnie.

I całował jak nikt na świecie, pomyślała.

Przecież nie ma nic złego w pocałunkach. Mężczyźni i kobiety robią to od wieków. I wcale nie trzeba zaraz iść do łóżka. Dlatego nie powinna... Nie! Już raz, jako nastolatka, popełniła błąd, I nie powinna go powtarzać.

Lecz przez następne minuty śniła na jawie. Że kochała się z nim. Że on chciał zostać z nią i pracować w „Pokerze”. Że razem spr-

wili, iż ich hodowla koni stała się sławna. Mieli dzieci, które kochali, wychowywali i którym mogli potem przekazać gospodarstwo. Chciałyby mieć więcej dzieci. Kochała Joeya, to prawda. Jednakże nic nie miałyby przeciw córeczce. I jeszcze jednemu chłopczykowi.

Lecz jeszcze cudowniej byłoby mieć męża. Kochającego i dbającego. Z którym mogłyby dzielić się radościami i smutkami. Westchnęła ciężko. Sny na jawie! Cóż za głupi sposób spędzania czasu, pomyślała. Tyle jeszcze było do zrobienia, a tak mało pieniędzy.

A następny dzień mieli spędzić ukryci wśród skał, w oczekiwaniu na niszczycieli.

Amanda naciągnęła kapelusz głęboko na oczy w ochronie przed porannym słońcem. Byli na miejscu już od godziny. Hawk wyznał im kryjówki. Gdzie indziej Waltowi, gdzie indziej jej. Tkwili wśród głązów w pobliżu płotu. Ku jej zaskoczeniu, Hawk wręczył jej aparat fotograficzny i udzielił krótkich instrukcji.

Miała robić zdjęcia od momentu, gdy przybysze zaczną rozbierać ogrodzenie. Krok po kroku, aż do końca filmu. A on zajmie się resztą.

Lecz jak dotąd nie działo się nic. Znudzona coraz bardziej, Amanda zaczęła układać w myślach listę czekających ją najpilniejszych prac. Po pierwsze, powinna dokonać kontroli całego ogrodu wokół posiadłości. Potem wszystkich płotów wewnątrz. Powinna też obejrzeć klacze i źrebięta. Walt zaglądał do nich co prawda przez cały tydzień, ale chciała zrobić to sama.

Siano. Zawsze starała się zebrać go tyle, żeby wystarczyło na całą zimę. Było już po pierwszym koszeniu, ale należało sprawdzić, na kiedy zaplanować następne. Musiała przecież wynająć maszynę. I raczej w Thermopolis niż w Tagget. Nikt z tego miasta nie zgodzi się kosić u niej. Większość mieszkańców miała jakieś długi w banku i nikt nie chciał narazić się Robertowi Pembroke'owi.

Nagły hałas przykuł jej uwagę. Zdjęła kapelusz i ostrożnie wychyliła głowę ponad kamień. Z oddali zbliżali się dwaj jeźdźcy. Kiedy podjechali bliżej, rozpoznała jednego z nich. Był to Matt

Billings, człowiek Toma Standisha. Drugiego nie znała, lecz wiedziała, że i on pracował dla Toma. Hawk miał rację. Zjawili się już następnego dnia po skończonej naprawie.

Uniosła aparat i zastygła w bezruchu. Gdy obaj przybysze znaleźli się w wizjerze, nacisnęła spust migawki. Szczęk aparatu zadudnił jej w uszach. Lecz dwaj mężczyźni nie usłyszeli niczego. Skupili się na czekającym ich zadaniu.

W mgnieniu oka Matt wydobyl z za pleców nożyce i przeciął dwa górne pasma drutu kolczastego. Niemal każdy jego gest Amanda utrwaliła na filmie.

- Wystarczy! - Z zaciętą i groźną miną Hawk wyszedł z ukrycia. Wolno podszedł do ogrodzenia. Z opuszczonymi rękami stanął tuż przed Mattem.

- Niszczenie cudzej własności jest sprzeczne z prawem, chłopcy - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Przez długą chwilę Matt rozważał sytuację, po czym przeciął kolejny drut.

- I co z tego? - powiedział drwiąco. - W zeszłym tygodniu ten płot leżał na ziemi. Nasze krowy zabłąkały się tutaj. Po prostu zabieramy je z powrotem.

- Leżał, bo wy go zniszczyliście. Nie zabierzecie dziś ani jednej krowy.

- A kto nam zabroni? - rzucił Matt, rozglądając się dookoła. Oprócz Hawka nie dostrzegł nikogo. - Ty?

- Jeśli będę musiał.

- Człowieku, o co ci chodzi?! Chcesz zrobić wrażenie na swojej szefowej? Nie musisz wysilać się aż tak bardzo. Wyglądało na to, że już wczoraj była chętna. Czy naprawdę jest w łóżku taka dobra, jak mówią chłopaki w mieście?

Reakcja Hawka była błyskawiczna. Przesadził wiszące smętnie, pocięte druty i walnął Matta w rękę. Nożyce do drutu odfrunęły wysokim łukiem. Potem chwycił go za rękę i jednym ruchem ściągnął z konia. Przestraszone zwierzę cofnęło się gwałtownie, rżąc donośnie. Nie zwalniając uchwytu, Hawk pochylił się nad Mattem.

, - Jeśli jeszcze raz powiesz coś obraźliwego na temat Amandy



Williams, osobiście powybijam ci zęby. Żebyś nigdy więcej nie powtarzał oszczerstw. Zrozumiałeś?!

- Zrozumiałem - wyjąkał Matt słabym głosem.

- Nie słyszę,

- Zrozumiałem. - Matt powtórzył głośniejszym głosem, z szeroko otwartymi oczami. - Ale wszyscy wiedzą...

- Wszyscy gównie wiedzą. Tyle ci powiem. Ta kobieta jest damą w każdym calu. Jeżeli kiedykolwiek usłyszysz, że ktoś mówi coś innego, daj mi znać. Zajmę się nim tak jak tobą, jeśli zrobisz to jeszcze raz.

- Daj spokój, człowieku, nic nie zrobiłem. Nic już nie powiem.

Hawk wolno się uspokajał. Otworzył pięści i uwolnił Matta. Miał ochotę walnąć go prosto w nos, kazać mu czołgać się w kurzu za to, co powiedział o Amandzie. Matt nerwowo oglądał się na swojego kompana. Skan Anula, przerobiła pana.

- Przekażcie swojemu szefowi wiadomość z rancza „Królewski Poker” - powiedział Hawk cichym głosem. Tylko zaciśnięte pięści zdradzały targające nim emocje. - Powiedzcie mu, że dzisiejsze sprzeczne z prawem zniszczenie płotu mamy uwiecznione na filmie. Jeżeli jeszcze raz naruszy nasz teren, pociągniemy go do odpowiedzialności prawnej.

Zaskoczony Matt rozglądał się dookoła. Amanda wyszła z ukrycia i z daleka pomachała aparatem fotograficznym. Na widok miny Matta omal nie parsknęła gromkim śmiechem. Lecz zachowała powagę. Tryumf! Cóż za wspaniałe uczucie. Nie miała pojęcia, jak długo to potrwa, lecz na razie rozgrzewało serce.

- Nasze bydło jest u was - odezwał się drugi z jeźdźców. - Musimy je zabrać.

- Niech Tom Standish zatelefonuje do nas. Musimy ustalić opłatę za wypas waszego bydła. Oddamy krowy, kiedy zapłacą - odparł Hawk.

- Nie możesz... - Pod surowym spojrzeniem Hawka słowa uwięzły Mattowi w gardle. - W porządku. Powiemy mu - odwrócił się i pobiegł do swojego konia.

- Wolnego! Zanim odjedziecie, musicie naprawić płot. - Hawk chwycił go za ramię i odwrócił w miejscu.

Matt i Jeremy Strothers - drugi kowboj Toma Standisha - w dziesięć minut uwinęli się z robotą. Przydały się im kawałki drutu pociętego poprzednim razem. Hawk, Walt i Amanda przyglądali się im uważnie. A kiedy tamci odjechali, Hawk odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę samochodu.

Amanda chwyciła kapelusz i pobiegła za nim. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała.

- Dziękuję, Hawkowi Blackstone. Nikt dotąd nie stawał tak w mojej obronie. Zachowam wspomnienie tych chwil do końca życia!

Objął ją. Była taka wiotka i delikatna. Skąd czerpała tyle sił, by witać każdy dzień z takim entuzjazmem? Bo była silna. Czuł to w uścisku jej ramion. Urocza kobiecość i stalowa moc. Cóż za zdumiewająca kombinacja.

- Zaczekam na was w samochodzie - wymamrotał Walt.

- Zaraz przyjdziemy - powiedział Hawk, pochylając się ku Amandzie. Przycisnął usta do jej warg. Ona naprawdę jest damą. Powinien *przypominać sobie o tym nieustannie*,

Ze względu na czekającego Walta, pocałunek był krótki. Stanowczo zbyt krótki, pomyślał Hawk, zmuszając się do odsunięcia od siebie Amandy. Zdjął kapelusz. Palcami przeczesał włosy.

Amanda ruszyła do samochodu, jakby płynąc w powietrzu. I wcale nie dzięki zwycięstwu nad ludźmi Standisha. Oblizła wargi, szukając smaku ust Hawka. Jej serce łomotało. Mała wrażenie, że rośnie w oczach. Niechby tylko ktoś stanął jej na drodze!

•; I wszystko to zawdzięczała Hawkowi Blackstone'owi.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Naprawdę myślisz, że Tom Standish zatelefonuje, żeby wykupić swoje krowy? - spytała Amanda. Siedziała wciśnięta między Hawka i Walta w podskakującej na wybojach furgonetce.

- Zobaczymy. Musimy teraz wywołać film. Przekonać się, czy zdjęcia dobrze wyszły.

- Chyba lepiej pojechać z tym do Thermopolis. Już widzę to „przypadkowe uszkodzenie filmu” w laboratorium - powiedziała Amanda.

- A poza tym pora pomyśleć już o wynajęciu kosiarki do trawy - odezwał się Walt. - W ten sposób upiecze się dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- O co chodzi z tą kosiarką? - spytał Hawk.

- Zawsze wynajmujemy do koszenia trawy firmę z Thermopolis. Tu, w okolicy, nie znajdzie się nikogo. W ubiegłym roku obiecywali, a potem nie przyjechali. Tłumaczyli, że mieli zbyt wielu klientów. Potem było już właściwie za późno. W ostatniej chwili trafiłam do firmy „Harrison and Sons” z Thermopolis.

- Czy Jonas też miewał takie trudności?

- Nie. Tylko ja.

- Zabiorę film do wywołania - powiedział Hawk, hamując obok stajni.

- Ja też chcę jechać.

- A więc zabierzmy Joeya. Zrobimy mu wycieczkę.

- Do Thermopolis zabierałam go już przedtem. - Amanda popatrzyła na niego krzywo.

- Nigdy nie twierdziłem, że chcesz więzić go tutaj przez całe życie. - Hawk uśmiechnął się, widząc jej irytację.

- Przecież nie jest więźniem - warknęła.

- Rozchmurz się. złotko. - Hawk poklepał ją po ramieniu. - Przecież o nic cię nie oskarżam. Zawołaj Joeya. Zabieram was na lunch.

Nie minęło pół godziny, gdy już byli w drodze. Joey wiercił się w samochodzie z radości i podniecenia. Amanda musiała przyznać, że też czuła niezwykle emocje. Kilka następnych godzin miała spędzić z Hawkiem!

- Chciałbym wpaść w mieście do adwokata - powiedział Hawk.

- Po co?

- Żeby dodać wagi naszym zarzutom wobec Standisha. Kiedy zgłosi się po odbiór bydła, każemy mu skontaktować się z twoim prawnikiem. Będzie wtedy wiedział, że to poważna sprawa.

Amanda milczała przez kilka minut. Potem westchnęła i powiedziała:

- Nie sądzę, żeby stać mnie było na adwokata. W każdym razie nie do negocjowania zwrotu krów. Jeśli dojdzie do sprawy w sądzie. .. Wtedy to, oczywiście, co innego.

- Masz kłopoty finansowe? - Hawk spojrział na nią kątem oka. Patrząc przed siebie, pokręciła głową.

- Nie, nie kłopoty. Ale muszę liczyć się z każdym groszem. Za wszystkie dostawy z Thermopolis muszę płacić drożej. To jest daleko. Nie wiem, ile w tym roku zarobię na sprzedaży krów i koni. Dlatego muszę ograniczać wydatki.

Psiakrew! Więc jednak Amanda ma kłopoty z forszą, pomyślał. Już otworzył usta, by zaproponować pomoc finansową, lecz powstrzymał się. Była zbyt dumna, by ją przyjąć. Ale jednak coś trzeba było z tym zrobić. Pomyślał o bracie. Gdyby doszło do procesu, Alec mógłby polecić kogoś, kto nie obdarłby ich do gołej skóry.

- Czy pójdziemy na lody? - spytał Joey.

Hawk uśmiechnął się. Finansowymi kłopotami Amandy będzie martwić się kiedy indziej. Tego dnia był czas radości i zabawy.

- Oczywiście! Zaraz po lunchu. Będziesz mógł pokazać mi Thermopolis. Nigdy tam nie byłem.

- To jest bardzo duże miasto - powiedział Joey z powagą. - Byłem tam wiele razy. Prawda, mamó?

- Prawda, kochanie. Przejdziemy się trochę i pokażemy Hawkowi wszystko.

To był uroczy dzień. Hawk spytał Joeya, dokąd chciałby pójść na lunch i znaleźli się w „Hamburgerowym Raju”. Amanda ze skrywanym uśmiechem przyglądała się, jak jej syn dokładnie naśladował Hawka. Tak jak on polał frytki keczupem i jak on dodał pikli do hamburgera.

- Skończyłaś? - Hawk popatrzył na spory stos frytek na jej talerzu.

- Dokończysz? - spytała, przesuwając talerz.

- Pewnie. - Wyciągnął rękę. Ich dłonie zetknęły się. Jego palce zacisnęły się mocno. Po frytki sięgnął drugą ręką. Amanda rozejrzała się niespokojnie, lecz w całej restauracji nikt nie zwracał na nich uwagi. Powoli uspokoiła się.

- A ty, współniku? Skończyłeś już?

- Już nie mogę - jęknął chłopiec.

- Lodów także?

- Nieee!

Hawk uśmiechnął się i spojrzał na Amandę. Nie mogła uwierzyć, że potrafił, tak po prostu, rozmawiać z Joeyem. Ona całkiem straciła głowę. Jego dotyk elektryzował ją. Czuła jego paraliżujące działanie każdym nerwem, każdym skrawkiem ciała. A on rozmawiał spokojnie, jakby nic się nie działo.

- A co z tobą?

- Co ze mną? - spytała przestraszona.

- Chcesz zjeść lody czy nie? - Leciutko ścisnął jej dłoń.

Amanda pokręciła głową.

- A może jakieś inne słodkości?

- Jakie na przykład? - Odwróciła wzrok, by nie widzieć iskerek rozbawienia w jego oczach.

- Choćby całus?

Tak! chciała krzyknąć. Zapragnęła posmakować znowu jego cudownych, odbierających przytomność pocałunków. Zapragnęła poczuć go.

Dźwięki i obrazy otaczającego ją świata odpłynęły gdzieś w dal. Jak wtedy, na werandzie oraz przy płocie. I jak w jej marzeniach.

- Jeśli nadal będziesz patrzeć na mnie w ten sposób, nie wytrzymam i rozciągnę cię na tym stole - rzucił.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Przyzwalająco?

- Możemy już iść? - spytał Joey, nieświadomy rosnącego pomiędzy dorosłymi napięcia.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedział Hawk. Ostatni raz ścisnął jej dłoń. Wstał i sięgnął po kapelusz.

Idąc do drzwi, Amanda czuła na sobie jego spojrzenie. Zza pleców słyszała Joeya tłumaczącego Hawkowi, jakie życzy sobie lody. Lecz wszystko, cały świat, nie miał dla niej znaczenia. Chciałaby, żeby byli już z powrotem w „Pokerze”. Żeby znaleźli jakiś ustronny zakątek, gdzie mogliby się całować.

W pewnej chwili Hawk wziął ją za rękę. Nie patrzył na nią. Tylko trzymał jej dłoń.

- Dokąd teraz? - spytał, rozglądając się niezdecydowanie.

- Do końca ulicy. Po drodze będzie zakład fotograficzny. Może wywołują tam filmy na poczekaniu?

- No to prowadź.

W pierwszej chwili była bardzo poruszona. Szła przez miasto, trzymając się za rękę z mężczyzną! Ale z wolna zaczęło jej to podobać. Mijani przechodnie uśmiechali się. Joey szedł przodem, oglądając się co chwila. On też nie widział nic nadzwyczajnego w tym, że Hawk trzymał jej dłoń. A Amanda była szczęśliwa.

Zostawili film do wywołania, kupili lody i spacerowali, oglądając wystawy. Kiedy przechodzili obok apteki, Hawk zatrzymał się.

- Zaczekajcie tu. Muszę coś kupić.

Wszedł do środka, rzucając przez ramię spojrzenie, by upewnić się, że Amanda i Joey zostali na chodniku. Poszedł w głąb sali, gdzie na samym końcu lady leżały paczuszki prezerwatyw. Jeszcze raz nerwowo rozejrzał się dookoła. Czuł się równie głupio jak wtedy, gdy jako nastolatek kupował prezerwatywy po raz pierwszy w życiu. Wcale nie miał pewności, czy w ogóle będą mu potrzebne. Lecz wolał nie ryzykować. Pragnął Amandy. Gdyby zdarzyło się, że i ona

poczułaby to samo, chciał móc zapewnić jej bezpieczeństwo. A przecież w Tagget nie mógł zrobić takich zakupów. Dopieroż wzięto by ją na języki!

- Co kupiłeś? - spytał Joey.

- Nic takiego. Zjadłeś już lody?

- Tak. Dokąd teraz pójdziemy?

- Niedaleko jest park. Chcesz pohuścić się trochę, dopóki zdjęcia nie będą gotowe? - spytała Amanda.

- Tak! - Joey natychmiast zaczął biec. Zatrzymał go dopiero okrzyk Hawka.

- Nie oddalaj się - upomniał go Hawk.

- Dobrze. Ty też będziesz się huścić, Hawk? Założę się, że ja potrafię unieść się wyżej.

- Chyba jestem trochę za duży. Ale mogę huścić ciebie. I twoją mamę też, jeśli będzie chciała.

- Nie uważasz, że ja też jestem na to za duża? - Amanda pokręciła głową.

- Ani trochę. Wyglądasz na szesnastolatkę. Wciąż możesz lubić się huścić.

Naprawdę czuła się młodo. Dzięki Hawkowi. Nim pojawił się, przez długie lata czuła się stara i znużona. A tego dnia świat wydawał się jej piękny i radosny. Z optymizmem patrzyła w przyszłość. Hawk powstrzyma Toma Standisha, pomoże podźwignąć ranczo... I jest taki dobry dla Joeya.

Puściła wodze fantazji i wyobraziła sobie, że są rodziną. Szczęśliwą i kochającą się. Pospacerują po mieście aż do wieczora. Potem wrócą do domu i...

I prysną marzenia. Zostanie szara rzeczywistość. Hawk, który jest tylko robotnikiem, Standish... No i jeszcze sianokosy, rachunki do zapłacenia i trudna decyzja, ile krów sprzedać.

Zdjęcia wyszły doskonale. Ostre i wyraźne. Hawk zamówił dwa komplety odbitek. Jeden, wraz z negatywem, zatrzymał. Drugi wręczył Amandzie.

- Weź je - powiedział.

- A co chcesz zrobić z negatywem? - spytała, chowając zdjęcia do torebki.

- Ukryję go w bezpiecznym miejscu. Nie powinniśmy ryzykować.

- Nie żyjemy co prawda na Dzikim Zachodzie - powiedziała - ale obawiasz się włamania, tak?

- Nie. To tylko tak, na wszelki wypadek. - Wziął ją za rękę i ruszyli w stronę auta. - Pora wracać do domu. Mamy jeszcze mnóstwo pracy.

Nie ujechali daleko, gdy Joey zasnął. Rozmawiali więc przyciszonymi głosami, aż w końcu umilkli. Amanda smakowała cudowne wspomnienia tego przedpołudnia. Kiedyś ten właśnie dzień będzie przywoływać jako przykład dnia szczęśliwego.

- Mam zanieść go do domu? - spytał Hawk, gdy dotarli na miejsce.

- Nie. Trzeba go zbudzić. Inaczej nie będzie spał w nocy - odpowiedziała, potrząsając delikatnie chłopcem. - Dam sobie radę.

- To świetnie.

- Hawk. Dziękuję za ten dzień. Za lunch... i w ogóle. - Przecież nie mogła dziękować mu za to, że trzymał ją za rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Musimy powtórzyć to jeszcze kiedyś. Joey bawił się świetnie. Pomyśl. Może zabrałbym go, jadąc następnym razem do Tagget?

- Nie chcę, żeby tam jeździł - potrząsnęła głową.

- Po prostu pomyśl, złotko. - Wysiadł z samochodu.

- Zaczekaj. Zapomniałeś o zakupach. - Sięgnęła po plastikową torebkę. Lecz chwyciła ją z niewłaściwej strony. Paczka prezerwatyw i paragon wypadły na podłogę. Amanda wbiła w nie oczy. Po tem powoli spojrzała na Hawka.

Stał czerwony jak burak. Napotkała jego wzrok i od razu wiedziała, że nie chciał, żeby dowiedziała się, co kupił.

- To tak... na wszelki wypadek - wymamrotał, podnosząc pudełko, torbę i kwit. Odwrócił się i szybko ruszył do baraku.

Amanda opadła na oparcie obok śpiącego syna. „Na wszelki wypadek”. Ogromna radość wypełniła jej serce. Wciąż jej pragnał.



I myślał o jej bezpieczeństwie. Zdumiona była niebotycznie, że sprawy toczyły się tak bardzo inaczej niż z Bobbym Jackiem. Podobało się jej to. Ogromnie.

Lecz nim przyszedł wieczór, Amanda zrozumiała, że mieć na coś ochotę to jedno, a okazywać, to całkiem coś innego.

Przy obiedzie nie spuszczała oczu z Hawka. Choć przyjechał tak niedawno, czuła, że zna go doskonale. Wyraziste rysy twarzy, dotyk gęstych, sztywnych włosów i delikatne, choć potężne ręce. Podobał się jej. I to, co cichym głosem mówił jej do ucha. Słowa przeznaczone tylko dla niej.

Wciąż wracała myślami do kolorowego pudełeczka. Za każdym razem robiło się jej gorąco. Lecz nie umiała, nie potrafiła okazać mu, że mogłaby być zainteresowana zacieśnieniem ich znajomości. Żeby choć na krótko mogła być kimś więcej niż tylko szefową. Ku jej zdumieniu po kolacji Hawk pożegnał się i wyszedł razem z Waltem i Pepe'em. Czyżby zamierzał wrócić dopiero wówczas, gdy Joey uśnie?

Kiedy jednak minęła godzina dziesiąta, Amanda zrozumiała, że Hawk nie przyjdzie.

Położyła się do łóżka. Wciąż tego samego, odkąd jako szesnastolatka zamieszkała w „Pokerze”. To nie było duże łóżko. Na pewno zbyt małe dla kogoś takiego jak Hawk.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że chciała... Od sześciu lat odrzucała takie myśli bez wahania. Lecz było to, zanim przyjechał Hawk.

I zanim upuściła w samochodzie paczuszkę prezerwatyw.

Cóż stało na przeszkodzie?! Miała przecież dwadzieścia trzy lata. W przeszłości wiele razy umawiała się z chłopcami. Raz kochała się z mężczyzną. Cóż stało na przeszkodzie? Przecież była dorosła.

Był tylko jeden problem. Nie wolno jej było się zakochać. Wiedziała przecież, że Hawk wyjedzie, gdy tylko kupi ranczo. Ale na razie... Póki to nie była miłość.

Kiedyś wydawało się jej, że miłość to uczucie ulotne. Dlatego gdy robiło się jej gorąco od uśmiechów Hawka, to jeszcze nie była miłość. To, że dni z nim spędzone były piękne, nie oznaczało, że go

kocha. I to, że jej serce topniało jak wosk, gdy obserwowała jego i Joeya, to też nie była miłość.

Przecież pragnienie spędzenia z kimś każdej chwili, marzenie o wspólnej przyszłości i chęć bezgranicznego zaufania komuś, to na pewno nie mogła być miłość.

Czyżby?

Boże, nie! Nie mogła pokochać wędrownego kowboja. Odebrała już od życia bolesną lekcję. W takim przypadku seks i miłość nie miały ze sobą nic wspólnego. Tak. Mogła kochać się z Hawkiem. Lecz miłość zarezerwowała dla Joeya.

Zwinęła się w kłębek i wróciła myślami do tego cudownego poranka. Usnęła, uśmiechając się.

Następnego ranka Amanda pracowała w biurze, gdy wszedł Hawk. Wydało się jej nagle, że wypełnił sobą całe pomieszczenie. Odłożyła ołówek i popatrzyła na niego. Serce zabiło jej mocno. Nie mogła zebrać myśli. Przed oczami wciąż miała paczuszkę prezerwatyw.

- O co chodzi? - spytała słabo.

- Chciałem tylko porozmawiać. - Powoli usiadł naprzeciw niej. Zsunął kapelusz na tył głowy i spoglądał na nią badawczo.

- O czym? - rzuciła podejrzliwie.

- O twoich planach dotyczących „Królewskiego Pokera”.

- Co masz na myśli?

- Uważam, Amando, że jest nas tu za mało. We czwórkę nie damy rady zrobić wszystkiego, co potrzeba. Trzeba wyremontować zabudowania. Dach w stajni przecieka. Ogrodzenie wybiegu dla koni...

- Wiem, co trzeba zrobić -- przerwała mu. Czy uważał, że była ślepa?

- Krucho z forszą - raczej stwierdził, niż spytał.

- Robię, co mogę.

- To za mało. Potrzebujesz więcej ludzi do pracy. Czy jesteś w stanie im zapłacić?

Gorączkowo odtwarzała w myślach kolumny liczb. Gdyby za-

trudniła jeszcze jednego człowieka i sprzedała kilka młodych byczków. Gdyby zbiory siana były tak udane jak w poprzednim roku...

- Jeśli tak długo musisz zastanawiać się nad odpowiedzią, to rozumiem, że nie.

- Mogę zatrudnić jeszcze jednego - burknęła.

- Potrzeba trzech. W tym przynajmniej jednego, który będzie znał się na koniach znacznie lepiej ode mnie. Ja bardziej znam się na krowach.

- Ja dużo wiem o koniach.

- Ale nie masz czasu, żeby zajmować się nimi. Tak naprawdę prowadzisz tu dwie różne hodowle. I żadna z nich nie daje tyle zysku, ile powinna.

- Uważasz, że ty robiłbyś to lepiej!

- Daj spokój, złotko. Uważam, że zrobiłaś, co tylko mogłaś, borykając się z takimi problemami. Ale nie tędy droga. - Patrzył na nią z uwagą. Przemyślał wszystko bardzo dokładnie. Rozwiązanie, jakie znalazł, niezupełnie było tym, czego chciał, ale mogło dać efekty. A poza tym wcale nie oznaczało, że kiedyś, pewnego dnia, nie kupi czegoś dla siebie.

- Moglibyśmy zostać współnikami - powiedział.

- Co?! - Popatrzyła na niego ze zdumieniem. - Nie.

- Od razu mówisz: nie. Nawet nie przemyślałaś mojej propozycji.

- Nie muszę. Nie zamierzam sprzedawać rancza.

- A ja nie chcę go kupić. Proponuję ci spółkę. Mam trochę pieniędzy. Ty ich potrzebujesz. Zostańmy współnikami i...

- Nie. Nie zamierzam wiązać się z wędrownym kowbojem, który zjawił się tu niedawno z kilkoma dolarami w kieszeni. Nie pozbędę się ani skrawka mojej ziemi. Czy to Pembroke cię tu nasłał?

- Do diabła, nie! - Hawk aż poczerwieniał z gniewu. - Nie znam go nawet.

- Wynoś się, Hawk. Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Ani twojej pomocy.

- Potrzebujesz, złotko. I to bardzo. Doprowadzisz ranczo do ruiny, jeśli nie włożysz w nie trochę forsy. - Hawk zerwał się na

równe nogi. Miał ogromną ochotę prasnąć czymś o podłogę. Amanda jest okropna. Czy nie widziała, że chciał jej pomóc?

- O mnie się nie martw, kowboju. Zdobędę gdzieś te pieniądze.  
- Wstała i wsparła na biurku zaciśnięte pięści.

- Jeśli liczysz na darowiznę od syna bankiera, to daj sobie spokój. On niczego ci już nie da - warknął.

Zamrugała gwałtownie powiekami. Z trudem przełknęła ślinę. Ból niemal oślepił ją. Wbiła wzrok w stół i powoli usiadła.

- Cholera! Nie chciałem tego powiedzieć, Amando. Przysięgam.  
- I znów dał o sobie znać jego porywczy temperament. Widząc, jak rumieniec oblewa jej twarz, zrozumiał, że przesadził. To było podłe i okrutne. I naprawdę nie chciał tego powiedzieć! Przed chwilą była jeszcze zaślepionym dzieckiem. Teraz gwałtownie stała się dorosła.

- Myślę, że powinieneś wyjść, Hawk.

- Amando, nie chciałem tego powiedzieć!

Kręciła głową, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. To tak strasznie bolało. A przecież tylko do siebie mogła mieć pretensje. Nie powinna była zatrudniać go. Po co było opowiadać mu o wszystkim. Powinna była trzymać go na dystans. Jak Walta i Pepe'a.

- Amando...

- Proszę, wyjdź.

Spojrzał na nią przeciągle, po czym niemal wybiegł z pokoju. Z wściekłością walnął pięścią w ścianę korytarza. Zaklął! Ten jego brak opanowania. Zranił ją wówczas, gdy właśnie zamierzał jej pomóc. Kiedyż wreszcie nauczy się panować nad sobą? I szybciej myśleć, niż działać. I szybciej myśleć, niż mówić.

Zatrzymał się na ganku, patrząc na stajnię. Nie chciał skrzywdzić Amandy. A teraz nie miał zielonego pojęcia, jak naprawić krzywdę. Praktycznie nazwał ją dziwką. Musiało to zabołeć ją potwornie. Jak to naprawić?

Psiakrew!

- Hej, Hawk! Pojeździmy na koniu? - zawołał Joey.

Wolno podszedł do małego. Chociaż jednemu z Williamsów mógł dać trochę radości.

Amanda westchnęła głęboko. Ale nie ukoіło to bólu w piersiach. Otarła łzy, które jakimś cudem pociekły jej z oczu. Już gorzej o niej mówiono. Nie ma się czym przejmować. A już na pewno nie jakimś kowbojem, który nic dla niej nie znaczył.

Kłamstwo!

Znaczył dla niej więcej, niż powinien. W tej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo mocno potrzebowała jego obecności, akceptacji. A on przez cały czas prowadził z nią grę!

Czy naprawdę spodziewał się, że gotowa będzie sprzedać mu w dowód wdzięczności połowę swojego majątku? Jej jedynej własności? Wszystkiego, co miała? Dzięki czemu mogła zarobić na utrzymanie, co dawało bezpieczeństwo Joeyowi, a jej pozwalało robić to, co uwielbiała?

Nigdy nie pozwoli narazić na szwank swojego rancza. A już na pewno nie dla człowieka, który uważał, że dla wygodnego i dostatniego życia gotowa była przespać się z najbogatszym chłopakiem w mieście.

Wyjęła z szuflady książeczkę czekową i szybko wypełniła jeden blankiet. Zapłata dla Hawka za kilka dni pracy. Gdy wypełniała czek, poczuła okropny ból. W ciągu tych kilku dni znalazła człowieka, z którym było jej dobrze. Przypomniała sobie tamto przedpołudnie. Czy to naprawdę było wczoraj? pomyślała.

Głupie marzenia niemądrej dziewczyny. Nie była już podlotkiem. Była dojrzałą kobietą, która musiała prowadzić gospodarstwo i wychowywać syna.

Gdy wyszła na podwórze, Hawk był w stajni. Oporządzał konia. Pomagał mu z wielką ochotą Joey. Szczotkował nogi wałacha i trajakotał jak nakręcony.

- Joey. - Amanda zatrzymała się o kilka kroków od nich. - Joeyu, kochanie, idź do domu i napij się lemoniady.

- Ojej, mamusiu. Pomagam Hawkowi. Czyszczę nogi Geronimo.

- Koń nadal tu będzie, kiedy wrócisz. No, idź już. - Kątem oka dostrzegła, że Hawk przerwał pracę i przyglądał się jej w milczeniu. Joey odłożył szczotkę na ławkę i powoli wyszedł ze stajni.

- Myślę, że to wystarczająca zapłata za tych kilka dni pracy
- powiedziała, podając mu czek.

Hawk nie poruszył się, nie drgnął mu ani jeden mięsień.

- Ktoś odwiezie cię do miasta, gdy tylko Walt i Pepe wrócą.
- Stała z wyciągniętą ręką. Mówiła cichym, lecz pewnym głosem. Nic nie zdradzało targających nią emocji. Zmusiła się do zapomnienia o marzeniach. W życiu nie ma miejsca na marzenia. Przekonała się o tym dobitnie.

- Ja nie wyjeżdżam - powiedział Hawk.

- Jesteś zwolniony. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Masz opuścić rancho najszybciej, jak się da. Kiedy tylko ktoś będzie mógł cię odwieźć.

Odłożył szczotkę i podszedł do niej. Nie za blisko.

- Nie zamierzam wyjechać, Amando. Jest mi przykro, jak diabli, z powodu tego, co powiedziałem. Nie chciałem tego powiedzieć. Wiem, że nie potrafię panować nad językiem. Wiele razy byłem już przez to w tarapatkach. Ale nie wyjadę. Wściekaj się na mnie, uragaj, wrzeszcz, rzuć czymś we mnie. Możesz nawet przez cały tydzień nie odzywać się... Ale wybacz mi, złotko. Przepraszam. Jest mi niezwykle przykro.

- Nie mów do mnie: złotko. - Głos Amandy zadrżał leciutko.

- Chcę, żebyś opuścił rancho. Nie masz tu już nic do roboty.
- Uważam, że jesteś w błędzie. Myślę, że jest tu mnóstwo pracy dla nas obojga.

Zrobił krok do przodu, objął ją i pocałował. Nie poruszyła się, ale jemu to nie przeszkadzało. Chciał po prostu trzymać ją w ramionach, czuć blisko siebie jej delikatne ciało, wdychać subtelny zapach i smakować niezwykłą słodycz. Nie mógł pogodzić się z tym, że zrujnował wszystko, zaprzepaścił. Wciąż pragnął Amandy. I nic, cokolwiek zrobił czy powiedział, nie mogło tego zmienić.

Tylko czy ona nadal miała dla niego choć cień sympatii? Czy też definitywnie przekreślił wszystkie szanse? Musiał dowiedzieć się tego za wszelką cenę.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jakże pragnęła jego pocałunku! Lecz nie takiego. Kiedy w uszach wciąż dźwięczały jej te straszne słowa. Obezwładniały ją. Nie mogła się poruszyć. Powinna odepchnąć Hawka, spoliczkować go, kazać mu wynosić się z rancza. Lecz nie mogła, nie potrafiła zaprotestować.

Całował tak wspaniale. Trzymał w objęciach jak w pułapce. Czowała jego siłę, ciepło. I miała wrażenie, że kolana robią się jej miękkie jak z waty. Zaciśnęła dłonie na jego koszuli. Wiedziała, że powinna uwolnić się, przerwać tę przyjemność. To nie było uczciwe. Pragnęła rozkoszować się jego dotknięciami, jego obecnością.

Lecz przecież udowodnił, że niczym nie różnił się od mężczyzn z miasta, z którymi walczyła już od sześciu lat. Lepiej przerwać to natychmiast, pomyślała, niż popełnić nieodwracalną pomyłkę.

Jego wargi zawędrowały na jej policzek. Muskał go delikatnymi pocałunkami. Potem raz po raz całował ucho.

- Możesz wrzeszczeć i wymyślać, możesz kopnąć mnie albo nie odzywać się do mnie przez tydzień... Ale pozwól mi zostać, Amando. Pozwól mi zostać - wyszeptał.

Zadrzała i zamknęła oczy. Musiał wyjechać. Po tym, co powiedział, nie mogła pozwolić mu zostać. Powinna wyrwać się z tego szaleństwa, z tych rozkosznych objęć i oszałamiających pocałunków. Ale jeszcze przez sekundę będzie tak blisko niego. Nim wygna go precz.

- Amando.

Odepchnęła go. Pochylił głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Omal nie pękło mu serce, gdy spostrzegł, że były pełne łez. Nigdy nie czuł takiego bólu. Po żadnej bójce, po żadnym starcie w rodeo. Świadomość, że aż tak zranił tę kobietę, bolała jak nic dotąd.

- Potrzebujesz mnie, Amando. Pracy, którą mogę wykonać. Nie

pozwól, by mój niepoohamowany charakter zniszczył to wszystko. Proszę!

Zatrzepotała powiekami, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Serce ścisnęło mu się, gdy patrzył na te wysiłki. Zamknął oczy i Pomalutku zbliżył usta do jej warg. Pocałował ją, a ona odpowiedziała tym samym. Boże! Pragnął jej jeszcze bardziej niż dotąd. Byłby szczęśliwy, gdyby znów powróciła do niego.

Niech diabli porwą jego charakter!

W tym momencie nadjechali Walt i Pepe. Hawk usłyszał tętent koni i odsunął od siebie Amandę. Szybko cofnął się do boksu wałacha.

Amanda odwróciła się. Odruchowo dotknęła policzka. Wyszła bez słowa. A on patrzył za nią pełen niepewności. Wciąż miała w ręce czek. Nie powiedziała, że może zostać... chociaż nie powtórzyła, że musi wyjechać. I wciąż miała ten czek...

Kiwnęła głową Waltowi i Pepe'owi, a potem weszła do domu. Na ustach czuła żar warg Hawka. Nadal czuła dotyk jego ramion. Jej serce tłukło się jak szalone. A on ciągle był na ranczu. Niech go diabli!

- Hej, mamusiu. - Joey kończył właśnie opróżniać szklanekę z lemoniadą. - Już wypilem. Mogę dalej pomagać Hawkowi?

Zawahała się. Zapragnęła uchronić chłopca przed wpływem Hawka. Nie chciała, żeby Joey zżył się z nim zbyt mocno. Ale mały uwielbiał przebywać w jego towarzystwie.

- Oczywiście - odparła, wzdychając z rezygnacją. - Tylko żebyś nie przeszkadzał.

- Nie przeszkadzam. Hawk lubi, kiedy mu pomagam! - krzyknął, wybiegając z kuchni.

Amanda poszła do biura. Podeszła do biurka i zorientowała się, że wciąż trzyma w dłoni czek. Pożegnalny. Przyglądała mu się przez długą chwilę, a potem zmięta go gwałtownie. Wrzuciła papier do kosza, usiadła i sięgnęła po księgi rachunkowe. Musiała znaleźć pieniądze na zatrudnienie nowych ludzi. Przynajmniej jeszcze jednego dodatkowo... i jednego na miejsce Hawka. Może powinna dać ogłoszenie w gazecie w Cheyenne? pomyślała.



Jakiś czas później Amanda zawołała Joeya i kazała mu poszukać Walta.

- Chciałaś mnie widzieć, Amando? - Walt zatrzymał się w drzwiach, obracając w rękach kapelusz.

- Tak. Wejź i usiądź na chwilę. - Westchnęła głęboko. - Chciałabym, żebyś został brygadzystą w '„Królewskim Pokerze”.

- Co? - Oczy starca zrobiły się wielkie jak spodki.

- Pragnę więcej czasu poświęcić koniom. Ktoś musi dopilnować bydła. Pracujesz tu od lat. Zaczynałeś z Jonasem. Zapewne zdażyłeś już zapomnieć więcej, niż ja kiedykolwiek wiedziałam. Dam ogłoszenie w gazecie w Cheyenne, że zatrudnię ludzi. Będziesz miał zatem więcej rąk do pracy.

- Nie umiem być brygadzystą, Amando. - Walt bezradnie pokręcił głową. - Przez całe życie po prostu robiłem przy krowach. Nigdy nie rządziłem, nigdy nikim nie kierowałem.

- Musisz jedynie wiedzieć, co trzeba zrobić, i kazać ludziom wykonywać to.

- Nie, kochanie. Ja się do tego nie nadaję. Zrób brygadzystą Hawka. Jest bystry, pracowity i też zna się na krowach.

- Nie! - Amanda westchnęła. - Nie uważam, żeby Hawk się nadawał. On wkrótce wyjedzie.

- Kiedy znajdzie coś dla siebie. Ale coś mi się widzi, że nie szuka zbyt uparcie. Pobędzie tu z nami jeszcze długo - powiedział Walt z namysłem.

- Ja potrzebuję ciebie, Walt. Jeśli chcesz, możemy na początek robić to razem. Dopóki się nie przyzwyczaisz. Będziemy razem ustalać, co ma być zrobione i kto powinien to wykonać. Proszę, Walt. - Z trudem przełknęła ślinę. Nie chciała zmuszać go, błagać. Lecz czuła rosnącą desperację. Nie chciała znowu dyskutować z Hawkiem Blackstone'em.

- Oczywiście, jeśli naprawdę tego chcesz, kochanie. Od czego mam zacząć?

Odetchnęła z ulgą. Pierwszy krok już zrobiła.

Omówili zadania na najbliższy tydzień i przydzielili je poszczególnym osobom. Amanda zrobiła notatki i na koniec wręczyła je Waltowi.

- No, to postanowione - powiedziała. - Teraz wiesz, co Pepe i Hawk mają do zrobienia. Jeśli będą jakieś problemy, decyduj sam.

- Czy ty wyjeżdżasz? - spytał nagle.

- Oczywiście, że nie! Zamierzam tylko poważniej zająć się końmi. Na poprzedniej aukcji poszło nam całkiem nieźle. Chciałabym rozwinąć tę hodowlę, sprawdzić siebie.

- No, tak. Zawsze szalałaś za końmi. W porządku, Amando. Zrobię, co będę mógł.

- Wiem o tym, Walt. Dziękuję. - Amanda uśmiechnęła się ciepło. Po raz pierwszy tego dnia poczuła się bezpiecznie.

Na obiad Amanda usmażyła kurczaki. Do tego była kopa tłuczonych ziemniaków i gotowany groszek. Na deser upiekła ciasteczka. Gotowanie uspokoiło ją. Zawsze lubiła to zajęcie. Od pierwszych dni u Jonasa. Po raz pierwszy w życiu poczuła się wtedy potrzebna. Była ważnym członkiem zespołu.

Tęskniła za Jonaszem. Wciąż nie mogła pogodzić się z myślą, że nigdy go już nie zobaczy. Był prosty i gburowaty, lecz kochał ją po swojemu. Marzyła czasem, by jej matka tak potrafiła. Albo żeby Jonas został jej ojczymem. Chociaż wtedy i tak nie kochałaby go bardziej.

Kiedy siedzieli już przy stole, Amanda odchrząknęła. Wszyscy spojrzeli na nią.

- Chciałabym powiedzieć wam, że od dzisiaj uczyniłam Walta brygadzystą - powiedziała. - Zaczyna już od teraz. W gazecie w Cheyenne dam ogłoszenie, że szukam ludzi do pracy. Walt pomoże mi wybierać pracowników. - Przez cały czas patrzyła na Pepe'a. Na Hawka nie spojrzała ani razu, choć czuła na sobie jego wzrok.

- Chyba nie potrzeba brygadzysty, kiedy jest nas tak niewielu - zauważył Pepe.

- Od tej pory nie będę zajmowała się krowami. Tylko końmi - powiedziała Amanda.

- No cóż. Gratuluję, stary przyjacielu. Robisz karierę - powiedział Pepe, uśmiechając się szeroko.

- No, wiesz... to nie był mój pomysł - bąknął Walt.

Amanda spuściła oczy. Nagle zupełnie straciła apetyt. Czy powinna przeprosić i wyjść? Czy może raczej...

Warkot silnika na podwórzu przykuł jej uwagę. Wstała i ruszyła do drzwi. Była bardzo zdziwiona. Rzadko miewali gości. Kiedy zobaczyła, kto wysiadał z samochodu, poczuła ucisk w żołądku. Byli to szeryf Yates i Tom Standish.

- Kto przyjechał, mamusiu? - spytał Joey, gotów już zejść z krzesła.

- Jedz obiad, Joeyu. To Tom Standish i szeryf.

Hawk wstał i szybko przeszedł przez kuchnię. Stał tuż za Amandą. Nie spojrzała na niego, ale poczuła się nieco pewniej.

- Amando - odezwał się szeryf, zatrzymując się po drugiej stronie siatkowych drzwi.

- Co pana sprowadza, szeryfie?

- Sprawa służbowa. Muszę z tobą porozmawiać.

- Proszę wejść. - Otworzyła drzwi i odwróciła się. Omal nie wpadła przy tym na Hawka. - Jemy właśnie obiad - powiedziała, omijając Hawka i kierując się do biura.

- Mam nadzieję, że to nie zabierze nam zbyt dużo czasu - powiedział szeryf. Razem z Tomem szli za Amandą. Hawk ruszył za nimi. Stukanie wysokich obcasów po drewnianej podłodze dźwięczało mu w uszach.

Bez względu na wszystko Amanda była zadowolona, że Hawk był przy niej. Nie chciała zostać sama.

- Znasz Toma - powiedział szeryf.

Amanda skinęła głową.

- Ale Hawk go nie zna. Hawku Blackstone, to jest Tom Standish, a to szeryf Yates - przedstawiła.

Tom długo wpatrywał się w kowboja. Potem przeniósł wzrok na Amandę. Lecz nie odezwał się ani słowem.

- Amando, Tom wniósł na ciebie oskarżenie o kradzież bydła - zaczął szeryf Yates.

- Kradzież! Czy pan oszalał? Nie ukradłam mu ani jednej krowy - krzyknęła.

Hawk zawrzał z wściekłości. Natychmiast zrozumiał taktykę Toma Standisha. Nie był to łatwy przeciwnik.

- On mówi, że masz jego bydło - powiedział szeryf.

- Nie ukradłam go. Przecież wie pan, że nie zrobiłabym czegoś takiego.

- Oczywiście, wie - powiedział Hawk uspokajająco. Tylko zaciśnięte pięści pokazywały, co działo się w jego duszy. - To tylko blef, złotko. Ale powinnaś podziwiać jego zimną krew.

- To nie blef. Amanda ukradła ponad czterdzieści sztuk mojego bydła i ukryła je wśród swoich krów. Pasą się teraz na jej terenie

- rzucił Tom.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Hawk.

Tom popatrzył na niego. Szeryf wodził zaciekawionym spojrzeniem od jednego do drugiego.

- Co masz na myśli? - spytał Tom. Ciężka niepewność pojawiła się na jego twarzy.

- Skąd wiesz, ile twoich krów jest na terenie Amandy? I dlaczego uważasz, że zostały skradzione? - spytał Hawk.

- Tylu właśnie krów mi brakuje. A któż inny mógłby je zabrać?

- Nikt ich nie zabrał... zostały wpędzone na mój teren przez twoich pracowników. Nie pierwszy raz zresztą - wtrąciła Amanda.

- To kłamstwo.

- Tylko że tym razem - ciągnął Hawk, nie zwracając uwagi na okrzyk Toma - nie oddamy ich. Wywiesiłem w mieście informację o opłatach za wypas. Coś mi się zdaje, że jesteś winien Amandzie niezłą sumkę.

- To absurd! Szeryfie, żądam, żeby aresztował pan Amandę za kradzież. Niech pan aresztuje ich wszystkich. Prawdopodobnie działali w zмовie.

- Chwileczkę, Tom. Musimy mieć pewność, zanim aresztujemy kogokolwiek - powiedział szeryf Yates.

- Pokaż fotografie, złotko - cicho powiedział Hawk, nie spuszczać oczu z Toma.

- Jakie fotografie? - zainteresował się szeryf.

- Ona ma zdjęcia Matta i Jeremy'ego w pobliżu zniszczonego płotu - powiedział Tom niechętnie. - To podstęp. Prawdopodobnie sami rozwalili ogrodzenie i zwabili tam moich ludzi, żeby ich sfotografować.

- To nie był pierwszy raz - powiedziała Amanda, wręczając foto-

grafie szeryfowi. - Od śmierci Jonasa naprawiałam ten fragment ogrodzenia już przynajmniej siedem razy. I za każdym razem krowy Standisha pasły się na mojej ziemi. Oddawałam je bez słowa. Lecz przebrała się miarka. Teraz żądam zapłaty za użytkowanie mojego pastwiska.

- Lepiej obejrzyj to sobie, Tom. - Szeryf podał mu zdjęcia.

- Jest jeszcze trzech świadków, którzy potwierdzą, że to ludzie Standisha pocięli płot - powiedział Hawk łagodnie. - Czy uważa pan, że wobec tak niezbitych dowodów ci kowboje zaprzeczają, że zrobili to i że wykonywali polecenie swojego szefa?

Tom rzucił zdjęcia na biurko.

- Tym razem wygrałaś. Przyślę chłopców po moje krowy.

- Ale najpierw zapłacisz za ich wypas - powiedziała Amanda, prostując się i twardo patrząc mu w oczy. - Mam już tego dość, Tom. Nie zrobiłam ci nic złego. Jonas zostawił mi ranczo, a ja nie zamierzam go sprzedawać. Trzymaj swoich ludzi z daleka od płotu, a swoje krowy z daleka od mojej ziemi.

- Posłuchaj teraz, ty mała s...

- Wie pan, ja się łatwo denerwuję - powiedział Hawk, robiąc krok naprzód. Był wyższy od Toma przynajmniej o głowę. I potężniejszy. No i przynajmniej o dwadzieścia lat młodszy. Tom bez trudu zrozumiał, co może się zdarzyć, jeśli powie choć jedno słowo, które nie spodoba się Hawkowi.

- Radzę ci, Standish - powiedział szeryf Yates - zapłacić tej pani, zabrać swoje bydło i w przyszłości trzymać się z daleka od „Królewskiego Pokera”. - Mówiąc to, z groźną miną ruszył do drzwi.

Tom wahał się przez moment, po czym podążył za szeryfem.

- Czek przyślę jutro - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Kiedy moi chłopcy przyjadą po krowy.

Amanda zastygła w bezruchu. Wstrzymała oddech i słuchała odgłosu kroków dwóch mężczyzn idących przez dom. Potem słysząc było trzaśnięcie drzwi, warkot silnika i odjeżdżający samochód.

Rzuciła okiem na Hawka.

- Dziękuję - powiedziała. Nawet nie chciała myśleć, jak przebiegłaby ta rozmowa, gdyby Hawka nie było przy niej. Komu szeryf uwierzyłby, gdyby nie miała tych fotografii? Jej czy Tomowi?

Czy był to już koniec kłopotów za Standishem? Czas pokaże. Tę potyczkę wygrała ona.

- Nie ma sprawy, złotko. Świetnie sobie radziłaś.

Jego pochwała sprawiła jej więcej przyjemności, niż powinna. Kiwnęła głową i wskazując drzwi, powiedziała:

- Obiad stygnie.

- Prowadź zatem - odparł.

Pokręciła głową. Nie chciała znów znaleźć się blisko niego.

- Chciałabym przez chwilę zostać sama. Zaraz przyjdę.

Kiedy wyszedł, usiadła na krześle, by dać odpocząć roztrzęsionym kolanom. Dokonała tego! Nie sama, rzecz jasna, ale to nie mąciło słodkiego smaku zwycięstwa. Przechytrzyła Toma Standisha. I szeryf stanął po jej stronie. To zdumiało ją najbardziej.

A wszystko to zawdzięczała Hawkowi Blackstone'owi. Z bólem serca przypomniawszy sobie wydarzenia z ranka. Ten sukces niczego nie zmienił w tamtej sprawie. Czuła wdzięczność, rozczarowanie i ogromny żal. Z uczuciem kompletnej pustki w głowie opadła na oparcie i zamknęła oczy.

Gwałtownym szarpnięciem Hawk podciągnął popręg. Był zły. Wściekły. Co prawda, sam przed tygodniem powiedział, żeby nie odzywała się do niego, ale wcale tak nie myślał. Nie spodziewał się, że ona to zrobi. Wolałby już, żeby wrzeszczała i wyładowała jakąś swoją złość.

A tu, szósty dzień mijał, odkąd rozmawiał z nią ostatnio. Nie licząc zdawkowych uwag przy posiłkach. Dopóki nie przyparł jej do muru, nie tylko nie odzywała się do niego, ale nawet nie patrzyła w jego stronę. Każdego ranka Walt odczytywał kartkę z zadaniami. Tak się zawsze składało, że jemu przypadały prace jak najdalej od domu.

- Kartki! Tak jakbym sam nie wiedział, czyj to cholerny pomysł - mruzczał. Zsunął strzemiona, jeszcze raz sprawdził siodło i wskoczył na konia. Opuścił kapelusz na oczy i po chwili jak huragan mknął przez prerię, ku najdalszym krańcom posiadłości. Kontrolować następny fragment ogrodzenia.

- Kiedyś wreszcie wybaczysz mi - szeptał wśród szumu wiatru. Na

czystym niebie wstawało słońce. Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Kolejny dzień spędzony w siodle na rozmyślaniach o Amandzie.

Pragnął jej za każdym razem, gdy ją widział. Czasami, kiedy rano szykowała śniadanie, miała jeszcze na policzku odcisnięte ślady poduszki. Z trudem powstrzymywał się, by nie wziąć jej twarzy w dłoń i całować.

Tylko wieczory bywały gorsze. Kiedy rozgrzana gotowaniem pachniała cudownie chlebem, kwiatami i sobą. Pragnął przygarnąć ją i tulić. Tylko tulić.

No, może troszkę więcej.

Dużo więcej.

Zacisnął ręce na cuglach i spróbował odegnać te myśli. Ale bez powodzenia. Z wolna doprowadzało go to do szaleństwa. Jedyne, co podtrzymywało go na duchu, to przekonanie, że nie jest sam w tej udręce. Nigdy nie uchwycił jej spojrzenia, lecz wiele razy czuł jej wzrok, gdy patrzył w inną stronę. Wiedział, że przy posiłkach słuchała go. Nawet wówczas, gdy udawała, że tak nie jest.

Przeklinał w duchu swój niepohamowany temperament. Do wściekłości doprowadzała go świadomość, że czas mijał bezpowrotnie, a on walił głową we wzniesiony przez nią niewidzialny mur. Jedyne nadzieję w tym, że może czas coś zmieni. Gorzej na pewno być nie mogło.

Amanda była właśnie w stajni, gdy usłyszała warkot samochodu na podwórzu. Zdziwiła się. Sprawę z Tomem już załatwiła. Przysłał czek i czterech ludzi zaraz następnego dnia po tamtej potyczce. Wciąż nie mogła wyjść z podziwu, że była to taka duża suma. Siedem dolarów dziennie za czterdzieści krów, za te wszystkie dni...

Zaniepokojona, zatrzymała się w drzwiach. Była sama. Hawk jeździł gdzieś po dalekich krańcach posiadłości, Walt pracował nad rzeką, a Pepe pojechał do miasta.

Dwa samochody podjechały tuż pod bramę. Wysiedli z nich ci sami dwaj, których przyłapali na cięciu ogrodzenia.

- Witamy panią, pani Williams. - Matt trzasnął drzwiami i dołknął palcem runda kapelusza. Jego kolega stanął tuż obok.

- Czego sobie życzycie? - spytała ostrożnie. Tamci stali bez

ruchu. Widać było, że nie zamierzają niczego próbować. W końcu nie mogli przecież wiedzieć, że była sama.

- Przyjechałem przeprosić panią. Wtedy, tam przy płocie, nie wiedziałem, że pani jest w pobliżu. Bardzo mi przykro, że usłyszała pani to wszystko. Powtarzałem to, co gadali faceci w mieście. - Nerwowym ruchem wytarł dłonie w spodnie i zerknął na kompana.

- Ja... to znaczy Jeremy i ja, chcielibyśmy przeprosić za to, że zniszczyliśmy ogrodzenie. Wiedziałem, że to nie w porządku, ale wykonywałem tylko polecenie - wydusił.

- Ta sprawa jest już załatwiona - powiedziała sucho.

- Tak, proszę pani. - Kowboj stał nieruchomo. Tylko jego oczy omiatały wszystkie zakamarki. Drugi z mężczyzn z uporem wpatrywał się w ziemię.

- Coś jeszcze? - spytała Amanda.

Matt odkaslnął. Popatrzył na kolegę, potem znów na Amandę.

- Po prawdzie, to... proszę pani, słyszeliśmy, że pani szuka ludzi do pracy.

Nie mogła wykrztusić słowa ze zdumienia.

Matt znowu zakaszał.

- Jeśli to prawda, to... my zgłaszamy się. Wiem, że się nie popisaaliśmy, ale może mogłaby pani jakoś nam to wybaczyć. Robiliśmy tylko to, co nam kazano. Jesteśmy w tym dobrzy - dodał z powagą.

- Wyłał nas - wybuchnął Jeremy. - Powiedział, że nie potrzebuje takich, którzy dają się schwytać kobiecie.

Patrzyła na nich oszołomiona. Potrzebowała rąk do pracy, a na ogłoszenie w gazecie w Cheyenne nadal nikt nie odpowiedział. Zastanawiała się. W końcu nie mogli zrobić jej nic złego. A ona naprawdę potrzebowała pracowników. Teraz dostała czek od Toma. Miała więc czym im zapłacić. A potem sprzeda kilka krów. Uśmiechnęła się, kiedy wyobraziła sobie minę Toma, gdyby dowiedział się, na co przeznaczyła jego pieniądze.

- Chyba mogę dać wam szansę. Chodźmy do biura, omówimy szczegóły.

- Tak jest, proszę pani!



Nastał wieczór. Wszyscy siedzieli przy obiedzie. A Amanda nadal nie była pewna, czy postąpiła słusznie. Walt nie powitał nowych pracowników szczególnie entuzjastycznie. Nie potrafił zapomnieć, że to oni niszczyli płot. Ale Amanda zapewniła go, że na pewno będą pracować solidnie. Tylko czy aby nie mówiła tego, w co sama chciała wierzyć?

Ona zaś dużo bardziej obawiała się reakcji Hawka. Ten jednak nie okazał żadnych emocji. Po prostu przywitał się z nimi i zaczął opowiadać o ich przyszłej pracy.

Przyglądała się im w skupieniu. Ani Matt, ani Jeremy nie byli dużo od niego młodszy. A przecież wyglądali przy Hawku jak mali chłopcy. Trochę dlatego, że bezustannie żartowali i przekomarzali się ze sobą. I z Joeyem. Ale nie tylko. Było w Hawku coś, czego nie potrafiła nazwać, a co czyniło go dojrzałym. Poważniejszym.

Widać było, że Matt i Jeremy byli zażyłymi przyjaciółmi. Mieli podobne poczucie humoru i w ten sam sposób patrzyli na świat. I, tak jak Pepe i Walt, doskonale czuli się w swoim towarzystwie.

Przez cały czas przyglądała się im bardzo uważnie. Nie dostrzegła jednak w ich zachowaniu niczego niestosownego. Żartowali, bawili wszystkich przy stole. Joey był szczęśliwy. Starał się dorównać im. Amanda zastanawiała się, czy pojawienie się w domu dwóch nowych mężczyzn osłabi nieco przywiązanie chłopca do Hawka. Właściwie wyszłoby mu to na dobre. Powinien mieć różne wzorce do naśladowania.

Tymczasem jednak Joey na krok nie odstępował Hawka. Tylko do niego zwracał się, gdy czegoś nie rozumiał. Jeszcze tydzień wcześniej patrzyłaby na to z radością. Teraz wywoływało to w niej niepokój. Joey nie powinien nazbyt przywijać się do człowieka, który wkrótce miał ich opuścić.

Właściwie już mogła go zwolnić. Dwóch nowych pracowników wystarczyło aż nadto.

Lecz szybko poniechała tej myśli. Lepiej poczekać kilka dni, przekonać się, ile są wari. Wyrzucić Hawka zawsze zdąży.

Tylko czy potrafi? Czyż nie próbowała przed tygodniem? I co? Nie usłyszał. I jeszcze pocałował ją.

Samo wspomnienie wywołało gorący rumieniec na jej policz-

kach. Szybko wbiła oczy w talerz, by ukryć swoje myśli. Czy pocałowałyby ją, gdyby znów próbowała zwolnić go z pracy?

- Czy mogę pojechać z Hawkiem, mamusiu? - usłyszała podniekscytowany głos Joeya. - Mogę?

- Co? - Rozglądała się, zdezorientowana. - Co?

- Czy mogę pojechać jutro z Hawkiem?

Bezwiednie spojrzała na Hawka. Błękit jego oczu był głębszy niż zwykle. Poznała mgiełkę długotrwałego bólu. I nagle pojęła - cierpiał, bo i ona cierpiała!

Bez skutku próbowała odwrócić wzrok. Nie mogła. Zapragnęła nagle móc cofnąć czas. Przekreślić wszystkie straszne słowa, które wypowiedziała.

Wiedziała, że było to niebezpieczne, że znów mogła zostać z poranioną duszą. Ale tak tęskniła... za nim!

- Tak, Joeyu, możesz jutro pojechać z Hawkiem - powiedziała, spuszczać oczy. Była szczęśliwa, że nikt przy stole nie dostrzegł niczego. Nikt nie usłyszał gwałtownego bicia jej serca. Nikt nie zauważył przepełniającego ją niepohamowanego pragnienia.

Zapragnęła uciec. Lecz powstrzymała się. Był to najtrudniejszy moment w jej życiu. Czas dłużył się niemiłosiernie. Całą siłą woli zmuszała się do jedzenia, do rozmawiania. Do śmiechu. Gdy wreszcie posiłek dobiegł końca, była śmiertelnie zmęczona.

Po raz pierwszy była szczęśliwa, że musi posprzątać i pozmywać. Obejrzała się, gdy mężczyźni wychodzili z kuchni. Joey siedł wraz z nimi.

- Tylko wróc o pół do dziewiątej - rzuciła za nim.

Kiedy w końcu ułożyła Joeya do łóżka, wyszła na ganek i opadła na huśtawkę. Kiwając się leniwie, rozglądała się po ranczu. Tyle było jeszcze do zrobienia, tyle trzeba było naprawić, żeby gospodarstwo zaczęło przynosić porządne zyski. Chwilami opadała już z sił.

- Amando?

Odwróciła się. To był Hawk. Serce podeszło jej do gardła.

- Hawk.

Wcisnął ręce do kieszeni, przyglądając się jej w gęstniejącym mroku.

- Musimy porozmawiać - powiedział powoli.
- O czym? - spytała nerwowo.
- O mnie.
- Co masz na myśli? - wstała i podeszła do niego.
- Przedtem byłem ci potrzebny. Teraz zatrudniłeś dwóch nowych ludzi. Chcesz, żebym wyjechał, czy mam zostać?
- A ty czego chcesz? - Otarła o dżinsy wilgotne dłonie.
- To nie ma znaczenia. To twoje ranczo, ty tu rządzisz. Mam zostać czy pakować się i wyjechać jutro rano? Decyzja należy do ciebie. Zostałem po... tamtym wydarzeniu, bo wiedziałem, że byłem potrzebny. Przybycie Matta i Jeremy'ego zmieniło wszystko. Mogę zostać i popracować jeszcze trochę, mogę też wyjechać. Co wybierasz?

Wcale nie chciała wybierać. On zdecydował za nią przed tygodniem. Czemu teraz znów do tego wracał? Czy nie zdawał sobie sprawy, w jakiej stawiął ją sytuacji? Nie obchodziło go to? Powinna odesłać go do diabła. Zranił ją przecież niewyobrażalnie. Ale w końcu powiedział tylko to, co sądziła większość mieszkańców Tagget.

Gdyby kazała mu wyjechać, posłuchałby. Była tego pewna. Zostawiłby Tagget i nawet by się nie obejrzał. I nigdy już nie zobaczyłaby jego uśmiechu. Nigdy nie objąłby jej. Nie. Nie mogła tego zrobić. Jeszcze nie.

I choć zranił ją, to przecież ból zelżał. Pozostał żal i smutek, lecz przecież... tęskniła. Tęskniła za nim.

- A więc? Co postanowiłeś? Wyjeżdżam czy zostaję?
- Wahała się jeszcze.
- Zostań, proszę - powiedziała w końcu.
  - Dlaczego?
  - Bo chcę ciebie tutaj dla dobra rancza. - W końcu i tak miał zostać u niej tylko do czasu, gdy agent znajdzie mu coś odpowiedniego. A tymczasem przyda się jego siła, wiedza i umiejętności.
  - Zostań, dopóki nie kupisz swojego rancza - powiedziała. Miała nadzieję, że nie popełniała błędu. Wierzyła w to.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- I ja ciebie chcę.

- Co?

- Chcę zostać. Ale żeby było inaczej niż ostatnio. Chcę, by znów było tak jak wtedy w Thermopolis. Żebyś patrzyła na mnie, żebyś ze mną rozmawiała.

Podszedł bliżej.

- Chcę, żebyś pozwoliła znowu się pocałować.

- Tylko pocałować? - spytała cicho. Wyciągnęła rękę i poczuła, jak gwałtownie bije mu serce. Nie dbała o plotkarzy z miasta. Nie dbała o swoją reputację. Wiedziała, kim była.

Wiedziała już także, że to, co czuła do Bobby'ego Jacka, było tylko zaślepieniem. Gwałtowną reakcją podlotka na pierwszego przystojnego chłopaka, który okazał jej odrobinę zainteresowania.

Jej uczucia do tego mężczyzny były zupełnie inne. Głębsze, potężniejsze i trwałe. Bolało ją bardzo to, co zaszło między nimi. Pragnęła znów być z nim, dotykać go. I być dotykana.

- Wiesz, że chcę więcej. Wiesz, że jestem przygotowany na więcej.

Zamrugała powiekami. Ależ tak. Miał na myśli tę paczuszkę, którą kupił w Thermopolis.

- Chyba wiem - szepnęła.

Położył ręce na jej dłoni.

- No to jak? Zostaję?

- Ze mną? - spytała, zbliżając się do niego.

- Czy jesteś tego pewna, Amando? Chcę, żebyś była całkowicie pewna. - Delikatnie pogłaskał ją po policzku, po włosach.

- Jestem - zdążyła powiedzieć, zanim zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem.

Objął ją. Przytulił. Uniósł ją do góry i usiadł na huśtawce, sadzając

ją sobie na kolanach. Obsypywał Amandę pocałunkami, raz za razem, tak że w końcu zatraciła się w nich bez reszty. Zrzuciła mu z głowy kapelusz. Zanurzyła palce we włosy. Przycisnęła go z całej siły.

Kiedy jego usta zsunęły się w dół, gdy pocałował szyję, wyprężyła się jak kotka.

- Spokojnie, złotko. Mamy dużo czasu - powiedział. Powolutku odpiął górny guzik jej koszuli. Potem następny. Ostrożnie rozsunał materiał i zbliżył usta do rozpalonej skóry. Potem, wciąż całując, powrócił do ust. Drżała i płonęła. Przyłgnęła do muskularnego, gorącego ciała. Pragnęła go. Pożądała.

- Hawk - szepnęła. - Proszę, Hawk, chodźmy do środka.
- I co tam będziemy robić? - spytał.
- Będziemy się kochać.
- Czy jesteś pewna, Amando? Bardzo, bardzo pewna?

Kiwnęła głową. Bała się. Denerwowała. Ale bardzo, bardzo pragnęła Hawka. Kochała go. Chciała dzielić się z nim tą miłością. Nawet gdyby nie odwzajemnił jej tym samym, to i tak zostałyby jej we wspomnieniach ta jedna, cudowna noc.

Ujął w dłonie twarz Amandy i spojrzał jej głęboko w oczy. W blasku gwiazd i księżyca dostrzegł targające nią uczucia. Była szczęśliwa! Poczuł ucisk w sercu.

Nie chciał jej zranić. Pragnął tylko być z nią. Boże, jaka ona jest piękna! pomyślał. I pragnęła go.

Uśmiechnął się i złożył na jej wargach długi pocałunek. Sunął dłońmi po jej jedwabistych włosach i oczyma duszy widział je rozsypane na poduszce.

- Proszę - szepnęła znowu.
- Czego tylko zechcesz, Amando. Pragnę cię zbyt mocno, by móc ci odmówić.

Wstał i niosąc ją w ramionach, ruszył ku drzwiom.

- Mogę chodzić - powiedziała. Lecz nie wrywała się.
- Wiem. Widziałem, jak pięknie się poruszasz - powiedział i znów ją pocałował. Ileż to razy wodził za nią oczami pełnymi pożądania.
- Zaczekaj - powiedziała nagle. - Puść mnie, Hawk. Nie możemy pójść do mojego pokoju.

Postawił ją na podłodze.

- Dlaczego? Zbyt blisko pokoju Joeya?

Pokręciła głową.

- Mam pojedyncze łóżko.

- Więc?

- Będzie nam ciasno - powiedziała z wahaniem.

- Mnie to odpowiada. - Delikatnie pchnął Amandę naprzód. Całował ją w kark, gładził jej biodra i piersi. Aż znaleźli się w pokoju.

- Masz tu zamek? - spytał, zamykając drzwi.

- Nie.

- Czy Joeyowi zdarza się wstawać w nocy?

- Żartujesz?! Zawsze śpi jak zabity. - Zaczynała denerwować się, mieć wątpliwości. Czy powinna? Pragnęła Hawka tak bardzo, ale czy powinna...

- O nie, złotko. Nic z tego. - Pocałował ją delikatnie. - Znam dręczące cię pytania i wątpliwości. Nie chcę zranić cię, Amando. Pragnę dać ci rozkosz.

Jego dłonie powędrowały do bioder Amandy. Przycisnął ją do siebie, aż poczuła wyraźnie, jak bardzo jej pragnął.

Westchnęła cicho. Nic nie mogło ugasić płonącego w niej ognia.

Prędko pozbyli się ubrań. Hawk położył na nocnej szafce garść foliowych opakowań. Po chwili leżeli już w jej wąskim łóżku. Amanda głaskała twarde ramiona, brzuch, wąskie biodra i silne uda Hawka.

Nakrył dłonią jej rękę i pokierował nią. Dotknęła. Poczuła żar i pulsujące pożądanie.

Hawk próbował powstrzymać ją. Chciał rozkoszować się każdą sekundą, każdą chwilą z Amandą. Lecz ona była jak dzikie zwierzę. Głodna i zachłanna. Chciałby przedłużyć te rozkoszne pieszczoty, lecz z wolna przestawał kontrolować wydarzenia. Doprowadzała go do obłędu.

Sięgnął po jedno z kolorowych opakowań.

- Hawk?

- Jesteś gotowa? - Rozsunął jej uda. Była. Nie miał wątpliwości.

- Och, tak! - Objęła go i przycisnęła do siebie z całej siły. Zastygła w oczekiwaniu. Po sekundzie już był w niej.

- Tak! - Zamknęła oczy, by lepiej poczuć rozkosz narastającą z każdym ruchem Hawka. A jego ręce błędziły nieustannie po jej rozpalonej skórze, odkrywały przed nią niezwykle możliwości jej ciała.

- Hawk, Hawk, Hawk - szeptała jego imię, gdy zdążali do nieuchronnego spełnienia. Świat przestał istnieć. Czas przestał istnieć. Była tylko rozkosz. Ekstaza. I mężczyzna, który trzymał ją w ramionach, całował i pieścił.

Nie zaznała czegoś takiego nigdy w życiu. Nie wiedziała nawet, że jej własne ciało może tak odczuwać rozkosz. Wolno, bardzo wolno wracała do rzeczywistości. Gdzie była? Kogo obejmowała tak kurczowo? Pragnęła, by mogli trwać tak wiecznie.

Hawk całował ją. W usta, brodę, policzki i oczy. Przytulił policzek do jej policzka i wyszeptał w samo ucho:

- Dobrze?

- Dobrze? To mało powiedziane - odparła szeptem. - Raczej wspaniale, cudownie, fantastycznie.

- Taaak. Myślę, że masz rację. - Pocałował ją. - Jestem ciężki.

- Uniósł się nieco.

- Nie. Nie odchodź! - Amanda próbowała zatrzymać go.

- Nie odchodzę. Tylko nie chcę rozgnieść cię na placuszek. Oj!

- Omal nie spadł z wąskiego łóżka.

- Mówiłam ci, że to łóżko jest za małe - zachichotała.

- Łatwiej się przytulić. Zaraz wrócę. - Wyszedł do łazienki. Po chwili był już z powrotem. Położył się ostrożnie i objął ją mocno.

- Zaczynam coraz bardziej lubić wąskie łóżka. - Wsunął jej ramię pod głowę, a drugą ręką objął w talii.

Amanda leniwie odwróciła głowę i spojrzała na niego. W świetle księżyca wszystko lśniło srebrzyście. Widziała wpatrzona w siebie oczy. Patrzyły na nią z niezwykłym napięciem.

- Zadowolona? - spytał ostrożnie.

- Było cudownie. Wspaniale. I nie dbam o to, czy dowie się o tym ktokolwiek.

- No, cóż - uśmiechnął się. - Nie sądzę, byśmy musieli zamieszczać ogłoszenie w gazecie. Ale cieszę się, że nie żałujesz. Zaśnij teraz.

- Już idziesz? - Amanda pogłaskała go po ramieniu. Uwielbiała dotykać go, czuć. Bardzo blisko. Zdumiewające były te uczucia, których nie doznawała nigdy dotąd. Aż do bólu żałowała, że nie może powiedzieć mu tego. Ale przecież on wyjedzie. Na pierwszy sygnał od agenta. Niczego jej nie obiecywał. A ona nie była aż tak naiwna, żeby sądzić, że jedna wspólna noc może go zmienić. Znała mężczyzn.

Tymczasem jednak ona chciała tego samego. Jeszcze rankiem było, zapewne, inaczej, ale wieczór zmienił wszystko. Przespała się z kochanym mężczyzną. Była szczęśliwa. Po raz pierwszy od wielu lat.

- Nigdzie nie idę. Zaśnij. - Hawk wyciągnął rękę i nakrył ich kocem.

Ogarnęło ją błogie znużenie. Zamknęła oczy. Uśmiechając się, zapadła w sen. Bezpieczna w ramionach Hawka.

- Amando. - Hawk pocałował ją ponownie. Spała tak mocno, że żal było mu ją budzić. Ale nie chciał wykradać się jak złodziej. - Kochanie, już wychodzę. - Jeszcze jeden pocałunek. Gdyby nie ubrał się już, niechybnie wskoczyłby do wąskiego łóżka i kochał się z nią znowu i znowu.

- Hm?

- Muszę iść. Zanim Joey się zbudzi. Zobaczymy się przy śniadaniu. - Pocałował ją jeszcze raz.

Z trudem uniosła ciężkie powieki. Gdy oprzytomniała na tyle, że rozpoznała go, uśmiechnęła się.

- Chciałabym, żebyś został - mruknęła.

- Nie mogę. Cholera, nie mogę. - Pocałował ją po raz ostatni. Wiedział, że gdyby zsunął z niej koc, zobaczyłby ją całkiem naga. W pełnym świetle dnia. Powstrzymał się z trudem. Niestety, nie mieli na to czasu. Nie tego ranka. Pomyślał, że musi namówić kiedyś Wata albo Pepe'a, żeby na którąś noc zabrali Joeya do baraku. To byłaby wielka przygoda dla małego.

Oj, tak. Być może długo jeszcze przyjdzie im walczyć o jej reputację. Kto wie, może lepiej byłoby dać to ogłoszenie? pomyślał.

- Spotkamy się przy śniadaniu - powtórzył. Przygładził włosy.



- Dobrze. Będę czekać. - Amanda popatrzyła na niego łakomie. Kochali się jeszcze drugi raz tej nocy i była zmęczona, troszkę rozdrażniona i rozpromieniona. Westchnęła głęboko i przeciągnęła się. Powoli docierało do niej to, co zrobiła. I z kim. Dotyk pościeli na jej nagim ciele przywoływał wspomnienia Hawka. Jego dłoni, jego gorącego ciała, do którego tuliła się przez całą noc.

Niechętnie odrzuciła koc i wstała. Niemądre marzenia trzeba zostawić nocy. Czekają na nią wiele pracy.

Gdy podawała śniadanie, przyglądała się ukradkiem wszystkim obecnym. Nie. Nikt nie patrzył na nią w jakiś szczególny sposób. Walt ciągle drzemał. Pepe droczył się z Mattem i Jeremym. Jedyne Hawk wodził za nią oczami. Patrzy jak jastrząb, pomyślała. Na pewno słyszał to już wiele razy. Ale im bardziej o tym myślała, tym bardziej dochodziła do przekonania, że takie imię doskonale do niego pasowało. Był jak myśliwy, jak drapieżnik szukający ofiary. Chwytał w szpony i nie wypuszczał. I tylko taka była różnica, że ona wcale nie chciała uciekać. Przynajmniej na razie.

- No, czas brać się do roboty. - Walt dopił kawę i odstawił filiżankę. - Pepe, pojedziesz na pastwisko i obejrzysz kłaczę. Matt. Ty i Hawk pojedziecie do tego wodopoju koło...

- Nie - przerwał cicho Hawk, patrząc Waltowi prosto w oczy. Stary zamilkł, zaskoczony. Rzucił spłoszone spojrzenie na Amandę. Potem znowu na Hawka.

Amanda zadrżała. Co Hawk wyrabiał? Przecież to Walta zrobiła brygadzystą. Czyżby Hawk próbował protestować w ten sposób? Tylko dlatego, że ostatniej nocy... Przełknęła ślinę i spojrzała na Walta. Wyraźnie oczekiwał od niej podjęcia decyzji. Zawahała się. Oczy wszystkich mężczyzn były wbite w nią. Hawk postawił ją w nader niezręcznej sytuacji.

Odkaslnęła i zwracając się do Walta, powiedziała:

- Walta zrobiłam brygadzystą. To on tu rządzi.

Na Hawka nawet nie spojrzała. Nie chciała mieszać się w takie

rozgrywki. Jeżeli uważał, że skoro spędziła z nim noc, to może robić, co zechce, to mylił się bardzo. Musiała pokazać mu, gdzie jest jego miejsce. Czuła przyspieszone bicie serca. Ale to Walta uczyniła brygadzystą i musiała popierać go. Nie wolno jej było narażać jego autorytetu.

- Wieczorem będzie burza. Trzeba natychmiast załatać dziurę w dachu stajni. Zmarnuje się nam mnóstwo siana, jeśli zmoczy je deszcz. A na to nie możesz sobie pozwolić. Naprawię ten dach - powiedział Hawk. W jego głosie słychać było gniewne nuty. Była najbardziej upartą kobietą, jaką znał. Przed tygodniem zrobiła Walta brygadzystą tylko po to, by upokorzyć jego, Hawka. On o tym wiedział i ona o tym wiedziała. Powinna była spytać, czemu odmówił, a nie natychmiast stawać po stronie starego.

Walt rozważał coś, wolno kręcąc głową.

- To brzmi rozsądnie - powiedział. - Pepe. Ty pojedziesz z Mattem do wodopoju. Oczyszczicie go. Jeremy, ty pojedziesz ze mną. - Odsunął krzesło i wyszedł.

Wszyscy natychmiast ruszyli za nim. Oprócz Hawka, który siedział za stołem, nie odrywając oczu od Amandy.

- Nie miałeś prawa zrobić tego Waltowi - powiedziała, gdy drzwi zamknęły się za ostatnim wychodzącym.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś nie mianowała go brygadzystą. Oboje wiemy, że zrobiłaś to mnie na złość. Walt jest świetnym kowbojem. Zna się na robocie i jest bardzo sumienny. Ale starzeje się, złotko. Rankami dokucza mu artretyzm. I wcale nie jest mu potrzebna ta cała odpowiedzialność, którą zrzuciłaś na niego, bo pogniwałaś się na mnie.

- Ja nie...

- Bądź uczciwa, Amando. Miałaś rację. Przesadziłem i skarciłaś mnie. Ale, kochanie, karzesz niewłaściwego człowieka. Walt nie nadaje się na brygadzystę. Przypuszczam, że to ty powiedziałaś mu, co kto ma robić.

- To moje ranczo - odparła cierpko.

- Oczywiście. Ale żadne z was nie pomyślało o tym, co jest najważniejsze. Ciągłe tylko myślicie o wodzie, czyściecie wodopoje. Potrzebny ci brygadzysta, który będzie umiał zdecydować, co jest ważniejsze.

- Taki jak, na przykład, ty. To, że spałeś ze mną tej nocy, nie daje ci jeszcze prawa, żeby wywyższać się aż tak. - Amanda powoli wkładała do zlewu brudne naczynia.

Hawk podszedł z kilkoma talerzami. Ostrożnie włożył je do zlewu.

- Powiedzmy sobie jasno. To nie jest tak, że po prostu przespałem się z tobą tej nocy. Wcale nie zamierzam poprzestać na tym. Poza tym trzeba raczej powiedzieć, że to my spaliśmy ze sobą.

Amanda pochyliła głowę. Powiedział, że to nie był jedyny raz! Że nie zamierza na tym poprzestać. Radość wypełniła jej serce.

- Amando?

Odwróciła się, zaskoczona, że stał tak blisko. I znowu powróciły pragnienia. Chciałaby znów znaleźć się w jego ramionach.

- Nie zamierzam nikogo wygryzać. Chodzi mi tylko o twoje dobro. Dach w stajni wymaga reperacji, a to jest właśnie ostatni moment przed burzą.

- Powinna była pomyśleć o tym. - Amanda pokiwała głową. Musnął ustami jej wargi. Uśmiechnął się na widok jej poważnej miny.

- Na szczęście ktoś to zrobił. Nic złego się nie stało.

- Mamusiu, czy jest już śniadanie? - Zaspany Joey wszedł do kuchni. Wciąż jeszcze był w pidżamie.

Amanda odwróciła się, od zlewu i od Hawka, i uśmiechnęła się do syna.

- Oczywiście, kochanie. Siadaj do stołu. Wszyscy już zjedli. Zostałeś tylko ty. Dobrze spałeś?

Hawk przywitał się z chłopcem i wyszedł. A Amandę ogarnęło znużenie i zniechęcenie. Nie powinna była zmuszać Walta, by został brygadzystą. Tym bardziej że tak naprawdę miała to być tylko zemsta na Hawku. To nie było uczciwe. Tylko co mam zrobić teraz? pomyślała. Nie mogła przecież, ot tak, po prostu odwołać go. Obraziłaby go w ten sposób. Trudno. Musiała pozostawić wszystko bez zmian.

Godzinę później Hawk siedział na dachu i wyłuskiwał popękane dachówki. Był bardzo z siebie zadowolony. Tego dnia udało mu się opanować emocje. Amanda doprowadziła go do wściekłości. Do

białej gorączki... A przecież był w stanie się pohamować. Załatwił sprawę bez użycia siły. Nie, żeby miał uderzyć kobietę. Ale były takie chwile, że miał ochotę tłuc pięściami w mur. Nie mógł winić jej za to, że przez ostatni tydzień unikała go. Sam był temu winien. Wiedział o kobietach dostatecznie dużo, żeby zrozumieć, jak bardzo ją zranił. Prawdopodobnie i tego ranka mógł załatwić sprawę dużo lepiej. Lecz wewnątrz dygotał cały. Z żądy. Pragnął jej, rwąc z dachu stare dachówki i rzucając je na ziemię. Myślał o tym już podczas śniadania. Miał nawet zamiar pocałować ją, kiedy przyszedł Joey. I prawie gotów był uczynić to, bez względu na opinię całego świata.

Ale jeszcze bardziej pragnął, by mu zaufała. I żeby okazała to, stanęła po jego stronie. A ona poparła Walta. Gdyby stary uparł się i wysłał go do pracy przy wodopoju, też musiałyby go poprzeć.

Z punktu widzenia szefowej byłoby to rozwiązanie najślusniejsze.

Po jakimś czasie odsłonił spory fragment więzby dachowej. Zszedł po drabinie i poszedł do szopy. Walt powiedział kiedyś, że leży tam trochę dachówek. Owszem, były. Stare, połamane i nic niewarte.

Drapiąc się w głowę, patrzył na ogromną dziurę w dachu dokładnie nad stryżkiem, gdzie przechowywano siano. Koniecznie musiał coś z tym zrobić, zanim spadnie deszcz. Nie było wyboru. Czekala go wyprawa do miasta po nowe dachówki.

- Cześć, Hawk. Mogę ci pomóc? - Joey wszedł do stajni i popatrzył na dziurę.

- Cześć, współniku. Myślę, że lepiej, żebyś sam chodził po dachu. Ale potrzebujesz mi drabinę, zgoda?

- Dobra. - Mały uśmiechnął się i kopnął kawałek potłuczonej dachówki. - Co będziesz teraz robił? Kiedy będziesz wchodził po drabinie?

- Na razie nic. Muszę przywieźć z miasta nowe dachówki. Te nie nadają się do niczego. Kiedy wrócę, potrzebujesz drabinę. Co ty na to? - zwichrzył chłopcu włosy.

- Mogę pojechać z tobą?

- Jadę tylko po dachówki i zaraz wracam. Nie będzie czekało nas tam nic ciekawego.

- Chciałbym pojechać. Nigdy nie jeżdżę do miasta.

, - Musisz spytać mamę - powiedział. Doskonale pamiętał, co

Amanda myślała o wizytach Joeya w Tagget. I jak bardzo musiał prosić, żeby przemyślała tę kwestię. Uważał, że w tym przypadku bardzo przesadzała. Ale to był jej syn. A Hawk zamierzał podporządkować się jej decyzjom.

- Dobrze. Pójdę zapytać. Zaczekaj tutaj! - krzyknął Joey i pojechał do domu. Co chwila oglądał się, czy aby przypadkiem Hawk gdzieś mu nie zniknie.

Hawk uśmiechnął się i wsiadł do furgonetki. Wyciągnął się i wystawił twarz do słońca. Wiedział, że już niedługo deszcz ochłodzi powietrze. Tymczasem jednak grzał się jak kot. Marzyło mu się, żeby zabrać Amandę na przejażdżkę. Mogliby pojechać nad rzekę. Urządzić piknik. I kochać się w cieniu drzew.

Gwałtownie otworzył oczy. Nie pora na amory, pomyślał. Trzeba latać dach.

- Zgodziła się! - Joey z impetem zeskoczył z ganku i ile sił w nóżkach gnał do samochodu. - Zgodziła się! Mogę pojechać z tobą!

Zaskoczony Hawk popatrzył w stronę domu. Zgodziła się?! Powierzyła mu swego ukochanego synka? Zaufała mu. Pozwoliła zabrać chłopca do miasta. Nie do wiary!

- No cóż, współniku, ruszajmy! Im prędzej ruszymy, tym szybciej wrócimy.

Wielce zadowolony Hawk wjechał na podwórze. Kątem oka zerkał na Joeya. Powiniennem chyba umyć go trochę, nim pokażę go matce, pomyślał, patrząc na umazaną lodami buzię. Chłopiec promieniał radością i szczęściem.

Z tyłu furgonetki leżały dwie paki dachówek. Hawk nie mógł wprost doczekać się, kiedy powie Amandzie, że mają w sklepie w mieście otwarty kredyt. Chociaż nie mógł w szczegółach opowiedzieć jej, w jaki sposób go uzyskał. Na pewno uznałaby, że wymusił ów kredyt. A przecież powiedział tylko właścicielowi, że rozmaże go po podłodze.

Nie musiał długo czekać. Kiedy samochód podjechał przed dom, Amanda stała już na ganku. Z błyszczącymi oczami podeszła bliżej.

- Gdzie byliście? - spytała, gdy Hawk wyłączył silnik.

- W mieście. - Wsiadł i zatrzasnął drzwiczki. - Potrzebowałem trochę dachówek.

Zrobiła się blada jak płótno.

- Zabrałeś Joeya do miasta. Przecież powiedziałam ci, że sobie tego nie życzę.

- Kazałem mu spytać, czy mu pozwolisz jechać ze mną. Powiedział, że się zgodziłaś.

Popatrzyła na śmiejącego się do niej z auta chłopca.

- Spytał, czy może pojechać z tobą. Myślałam, że chodziło o przejażdżkę na koniu. Tak jak zwykle. - Zaciśnięte pięści oparła na biodrach. - Dobrze wiedziałeś, Hawk, że nie chcę, żeby mój syn jeździł do miasta. Cholera! Powiedziałam ci to jasno i wyraźnie.

- Jeśli dobrze pamiętam, prosiłem cię wtedy, żebyś to przemyślała i zmieniła zdanie. Kiedy mały przybiegł i powiedział, że zgodziłaś się, pomyślałem, że tak właśnie się stało. Byłem pewien, że zaufałaś mi.

- To nie jest kwestia zaufania. Tu chodzi o Tagget, o jego kołtuńskich mieszkańców.

- Nic się nie stało. Kupiliśmy dachówki, zjedliśmy lody i wróciliśmy do domu.

- To wszystko?

- Mamusiu, byliśmy w mieście. - Joey przeszedł przez fotel kierowcy i wychylił się przez okienko. Hawk wyciągnął go i postawił na ziemi.

- Właśnie widzę - powiedziała, patrząc na jego Umorusaną buzię. - I widzę, że jadłeś lody.

Kiwnął głową.

- I jedna staruszka chciała mnie zabrać, ale Hawk jej nie pozwolił. Jakiś pan ją odciągnął, a ona strasznie krzyczała.

Psiakrew!!! pomyślał Hawk. A tak liczył, że mały nie wygada się, dopóki on sam wszystkiego jej nie opowie.

»

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jaka kobieta? - spytała Amanda.

- Nie przy chłopcu - powiedział Hawk, rzucając jej znaczące spojrzenie.

- Joey, idź i umyj buzię - powiedziała Amanda. - Cały jesteś wysmarowany czekoladą.

- Dobrze. - Chłopiec pobiegł do domu. Kiedy zniknął wewnątrz, Amanda powtórzyła pytanie:

- Jaka kobieta?

- Myślę, że to była pani Pembroke. - Wyciągnął rękę, lecz ona odsunęła się.

- Gdzie to się stało?

- Na chodniku przed lodziarnią. Wychodziliśmy właśnie, gdy nas zauważyła. Patrzyła na Joeya, jakby zobaczyła ducha. Potem próbowała rozmawiać z nim, ale zabrałem go.

- Joey jest bardzo podobny do Bobby'ego Jacka - powiedziała Amanda. Jej oczy błyszczały jak w gorączce.

- Nikt nie powiedział niczego, co mogłoby zranić chłopca. A on bawił się doskonale. Pomagał mi ładować dachówki. Rozmawialiśmy o możliwościach zbudowania dla niego huśtawki w stajni. Żeby mógł huśtać się podczas deszczu.

Podszedł i położył jej rękę na karku. Potrząsnął nią delikatnie. Spojrzał głęboko w jej zatroskane oczy.

- Chłopiec bawił się świetnie, złotko. Nie stała mu się żadna krzywda.

- Mam nadzieję. Rzeczywiście wyglądał na szczęśliwego.

- On uwielbia lody. - Przyciągnął ją delikatnie do siebie i pocałował. Jej wargi rozchyliły się posłusznie. Przytuliła się do niego. Obawiał się, że odmówi. Zaprotestuje. Że będzie wściekła, ponieważ

zabrał chłopca do miasta i sprzeciwił się jej tego ranka. Ale ona nie żywiła urazy.

- Coś mi się zdaje, że nie tylko on lubi lody. Czuję smak czekolady - mruknęła.

- Chciałem przywieźć i dla ciebie lody, ale roztopiłyby się.

- Może następnym razem pojedę z tobą. - Pocałowała go.

Gwałtowny poryw wiatru poderwał tuman kurzu.

- Lepiej żebym skończył naprawę dachu. Zostawiłem tam potworną dziurę.

- Mogę ci pomóc?

- Jakbym słyszał Joeya. On ma zamiar trzymać mi drabinę. A ty co? Uśmiechnęła się, a jej oczy zaślniły.

- Lepiej nie mów, złotko. Idź na strych i pozrzucaj zbutwiałe siano. Rozrzucimy je potem po wybiegu.

- Dobrze. I chciałam tylko powiedzieć, że zamierzałam potrzymać ci młotek.

- Oczywiście! - Wymierzył jej klapsa. Jej głośny śmiech rozgrzał mu serce.

To był prawdziwy wyścig z czasem. Z nadciągającą burzą. Pracując gorączkowo, Hawk tylko od czasu do czasu rzucał okiem na ciemniejące niebo nad głową. Szybciej pracować już nie mógł. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że zdąży przed deszczem.

Zdażył niemal w ostatniej chwili. Składała właśnie narzędzia i odnosił drabinę, kiedy spadły pierwsze krople. Wspiął się na stryszek i stał z uniesioną głową. Wypatrywał śladów przecieków w załatanym dachu. Po chwili uśmiechnął się z satysfakcją. Nie przedostała się ani jedna kropla.

Amanda uprzętnęła stryszek. Zostały tam już tylko bele nie zniszczonego siana. Zapach tego miejsca, siana i deszczu przypomniawszy Hawkowi dom. Nigdy w życiu nie myślał o pracy w mieście, w jakimś biurze. Tu, na wsi, było jego miejsce.

A ranczo „Królewski Poker” z dnia na dzień wyglądało coraz lepiej. Gdyby zaangażować jego pieniądze, można by zrobić z niego cacko. Odmalować i wyreperować zabudowania. Powiększyć hodowlę. Można by zatrudnić więcej ludzi, żeby ulżyć Amandzie. Wtedy



mogłaby więcej czasu spędzać wśród swoich ukochanych koni. I z Joeyem.

Poprawił kapelusz i zszedł po drabinie. Musiał, dobrze zastanowić się, w jaki sposób podejść do niej po raz drugi. Żeby znów nie odrzuciła jego oferty.

- Miałeś rację. Już leje - powiedziała, gdy znalazł się na dole. Z jej długiego, różowego płaszcza przeciwdeszczowego spływały strumyki wody.

- Dach jest w porządku. Nie zmarnuje się już ani odrobina siana.

- Dziękuję i... przepraszam.

- Nie ma sprawy. Chodź ze mną. Porozmawiamy, kiedy będę siodłał Geronimo.

- Siodłał? Po co? Chyba nie zamierzasz nigdzie jechać?

- Muszę sprawdzić, co słychać u innych - powiedział, zarzucając siodło na ramię i sięgając po ogłowie.

- Ale ty zrobiłeś już swoje.

- Złotko. Tyle jest *jeszcze* do zrobienia. Muszę sprawdzić, czy tamci nie potrzebują pomocy.

Zdjęła kapelusz i strzepnęła z niego wodę. Nie chciała, by zorientował się, że liczyła na coś innego. Że pójdzie z nią do domu i razem spędzą resztę przedpołudnia. Zagrzałyby czekoladę. Mogliby usiąść, pić ciepły napój i rozmawiać. Mogliby też pocałować się. Raz, może dwa. Nic więcej. W końcu Joey był w domu.

Westchnęła cicho.

- Coś nie tak? - spytał Hawk, siodłając konia.

- Nic. Pomyślałam sobie tylko, że przez chwilkę moglibyśmy pobyć razem.

- Mam zamiar pobyć z tobą znacznie dłużej niż przez chwilkę. Jeszcze tej nocy. Po obiedzie. - Spojrzał na nią uważnie.

- Dobrze - odparła. - Wracam do domu. Muszę uważać, żeby Joey czegoś nie spsocił.

- Dostanę jednego na pożegnanie? - spytał.

Zamilkła, zdezorientowana.

- Całusa, złotko. Tylko całusa.

- Tak się składa, kowboju, że twoje pocałunki to wcale nie „tylko całusy”. - Pochyliła się ku niemu.

Nie kazał jej długo czekać. Jego wargi musnęły jej usta raz, potem drugi. Wreszcie przywarły w zmysłowym pocałunku.

Zapatrzona w błękit jego oczu, Amanda wstrzymała oddech.

- To mi dobrze robi - bąknął, odwracając się. Łgał, Najchętniej zaciągnąłby ją do pustego boksu i rzucił na pachnące siano. Taki całus niczego nie załatwiał. Znaczył tyle samo, co uściśnięcie ręki. A on chciał dużo, dużo więcej,

- Włożysz chyba płaszcz przeciwdeszczowy, prawda? - spytała.

- Tak, szefowo. Zaraz go wezmę. Idź już do domu.

- Szefowo - burknęła. Zamierzała przygotować wspaniały obiad. I do tego wyborny deser czekoladowy. A potem, jeżeli Joey zechce wcześniej pójść spać, będą mieli cały wieczór tylko dla siebie. Uśmiechnęła się rozmarzona.

Deszcz padał nieustannie. Kiedy nastał wieczór, wszyscy zgromadzeni w kuchni byli bardzo zmęczeni. Przemoczeni do nitki, przebrani, z ulgą usiedli wokół stołu.

Amanda nalewała zupę. Była bardzo zadowolona, że mogła cały dzień spędzić z Joeyem. Zatrudnienie Matta i Jeremy'ego było posunięciem ryzykownym, ale, przynajmniej tego dnia, opłacalnym.

Właśnie zaczęli jeść, gdy zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła Amanda.

- Matt, do ciebie - powiedziała.

- Mogę odbierać tu telefony? - Chłopak popatrzył na nią niepewnie.

- Oczywiście. Dzwonić też możesz - powiedziała.

- Dzięki. - Szybko wyszedł z kuchni i poszedł do aparatu w korytarzu. Kiedy Amanda usłyszała jego głos, odłożyła słuchawkę.

Matt wrócił do kuchni, kiedy inni jedli już rostbef.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi odebrać telefon. Nie byłem pewien, czy mi wolno to zrobić, czy nie, a jakoś przedtem o to nie spytałem.

- Nie ma sprawy. Korzystaj z telefonu, kiedy zechcesz - odparła Amanda.

- Kto dzwonił do ciebie o tej porze? - spytał Walt.

- Karen Parker. - Matt z nagłym zainteresowaniem wbił oczy w talerz.

- On się w niej kocha - powiedział Jeremy ze znaczącym uśmiechem.

- No i co? - Matt z gniewem spojrzał na kolegę. - Masz coś przeciw temu?

- Ależ skąd. - Jeremy potrząsnął głową. - To był główny powód, dla którego przyjechaliliśmy tutaj szukać pracy - zwrócił się do Amandy. - Matt chciał zostać w okolicach Tagget. Gdybyś nas nie przyjęła, musielibyśmy wyjechać gdzieś daleko od słodkiej Karen.

- Ona zna ciebie, Amando - Matt zmienił temat. - Mówi, że chodziłyście razem do szkoły.

- To prawda - ucieła Amanda.

- Karen mówiła, że nie widziała cię już od lat - powiedział Matt po chwili wahania. - Niemal zapomniała, że mieszkasz w tych stronach.

- I to prawda - Amanda pokiwała głową. - Lata całe minęły.

- Nic dziwnego - burknął Walt. - W ogóle nie wyjeżdżałaś z tego rancza.

- Przecież byłam w mieście kilka tygodni temu - powiedziała zniecierpliwiona. - Właśnie wtedy spotkałam Hawka, nie pamiętasz?

- Jeden raz, szefowo. A przedtem jak długo nie byłaś w Tagget? Chyba od śmierci Jonasa - powiedział Pepe.

Matt spojrzał na starego, a potem z niezwykłym zdumieniem na Amandę.

Hawk z zadowoleniem przysłuchiwał się rozmowie. Matt był zbyt bystry, by przeoczyć tak ważne informacje. I szybko dojdzie do interesujących wniosków. A potem, być może, pomoże Hawkowi w walce o zmianę krążących po mieście opinii o Amandzie.

- Karen mówiła, że nigdy nie widziała cię w kawiarni, w kinie czy w lodziarni ani w żadnym innym miejscu, gdzie ludzie zwykle bywają.

- Czy ktoś chce jeszcze trochę mięsa? - zapytała Amanda.

- Nic dziwnego - powiedział Walt. - W takich miejscach ludzie umawiają się na randki. A ona nie spotyka się z nikim.

- Ani razu, odkąd tu zamieszkała - dodał Pepe, widząc zdumione spojrzenia Matta i Jeremy'ego.

Zadowolony Hawk przyglądał się wszystkim z uwagą.

Amanda była coraz bardziej zdenerwowana. Nie lubiła, gdy o niej mówiono.

Walt i Pepe kontynuowali jedzenie posiłku. Nawet nie zorientowali się, co się naprawdę działo.

Matt opuścił łyżkę. Przez chwilę wpatrywał się w stół. Wreszcie westchnął głęboko.

- Chyba powinnaś wiedzieć, Amando, że plotkują o tobie w mieście - powiedział. - Prawdę mówiąc, słyszałem to i owo, zanim zacząłem tu pracować. Dlatego powiedziałem... to, wtedy przy płocie. - Jaskrawy rumieniec z wolna spływał mu na policzki. - Kiedy zatrudniłaś mnie, opowiedziałem wszystko Karen. Powiedziała, że to wszystko były tylko obrzydliwe oszczerstwa. I że bardzo wielu ludzi w mieście nigdy w to nie uwierzyło. Choćby tylko dlatego, że nikt nigdy nie widział, żebyś gdziekolwiek się pojawiła.

- Bo ona nie jeździła do miasta - odrzekł Walt.

- I dlatego, że nigdy nie umawiała się na randki - dodał Matt.

- Ale niektórzy mówili, że... że właśnie umawiała się - dodał ciszej, spoglądając na Joeya.

- Czasem ludzie kłamią - rzucił Hawk.

- Albo wyolbrzymiają fakty - powiedziała wolno Amanda.

- Najzwyczajniej w świecie łą, złotko. - Hawk spojrzał jej prosto w oczy. - Nie próbuj ich usprawiedliwiać.

- Karen kazała ci powiedzieć - ciągnął Matt - żebyś wpadła do sklepu gospodarczego, kiedy przyjedziesz do miasta, i odwiedziła ją. Ona... jasno wyłożyła swojemu szefowi, co myśli o całej sytuacji po wizycie Hawka dziś rano.

- Co się stało dziś rano? - spytała Amanda z niepokojem.

Matt spojrzał na Hawka.

- Trzeba było siedzieć cicho - rzucił Hawk.

- Co się stało dziś rano? - powtórzyła.

- Później ci powiem - powiedział Hawk, widząc, z jakim zain-

teresowaniem Joey przysłuchiwał się rozmowie dorosłych. - Kiedy nie będzie w pobliżu małych ciekawskich.

- Co się stało dziś rano? - zapytała Amanda, kiedy tylko ułożyła Joeya do snu i wróciła do Hawka, do salonu. Hawk rozпалиł ogień w kominku. A ponieważ było ciepło, uchylił okno. Chciał wpuścić do wewnątrz nieco chłodnego, nocnego powietrza.

Ujął Amandę za rękę i pociągnął delikatnie, aż usiadła mu na kolanach.

- Joey śpi? - spytał.

- Usunął już, kiedy od niego wychodziłam. Co . . . .

Położył jej palec na ustach.

- Rozmawiałem z facetem w sklepie gospodarczym o kupnie dachówek na kredyt, to wszystko. Wspomniałem przy tym coś o dyskryminacji i naruszaniu prawa. Nic więcej.

- Nic więcej?! Na pewno?

- Nic, o czym chciałbym teraz rozmawiać. Nie zostałem tu dla pogwarek. - Pocałował Amandę. Pochylał się przy tym coraz bardziej, aż w końcu położył ją na sofie.

Amanda miała ochotę dowiedzieć się znacznie więcej. Ale zrozumiała, że tej nocy nie usłyszy już na ten temat ani słowa. I nie dbała o to. Objęła Hawka i oddała pocałunek.

Całował ją, pieścił, aż do utraty zmysłów. Kiedy sięgnęła do paska przy jego spodniach, chwycił jej rękę i odsunął je. Wyszeptał jej wprost do ucha:

- Przyjdzie na to czas, kiedy będziemy w łóżku. Teraz chcę pobawić się trochę. Co ty na to?

- To czekanie doprowadzi mnie do szaleństwa - powiedziała, całując go w brodę. Poczowała delikatne łaskotanie odrastającego zarostu.

- No to będzie jeszcze lepiej, gdy trafimy do łóżka. Jak wiesz, ty też na mnie działasz.

Wiedziała o tym. Zresztą poczuła namacalny dowód jego pragnienia.

- No to kiedy pójdziemy do łóżka? - spytała, wsuwając mu dłoń pod koszulę. Jego skóra niemal parzyła.

- Strasznie jesteś niecierpliwa, maleńka - mruknął, musnąwszy wargami jej brodę. Potem pocałował ten wrażliwy punkt za uchem, delikatnie i z czułością.

- Hawk. Ja już nie mogę czekać. - Mogło wydawać mu się to zabawne, lecz Amanda płonęła pożądaniem, którego nie zdołałyby ugasić żadne pocałunki. Pragnęła więcej.

Unióś głowę z promiennym uśmiechem.

- Jestem całkiem niezły, co?

- Udowodnij to w łóżku, kowboju. Pragnę cię. Bardzo.

- Och, kochanie! - Pocałował ją. Mocno i namiętnie. Potem wstał i unióś ją. Nie minęły trzy minuty, gdy znaleźli się w jej pokoju.

Wolniutko opuścił ją na podłogę. Przyciskał ją przy tym tak, żeby przez całą drogę ocierała się o niego. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Przytuliła się do niego. Całowała go raz za razem.

- A więc chciałybyś iść ze mną do łóżka? - mruknął, skubiąc zębami jej ucho.

- Tak. Na co tu czekać?

Pocałował ją. Przycisnął jeszcze mocniej. Całował, aż świat wokół Amandy zaczął chwiać się i wirować. A może to oni? Nagle poczuła, że pada. Ciężar ciała Hawka wgniół ją w miękki materac jej łóżka.

Jak we śnie poczuła, że guziki przy jej bluzce zostały rozpięte. Hawk zsunął ją z jej ramion. Nawet nie odczuwała chłodu nocy. Każde jego dotknięcie rozpalało ją jeszcze bardziej.

- Amando.

- Co? - Zaskoczona, otworzyła oczy.

- Po prostu lubię wymawiać twoje imię.

Uśmiechnęła się. Odpięła guziki jego koszuli.

- Mnie podoba się Hawk. To doskonałe imię. Wiesz, że masz zabójczy uśmiech?

- Chyba zdejmiemy dzinsy.

Długo trwało, nim oboje pozbyli się spodni. Przeszkadzały im nieustanne pocałunki, uściski i pieszczoty. Wreszcie jednak leżeli w wąskim łóżku i nie dzieliło ich już nic. Amanda pomyślała, że powinna czuć zawstydenie, zażenowanie. Nic z tych rzeczy. Wsłuchana w szeptane przez Hawka słowa, czuła się cudownie.

Jego dłonie nieustannie wędrowały po jej ciele. Od piersi, przez brzuch, aż do bioder. Poddawała się tym pieszczotom, wychodziła im naprzeciw. Każde dotknięcie wywoływało kolejną falę rozkoszy. Amanda poczuła, że zaraz zacznie krzyczeć. Hawk delikatnie rozsunął jej uda i znalazł się nad nią. Wolno, bardzo powoli, wsunął się w głąb.

Wkrótce kołysali się wspólnym rytmem, wspinając się coraz wyżej i wyżej, aż wszystko eksplodowało wokół nich. Równocześnie dotarli do szczytu i znaleźli się po drugiej stronie.

Kiedy Amanda obudziła się, leżała pod Hawkiem. Spał. Oddychał równo i głęboko. Jego gorące ciało grzało ją lepiej niż jakikolwiek koc. Kiedy skończyli się kochać, otwarł okno. Żeby ich trochę ostudzić, jak powiedziała. Cały pokój pełen był świeżego zapachu deszczu, chłodnego powietrza i odrobiny wilgoci. Nie przeszkadzało jej to. Była z ukochanym.

Poruszyła się ostrożnie i leciutko pocałowała jego szeroką pierś.

- Nie trwoń pocałunków, kochanie - wymamrotał i przytulił ją mocniej.

- Myślałam, że śpisz.

- Spałem. Ty zresztą też.

- To prawda.

- Zmarzaś? Może przykryć cię? - Hawk przesunął ręką wzdłuż jej bioder i ud. Poczuł chłód jej skóry.

- Nie mogę zmarznąć, kiedy leżysz na mnie. Jesteś gorący.

- Jeśli ci zimno, to wiem, jak cię rozgrzać.

Pocałował ją.

- Może porozmawialibyśmy trochę... zamiast - powiedziała kilka minut później.

- O czym?

- Skąd pochodzisz? Co robiłeś, zanim przyjechałeś w te strony?  
- spytała. Nie, dokąd wyjedziesz? pomyślała z bólem serca. Nie chciała myśleć o tym. Pragnęła poznać go lepiej, wiedzieć o nim więcej. Nie zamierzała rozmyślać o przyszłości. Kiedy jego już nie będzie.

- Nie ma o czym mówić. Dorastałem w Cripple Creek, w Kolorado. Mój ojciec miał tam ranczo. Kiedy byłem w liceum, sprzedał je i przenieśliśmy się do Denver. Pracowałem na różnych farmach. Brałem udział w rodeo. Przyjechałem tutaj.

- Opisałeś całe swoje życie w kilku zdaniach.

- O czym tu opowiadać.

- Byłeś żonaty?

Zesztywniał.

- Nie - odparł sucho.

- Dlaczego? Masz już chyba ponad trzydzieści lat, jesteś atrakcyjny i ciężko pracujesz. Przydałaby ci się żona.

Uniósł się nieco i popatrzył na nią uważnie.

- Trzydzieści lat skończyłem dopiero kilka tygodni temu - powiedział.

Amanda przytuliła się do niego i zagryzła wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Bardzo przepraszam. Pomyliłam się. Wyglądasz tak poważnie i... na tak doświadczonego, że pomyślałam, iż jesteś starszy.

- Chcesz powiedzieć, że jestem zgrzybiałym starcem.

- Nie! Przecież powiedziałam, że masz niewiele ponad trzydzieści lat.

- Może dla takiej dwudziestotrzyletniej osoby jak ty trzydzieści lat to późna starość, ale tak nie jest.

- Czy w ten sposób zamierzasz uciec od odpowiedzi na pytanie, czemu nie byłeś żonaty?

- Nie - westchnął ciężko. - Po prostu nie widzę siebie w małżeństwie... Nie spotkałem kobiety, z którą chciałbym związać się na całe życie. Poza tym widziałem, co kobieta potrafi zrobić z mężczyzną.

- Co masz na myśli? - spytała zaintrygowana nutkami gorczy w jego głosie. Chciała dowiedzieć się więcej. Czyżby kiedyś skrzywdziła go jakaś kobieta?

- Moja matka zostawiła ojca, kiedy byłem małym dzieckiem. Zależało jej tylko na tym, co miał. Po kilku latach znowu się ożenił. Dasz wiarę? Wydawałoby się, że powinien był nauczyć się czegoś. Ellen wciąż wierciła mu dziurę w brzuchu, że dużo więcej mógłby



zarobić w mieście. I w końcu sprzedał rancho i przenieśli się do miasta. Ona wciąż była *niezadowolona*. Kiedy odchodziła, zabrała nawet meble.

- Nie wszystkie kobiety są takie. Wygląda na to, że twój tata miał wyjątkowego pecha - powiedziała cicho.

- Może i tak. Ale ja nie myślę sprawdzać tego na własnej skórze.

Wiedziała, że nie zamierzał zostać u niej na zawsze. Powiedział to jasno i uczciwie zaraz na początku. A przecież tliła się w niej iskierka nadziei, że być może - tylko być może - jednak zostanie. Że kiedyś będzie mogła powiedzieć mu, jak bardzo go kochała.

Kochała? Ależ tak! Przecież to dlatego tak cierpiała na samą myśl o jego wyjeździe. Tylko dlatego pozwoliła mu zostać, gdy powiedział tamte straszne słowa. Chciała, żeby został. I wcale nie tylko dla dobra ranca. Chodziło jej przede wszystkim o nią samą.

Smutek wypełnił jej serce. Przez całe życie czekała na miłość.

- Troszkę mi zimno. Sięgnij po koc - mruknęła i odwróciła się od niego. Chłód, który poczuła, nie pochodził wcale od świeżego nocnego powietrza. Ale tego nie mogła mu powiedzieć.

Nie wiedziała, co robić dalej. Ona pragnęła jego, on jej. Spali ze sobą. I to, że była w nim zakochana, niczego w tej sytuacji zmienić nie mogło. Pozostawało jej tylko w milczeniu cieszyć się jego obecnością i z godnością znieść nieuchronne rozstanie.

- Amando?

- Tak?

- Ja mogę rozgrzać cię dużo lepiej niż koc - szepnął, łaskocząc ją. Uśmiechnęła się i odwróciła ku niemu.

- Bardzo mi się to podoba - powiedziała.

Minęły dwa dni. Amanda pracowała właśnie w biurze, gdy Walt zastukał we framugę.

- Masz chwilkę czasu, Amando?

- Pewnie, Walt. Proszę, wejdź. O co chodzi?

Usiadł. Ułożył kapelusz na kolanach i popatrzył na nią uważnie.

- Robiłem co mogłem, kochanie. Ale ja nie nadaję się na brygadzystę. Nie chcę ciągnąć tego dalej.

Westchnęła.

- Wiem, Walt. Dziękuję, że podjąłeś się tego zadania. Przykro mi, że cię zmusiłam. Wierzyłam, że tak będzie dobrze.

- Nie, kochanie. Wierzyłaś, że w ten sposób pokażesz temu młodzieńcowi, Hawkowi Blackstone'owi, gdzie jest jego miejsce. Ty to wiesz, ja to wiem i Hawk też. Jeżeli naprawdę potrzebujesz brygadzysty, takiego z prawdziwego zdarzenia, który będzie wiedział, co trzeba zrobić i jak wyegzekwować to od pracowników, to daj tę robotę Hawkowi.

- On nie pobędzie tu dość długo.

- Co to znaczy: dość długo? A w ogóle, moim zdaniem, to on wygląda na bardzo zadowolonego.

- Dopóki nie zadzwoni jego agent i nie powie, że znalazł mu ranczo.

- To wcale nie musi stać się w tym roku. Ani w przyszłym. Wykorzystaj jego obecność: póki możesz, Amando.

Pokiwała głową.

- Porozmawiam z nim - obiecała.

Tego Ranka Hawk i Pepe reperowali ogrodzenie Wybiegu dla koni. Nagle od strony domu nadbiegł Joey, krzycząc wniebogłosy:

- Hawk, Hawk, chodź szybko! Mamusia oszalała. Strasznie krzyczy i płacze. - Zdyszany oparł się o belki płotu.

- Co się stało? - Hawk przeskoczył ogrodzenie. - Weź głęboki oddech i mów powoli.

- Mamusia strasznie krzyczy i płacze! Musisz zaraz tam iść!

Hawk ruszył w stronę domu. Gdy podszedł bliżej, usłyszał przeraźliwy krzyk Amandy. Zaczął biec.

Amanda biegała po biurze. W zaciśniętej dłoni trzymała pomięty papier. Łzy szerokimi strumieniami spływały jej po policzkach.

- Ty bezduszny bydlaku! - zawołała na jego widok. - Ty podły sukinsynu. - Rzuciła się ku niemu ze wzniesioną pięścią. - To wszystko twoja wina! - wrzasnęła.

- Hola! - Chwycił jej pięść i przytrzymał ją. Objął Amandę i przycisnął mocno. - Uspokój się. Przestań!

- Puść mnie, ty grubiański, samolubny gadzie.

- Przestań! - ryknął, ściskając ją jeszcze mocniej. - Przestań natychmiast!

Zwiotczała w jego ramionach i zaczęła przeraźliwie szlochać. Hawk przycisnął ją do piersi.

- Czy mamusi nic się nie stało? - spytał wystraszony Joey.

- Wszystko w porządku - powiedział Hawk. - Przynieś dla niej z kuchni szklanek wody. Tylko nie spiesz się. Zaczekamy tu na ciebie.

Joey wyszedł, Hawk tulił Amandę, głaskał ją po plecach.

- Co się z tobą dzieje, Amando? Śmiertelnie przestraszyłaś syna. Mnie zresztą też.

- To wszystko twoją winą, Hawk. Nigdy ci tego nie przebaczę. Nigdy, nigdy, nigdy.

- Spokojnie, tylko spokojnie. Czy możesz przestać płakać?

- Moje życie wali się w gruzy, a ty chcesz, żebym była spokojna? - krzyknęła.

Hawk poczuł gwałtowny paroksyzm strachu. O czym ona mówiła?! Uniósł jej twarz i otarł łzy.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła. - Zniszczyłeś wszystko, ty nadęty mądralo. Nie powinnam była dawać ci tej pracy. Trzeba było wypędzić cię, kiedy mi naubliżałeś. A ja... Pozwoliłam ci zostać, bo...

- Mamusiu, przyniosłem ci wodę. Chcesz? - Joey stał w drzwiach z rozszerzonymi ze strachu oczami.

Amanda spojrzała na syna. Pięciami starła łzy i kiwnęła głową. Uklękła i sięgnęła po szklankę.

- Dziękuję, kochanie. - Upiła łyk. Spróbowała uśmiechnąć się. Lecz łzy wciąż spływały jej po policzkach. Drżącą ręką pogłaskała synka po głowie. - Przepraszam, że cię przestraszyłam, Joeyu. Nie chciałam. - Przytuliła małego do piersi.

- Co się stało, Amando? - spytał Hawk.

Spojrzała na niego.

- To nie twój zasmarkany interes. Wynoś się z mojego rancza i nigdy nie wracaj.

- Ani mi się śni. Na Boga, Amando, nie histeryzuj. Jeśli stało się coś złego, powiedz. Może będę mógł coś zrobić.

- Już zrobiłeś. Cudownie. Mówiłam, żebyś nie zabierał mojego syna do miasta. Tłumaczyłam ci, dlaczego! - Zerwała się na równe nogi, usiłując uśmiechnąć się do Joeya. - Wszystko w porządku, kochanie. Przepraszam. Czy mógłbyś przynieść mi kilka chusteczek?

Joey kiwnął głową i wybiegł, szczęśliwy, że może pomóc.

Hawk odetchnął głęboko i wyciągnął rękę po papier, który ścisnęła w dłoni.

Spojrzał na pismo i zaklął. Ogarnęła go potworna wściekłość.

- Joeyu, mamusia już się uspokoiła. Może pomożesz Pepe'owi dokończyć naprawy ogrodzenia? Powiedz mu, że przyjdę za kilka minut - powiedział Hawk, gdy chłopiec wrócił z rączką pełną papierowych chusteczek. Z najwyższym trudem powstrzymywał się przed zrealizowaniem pierwszego pomysłu, jaki mu przyszedł do głowy. Obicia Roberta Pembroke'a.

- Dobrze się czujesz, mamusiu? - Joey pogłaskał Amandę po rękę.

Zdobyła się na uśmiech i kiwnęła głową.

- Wszystko w porządku. Możesz iść i pomóc Pepe'owi.

Hawk wyciągnął do niej rękę, lecz Amanda odtrąciła ją.

- Możesz wściekać się na mnie, ile zechcesz, ale nie teraz - powiedział. - Musimy powstrzymać to szaleństwo, zanim posunie się jeszcze dalej.

- My nie musimy niczego. Kazałam ci się wynosić. - Wsparła pięści na biodrach. Jej twarz płonęła rumieńcem, a oczy ciskały błyskawice.

- Kochanie, na pewno nie zostawię cię z tym g..., w tej sytuacji. Usiądź teraz. Porozmawiamy.

- O czym mamy rozmawiać?! Robert Pembroke złożył do sądu wniosek o uzyskanie pełnych praw do opieki nad swoim wnukiem! Tym samym, którego istnieniu zaprzeczał przez tyle lat. Kiedy teraz zobaczyli go, kiedy dostrzegli, jak bardzo podobny jest do Boby'ego Jacka, nagle zrozumieli, że to ich syn był jego ojcem. I chcą mi go zabrać!

- Ale ty jesteś jego matką. Sądy wcale nie spieszą się z odbieraniem dzieci matkom i oddawaniem ich ludziom, którzy dla dziecka są zupełnie obcy - powiedział Hawk.

- Przeczytaj pozew do końca. Nie nadaję się do wypełniania obowiązków rodzicielskich. Moja zła reputacja jest powszechnie znana. Żyję w grzechu z wieloma kowbojami. - Łzy znowu trysnęły z jej oczu.

- Nie ma tu nic takiego. - Hawk zmiął papier.

- Ale takie będą ich argumenty. Wiem to. Za to ten fragment o szacownej i zamożnej rodzinie jest bardzo znaczący.

- Postaramy się zatem, żeby nie mieli żadnych argumentów. Nie stracisz syna, Amando. Obiecuję ci to.

- Odejdź, Hawk. Po prostu odejdź. Nie potrzebuję już od ciebie żadnej pomocy.

- Potrzebujesz. I uzyskasz ją. Nie stracisz syna!

- Łatwo ci to powiedzieć.

Pochylił się ku niej. Tak blisko, że widział tylko bezgraniczny strach w jej oczach.

- Ja zawsze dotrzymuję obietnic, Amando. Możesz na mnie polegać.

Po godzinie siedzieli w samochodzie. Jechali do Thermopolis. Hawk zatelefonował do brata, który polecił im pewną prawniczkę, specjalistkę od prawa rodzinnego. Zgodziła się przyjąć ich jeszcze tego samego dnia. Przysługa dla Aleca Blackstone'a.

Hawk prowadził ostrożnie i uważnie. Niepokoił się o Amandę. Była śmiertelnie biała i milcząca. Nie odezwała się, odkąd wyjechali z domu. A najgorsze było to, że czuł się winny.

Gdyby był sprawdził, czy na pewno zmieniła zdanie i pozwoliła synowi pojechać do miasta, wiedziałyby ponad wszelką wątpliwość, że była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła. A gdyby nie byli zatrzymali się na lody, nie wpadliby na Pembroke'ów.

Jednego był pewien. Musiał sprawić, żeby Pembroke'owie nie uzyskali prawa opieki nad jej dzieckiem. Nie był jeszcze pewien, jak to zrobić, ale musiał. Tak czy inaczej.

Mecenas Mitzy Howard nie kazała im czekać. Uśmiechnęła się sympatycznie do Amandy i ściskając jej dłoń, powiedziała:

- Proszę się nie martwić. Zdaję sobie sprawę, że to dla pani wielki szok, ale damy sobie radę. Po rozmowie z Alekiem zadzwoniłam do prawnika drugiej strony. Przesłał mi już faksem wszystkie materiały dotyczące tej sprawy. Omówimy je zatem teraz, zgoda?

- Hawk Blackstone, proszę pani - przedstawił się, odwzajemniając uśmiech.

- Jest pan bardzo podobny do brata. Proszę siadać.

Amanda czuła się jak sparaliżowana. Skinęła głową i usiadła, gdzie jej kazano. Jej serce drżało ze strachu. Czy powinna była zostawiać Joeya na ranczu z Waltem i Pepe'em? Czy Pembroke'owie nie przyjadą po niego już dzisiaj? pomyślała.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mitzy Howard omówiła i skomentowała wszystkie aspekty pozwu Pembroke'ów. Amanda odpowiedziała na wszystkie jej pytania, lecz robiła to trochę jak we śnie. Oskarżenia zawarte w dokumencie obezwładniały ją. Przerażały i paraliżowały. Wprost umierała ze strachu.

- Czekają nas sporo pracy, ale uważam, że mamy duże szanse - powiedziała Mitzy, przeglądając notatki.

- Co może być ich najpoważniejszym argumentem? - spytał Hawk. - To, że Joey nie chodzi do szkoły?

- Nie. Jeżeli Amanda dobrze go uczyła, w co nie wątpię, bez trudności przejdzie przez test, któremu zostanie poddany. To jest w porządku. Nauczanie domowe staje się coraz bardziej popularne. I efekty są zwykle przynajmniej tak samo dobre jak w szkole publicznej.

- Chodzi o moją reputację, prawda? - powiedziała ponuro Amanda.

Mitzy zawahała się.

- Ten argument łatwo można obalić - powiedział Hawk. - Proponuję wezwać do sądu na świadków wszystkich mężczyzn z Tagget i kazać im zeznać pod przysięgą, czy kiedykolwiek spotkali się z Amandą, czy spali z nią. Był tylko jeden. Bobby Jack Pembroke. Kiedy byli nastolatkami. A ponieważ ona była wtedy niepełnoletnia, można by właściwie rozważyć ewentualny przypadek gwałtu.

Mitzy uśmiechnęła się.

- Rety! Niczego pan nie przepuści. To bardzo interesujący pomysł. Absolutnie nieprzydatny, ale interesujący. Prawdopodobnie także niepotrzebny. Czas pokaże, czy będziemy musieli z niego skorzystać. Pewnym problemem jest strona finansowa. Pani nie wydaje

się obracać dużym kapitałem. A Pembroke'owie to prawdziwi bogacze. Są w stanie dać pani synowi ogromnie dużo.

Hawk zacisnął pięści i wziął głęboki wdech, by coś powiedzieć, lecz prawniczka ciągnęła dalej:

- Pozostaje jeszcze kwestia domu z obojgiem rodziców. Nie musi to być, co prawdą, argument wielkiej wagi. W końcu wiele jest szczęśliwych dzieci wychowywanych przez samotnych rodziców.

- Jeżeli to miałyby być decydująca przeszkoda, to możemy usunąć ją bez trudności - powiedział Hawk.

- Jak? - Mitzy nie kryła zdumienia.

- Amanda i ja pobierzemy się - oświadczył.

- Coś ty powiedział? - Amanda spojrzała na niego z bezgranicznym zaskoczeniem.

- Ty i ja. Możemy wziąć ślub. W ten sposób Joey będzie miał pełną rodzinę. Pozostaje jeszcze, jak rozumiem, kwestia zabezpieczenia finansowego. Mówiłem ci, że mam w banku trochę pieniędzy. Dość, żeby zadowolić nawet najsurowszego sędziego.

- Nie! - zawołała Amanda.

- Rozwiążemy w ten sposób wszystkie problemy natury moralnej. Wiele par przyspiesza nieco swoją noc poślubną. My możemy wziąć ślub jeszcze przed końcem tygodnia - ciągnął, jakby Amanda nie powiedziała ani słowa.

- Nie - powtórzyła, szukając wzrokiem wsparcia u Mitzy.

- To nie jest zły pomysł - powiedziała prawniczka z namysłem.

- To straszny pomysł - powiedziała Amanda.

- Dlaczego? - spytał Hawk. - Joey lubi mnie, a ja jego. My dwoje też jakoś się dogadujemy. A poza tym mam ochotę na część twojego rancza.

Zakręciło się jej w głowie.

- I o to właśnie chodzi, tak?! Chcesz części rancza. Próbowalesz szukać czegoś dla siebie, ale nie tak łatwo znaleźć coś, prawda? Od jak dawna próbujesz mnie wygryźć?

- Jak wiesz, szukałem czegoś szczególnego. Twoje ranczo nie jest dokładnie takie, jakiego chciałbym. Ale mógłbym chyba przy-



wyknąć. I wcale nie zamierzam cię wyrzucać. Ranczo jest twoje, nie moje.

Patrzył na nią wyczekująco, niepewny jej odpowiedzi. Niespodziewanie zaprzagnął, żeby się zgodziła. Nigdy niczego nie pragnął tak bardzo.

- Ale najważniejszym powodem, dla którego powinniśmy się pobrać - ciągnął - jest to, że to ty masz rację. Gdybym nie zabrał wtedy Joeya do miasta, Pembroke'owie nigdy nie zauważyliby jego uderzającego podobieństwa do ich syna. Nadal, jak przez ostatnich pięć lat, ignorowaliby ciebie i twoje dziecko. I nie miałabyś kłopotów.

- A więc to tylko małżeństwo z wyrachowania. Chcesz ożenić się ze mną, żeby dostać część rancza i zapracować na odkupienie win? Nic z tego.

- Nikt nic nie mówił o małżeństwie z wyrachowania. Chyba że za wyrachowanie uważasz wspólne łóżko. Ale powiem ci, złotko, że *ja wolę* większe łóżka. Twoje jest stanowczo zbyt wąskie, byśmy mogli spędzić w nim resztę życia.

Zarumieniła się. Zupełnie nie wiedziała, jak zareagować.

- Zamknij się - warknęła, spoglądając ukradkiem na prawniczkę.

Uśmiechnął się.

- Zgódź się, Amando. - Z wielkim natężeniem patrzył jej głęboko w oczy.

Była przerażona. Czuła się schwytna w pułapkę. Jeśli Pembroke'owie wygrażą? Jeśli odbiorą jej synka? Co wtedy? Nie przeżyłaby tego. Wszystko, ale tego nie. Nawet małżeństwo z człowiekiem, który jej nie kochał.

Gdyby miała odwagę marzyć, pragnęłaby, żeby został, a potem wzięli ślub i żyli długo i szczęśliwie. Ale zdolność marzenia zatrićcia wiele lat temu. Musiała trzeźwo patrzeć na świat. Musiała myśleć o Joeyu. Dla niego gotowa była na wszystko.

- Zgoda - wydusiła z siebie. Nagle, ku swemu zdumieniu poczuła się tak, jakby ogromny ciężar spadł jej z ramion. Rozglądała się nerwowo. A Hawk uśmiechał się. Jak kot do kanarka. Łzy znowu

pocięły z jej oczu. Chciała, żeby został. Ale nie tak. Nie złapany w pułapkę winy i chciwości.

- Czy to poprawia sytuację? - zwrócił się Hawk do prawniczki.

- Myślę, że to zbije wszystkie argumenty tego pozwu. Ale procedury nie da się zatrzymać. Im wcześniej weźmiecie ślub, tym lepiej. Niedługo na pewno odwiedzi was kurator okręgowy, żeby poddać Joeya testowi, zlustrować dom i otoczenie... Spróbujemy odwlec test i wizytację, jak długo się da. Żebyście mogli zapiąć wszystko na ostatni guzik. Postarajcie się. Niech wszystko będzie jak należy przed spotkaniem z sędzią. Nie stracisz syna, Amando.

- A jeśli sędzią będzie któryś z przyjaciół Roberta Pembroke'a? - spytała Amanda. Bała się. Wszystkiego. Bała się nawet zaufać Hawkowi czy Mitzy. Tak długo musiała polegać tylko na sobie, że przestała ufać komukolwiek.

- Wtedy wystąpimy z wnioskiem o zmianę miejsca rozprawy. Ale spodziewam się, że sędzią będzie pani Hartwell. Ona zdecydowanie popiera wychowywanie dzieci przez kochające osoby, a nie w dobrobycie materialnym. Nic się nie martw. Wygramy.

W drodze powrotnej Amanda wprost płonęła ze wstydu. Cały tył samochodu zajmowało gigantyczne łożo. Potężna, wystająca na boki rama, gruby materac i wysokie wezgłowie. Wciąż wydawało się jej, że wszyscy mieszkańcy Thermopolis oglądali się za nią i doskonale wiedzieli, co już niedługo ona i Hawk będą robić na tym wielkim łóżku.

- Nie musisz żenić się ze mną - powiedziała, gdy wjechali na autostradę. Są inne sposoby, żeby wygrać tę bitwę, pomyślała. Gdyby tylko miała nieco czasu, na pewno coś by wymyśliła.

- To już postanowione - powiedział Hawk, biorąc ją za rękę.

- Czy myślisz, że Joey będzie zadowolony, gdy zostanie jego tatą?

Gdyby nie znała go tak dobrze, pomyślałaby, że usłyszała w jego głosie wahanie. Prawie niepewność.

- Oczywiście. Traktuje cię jak swojego idola. Tylko co będzie, kiedy wyjedziesz?

- Nie zamierzam wyjeżdżać.

Czyżby postanowił zostać na zawsze?! Serce zabiło w jej piersi gwałtownie. Dlaczego? Czemu to robił? Czy tylko dla tego kawałka rancza? Nie mogła w to uwierzyć. Przecież nie było tego warte. Trzeba było ciężko pracować, żeby związać koniec z końcem. I to jeszcze przez długie lata.

- Sądziłam, że nie wierzyles w małżeństwo - rzuciła.
- Owszem.
- No to czemu...
- Amando, czy chcesz wyjść za mnie?

Z trudem przełknęła ślinę. Z jeszcze większym wysiłkiem próbowała zebrać myśli. Przecież bardzo chciała wyjść za niego. Chciała kochać go do końca życia. Lecz pragnęła, by i on ją kochał. Co to będzie za dziwne małżeństwo? Czy po latach nadal będzie w stanie kochać za dwoje? Czy też jej uczucie zwiędnie jak kwiat?

Z drugiej strony, jeśli nie wyjdzie za niego, nie zdoła go zatrzymać. Po pierwszym telefonie od agenta spakuje się i wyjedzie. Poślubionego będzie mieć na zawsze.

- Ależ chcę. Chcę wyjść za ciebie - odparła w końcu.
- A zatem postanowione - powiedział. Gdy wyjeżdżali do Thermopolis, nawet przez myśl mu nie przeszło, że będzie się żenił. Potem poczucie winy podsunęło mu ten pomysł. A reakcja prawniczki tylko utwierdziła go w tym postanowieniu. Nie mógł znieść myśli, że zostawiłby Amandę. Z biegiem lat potrzeba jej będzie coraz więcej pomocy. I ranczo, i dorastający syn to stanowczo zbyt dużo jak na nią jedną. A tak znalazł swoje miejsce i dał Joeyowi ochronę w niebezpieczeństwie.

Lubił Joeya. Prawdę mówiąc, całkiem na jego punkcie zwariował. I miał przy tym nadzieję, że będzie dla małego lepszym opiekunem niż jego ojciec był dla niego. Był tego pewien. No i nie musiał martwić się, że żona go porzuci i zabierze jego dobytek. Przecież to było jej ranczo.

Ale przecież nic ich nie rozłączy. Był tego pewien. Z radością w sercu patrzył w przyszłość. Poślubi Amandę, osiedzie w jednym miejscu i...

- Czy będziemy mieć dzieci? - spytał niespodziewanie.

- Co?

- Dzieci. Chciałbym mieć kilkoro, jeśli ty zechcesz.

I znowu łzy napłynęły jej do oczu. Lecz tym razem z ogromnej radości. On chciał mieć z nią dzieci!

- Oczywiście. - Tylko tyle zdołała wydusić przez ściśniętą krtani.

- Bardzo lubię Joeya. Jeśli obdarujemy go rodzeństwem, nie będzie taki samotny.

- Och, Hawk! - Chciała przytulić go. Chciała powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Chciała podzielić się z nim radością przepełniającą jej duszę. Nie mogła. Zaproponował jej małżeństwo dla zmycia win i aby zdobyć część jej rancza, więc może... także i po to, żeby mieć swoje dzieci?

- Zrobimy to w piątek.

- W piątek? Tak szybko? - Nie zdążyła jeszcze oswoić się z myślą, że mają wziąć ślub, a on chce, żeby to było w piątek!

- Im wcześniej będziemy mieli to za sobą, tym lepiej.

Będziemy mieli to za sobą, pomyślała z przekąsem. Pewnie. Dla niego to w końcu tylko wybieg w walce z Pembroke'ami. Ona musiała jednak oswoić się z sytuacją.

- Może być piątek - powiedziała głucho.

- Zaraz biorę za telefon. Trzeba wszystko przygotować. Chciałbym też zaprosić Aleca. Moglibyśmy także zaprosić Mitzy. Co ty na to?

- Oczywiście.

- Chcesz zaprosić jeszcze jakichś przyjaciół? Znasz jakiegoś pastora, czy ja mam się rozejrzeć?

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko, Hawk. Myślałam, że po prostu pojedziemy do Thermopolis, znajdziemy sędziego i weźmiemy ślub.

- O, nie, złotko! Wszystko odbędzie się z należytą pompą. Żeby nie było wątpliwości, że wzięliśmy ślub. Żeby Pembroke nie mógł niczego zakwestionować. Weźmiemy ślub w Tagget. I to tak, żeby wszyscy na pewno dowiedzieli się o tym.

- Nie!

Odwrócił się ku niej, zerkając na drogę przed samochodem.

- Tak. Mieszkamy najbliżej Tagget. Tam będziemy robić zakupy, załatwiać sprawy, spotykać się z sąsiadami. Wszystko wróci przecież do normy, złotko. Obiecuję.

- I zawsze otrzymujesz obietnic - rzuciła zgryźliwie.

- Zawsze. No to jak? Chcesz wziąć ze mną ślub w kościele czy nie?

- Już tyle lat nie byłam w kościele... Tylko na pogrzebie Jonasa. Ale myślę, że mógłby udzielić ślubu wielebny Patterson - powiedziała kompletnie skołowana. Co ja wyrabiam? pomyślała.

Kiedy przyjechali na ranczo, Hawk zawołał do pomocy Pepe'a oraz Jeremy'ego i wspólnie zdjęli łoże z samochodu. Ciekawość wprost paliła wszystkich, więc Hawk nie kazał im długo czekać. Radosnym życzeniom i gratulacjom nie było końca. A zawstydzona Amanda szybko zniknęła w domu.

Łoże trafiło do największej sypialni. Rozebrano stare łóżko Jonasa i wyniesiono je do szopy. Niedługo potem jego miejsce zajął mebel-gigant.

Wreszcie wszyscy poszli sobie i Hawk mógł spokojnie rozejrzeć się po pokoju. Trzeba było go odnowić, ale nie prezentował się najgorzej. Duży, widny i przestronny. Po wstawieniu łóżka nadal zostało jeszcze sporo miejsca. Można było myśleć o innych meblach.

- Trzeba tu posprzątać. - Amanda rozglądała się, stojąc w drzwiach.

- Oj, tak. Trzeba by też pomalować ściany. Przydałyby się nowe firanki i zasłony. Ale to potem. Na razie wystarczy, jak oczyścimy trochę to pomieszczenie. - Podszedł do niej i musnął pocałunkiem jej usta.

- Wprowadzimy się tu w piątek - powiedział rozmarzony. Widział już ją, leżącą na wielkim materacu, z włosami rozsypanymi na poduszce, wyciągającą ku niemu ramiona.

- Nie dzisiaj?

- Przecież jeszcze się nie pobraliśmy. Chcę, żeby to było nasze małżeńskie łoże.

Pokiwała głową, zaskoczona taką decyzją.

- A więc w piątek - mruknęła. Poczowała mocniejsze bicie serca. Oto miała poślubić tego człowieka. Na dobre i złe, do końca życia. Widzieć go każdego poranka i każdego wieczora. I dzielić z nim łożę aż do śmierci. Chyba że kiedy zakończy się sprawa w sądzie, Hawk znajdzie swoje wymarzone ranczo. Przecież nie raz powtarzał, że nie chciał się żenić. Jak długo z nią zostanie?

- Chodź. Jest jeszcze jedna sprawa. - Hawk wziął ją za rękę i poprowadził do biura. Tam oderwał pasek papieru i zmierzył grubość jej palca. - Jutro kupię obrączki - powiedział.

- Zamierzasz nosić obrączkę? - spytała nieśmiało.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się na widok jej spłoszonego wzroku. - Chyba wolałabyś, żeby wszyscy widzieli, że już nie jestem wolny, co?

Wzruszyła ramionami, pozornie niedbale. Lecz w głębi duszy drżała z emocji. Skan Anula, przerobiła pona.

- W takim razie pojedę z tobą - powiedziała. Zakasłała nerwowo i spojrzała za okno. - Ja... nie mam żadnej sukienki. Skoro więc upierasz się, żeby urządzić prawdziwe wesele, to powinnam chyba kupić jakąś.

- Nie masz sukienki? Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która nie ma sukienki!

- Dom opuściłam właściwie z pustymi rękami. Od tamtej pory nigdzie nie bywałam. Nie potrzebowałam sukienek.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzął w oczy.

- Kupię ci sto sukienek - obiecał.

Roześmiała się.

- Cóż za głupstwa! Co zrobiłabym z setką sukienek? Bardziej potrzebowałabym jeszcze jednej klaczy.

- Załatwione. Co jeszcze?

Patrzyła mu prosto w oczy. Mówił absolutnie poważnie.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała zdeprymowana. Chwycała go za nadgarstek, żeby odsunąć jego rękę. Pod palcami wyczuła miarowe tętno.

- Już ci przecież powiedziałem, że chciałem zostać twoim współnikiem. Nigdy nie zamierzałem zdobywać rancza przez mał-

żeństwo. Mam dość pieniędzy, żeby spełnić każde twoje życzenie, kochanie. Powiedz tylko słowo.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Tyle było do zrobienia, że sama nie wiedziała, od czego zacząć. Ile miał pieniędzy? Czy mogła prosić o nowy generator prądu? A może o nową, rasową klacz? Czy może tylko o nowe zasłony do sypialni?

- Namysliłaś się?

- Właśnie się zastanawiam. Ile ty właściwie masz pieniędzy?

- Mów, czego chcesz, a ja ci powiem, czy mnie na to będzie stać - droczył się.

- Na razie niczego nie chcę - powiedziała. - Może po ślubie o coś cię poproszę.

- To już niedługo. - Pocałował ją.

Pod palcami czuła bicie jego serca. Uspokajające, kojące. Wiedziała, że zawsze mogła liczyć na tego człowieka. Nawet jeśli nigdy jej nie pokocha, zawsze będzie troszczył się o nią i o ich dzieci. Był dobry dla Joeya. Dla Walta i Pepe'a. Nigdy *jej* nie *zawiódł*.

- O! Głupie bzdury - powiedział Joey od drzwi.

Odskoczyli od siebie jak oparzeni.

- Właśnie, głupie bzdury. Byłeś grzeczny podczas naszej nieobecności? - spytał Hawk, sam nieco wystraszony. Za dwa dni Joey miał zostać jego synem.

- Pomagałem Pepe'owi. Nie zabraliście mnie na lody.

Hawk uniósł brwi i posłał Amandzie pełne rozpaczę spojrzenie. Ten dzieciak szalał za lodami.

- Dostaniesz je w piątek. - Amanda uśmiechnęła się. Kucnęła i rozłożyła ramiona. Chłopczyk podszedł i przytulił się do matki.

- W piątek Hawk i ja zamierzamy wziąć ślub. On będzie wtedy twoim tatą. Co ty na to? - spytała pełnym napięcia głosem.

Joey odwrócił się, uniósł głowę i spojrzał na Hawka.

- Czy będę mógł mówić do ciebie: tatusiu? - spytał z uśmiechem.

- Jasne, wspólniku. - Hawk schylił się i wziął go na rękę. - Nie mam zbyt dużego doświadczenia w obcowaniu z dziećmi, synku, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby być dobrym ojcem.

Będę opiekował się tobą, aż dorośniesz. I nauczę cię wszystkiego, żebyś pewnego dnia został najlepszym farmerem w stanie Wyoming.

- I będę mógł znowu pojeździć na Geronimo? - spytał Joey, obejmując Hawka.

- Tylko kiedy ja będę z tobą. Ale kiedyś, gdy będziesz wystarczająco duży, będziesz mógł jeździć konno sam.

- Za jakieś dziesięć lat - powiedziała Amanda, wstając. Hawk objął ją w tali i przytulił. Popatrzyła nań zdziwiona.

- Wygląda na to, że będziemy rodziną - powiedział cicho. Schylił się i pocałował ją. Potem pocałował w policzek Joeya. I prędko postawił go na podłodze. Mały, niezadowolony, tarł buzię.

- Nie lubię głupich bzdur - jęknął. - Czy mogę iść powiedzieć wszystkim?

- Oczywiście - odparł Hawk. - Pepe i Jeremy już wiedzą, ale możesz powiedzieć pozostałym.

Mały wybiegł, a Hawk spojrzał na Amandę.

- Co się dzieje? - spytał, widząc jej zakłopotaną minę.

- Ciągle zastanawiam się, czy wiesz, co robisz - odparła.

- Nic się nie martw, złotko. Oboje wiemy, co robimy. Ty masz coś, czego ja chcę, ja mogę ci dać coś, czego ty chcesz. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Potrzebowała chwili samotności. Wszystko działo się tak szybko. Zbyt szybko. Im bardziej chciała tego ślubu, tym więcej miała wątpliwości.

- Amando?

- Idę przygotować obiad.

Nie zatrzymała się, nie odwróciła. Chciała być sama.

Niedługo potem wszyscy mężczyźni weszli do kuchni.

- Czy to prawda? To, co mówił chłopiec? Że ty i Hawk chcecie się pobrać? - spytał z miejsca Walt.

- Prawda.

- A nie mówiłem, że zostanie - powiedział Walt, wielce z siebie zadowolony.



Amanda bardzo chciała powiedzieć mu, dlaczego Hawk postanowił zostać. Ale wszyscy dookoła byli tacy radośni i szczęśliwi, że i ona musiała robić dobrą minę do złej gry. Choć wątpliwości wciąż jej nie opuszczały. Wcale nie była przekonana, że dobrze robi.

- Chcielibyśmy, żebyście przyszli na nasz ślub - powiedziała.  
- Odbędzie się w piątek, w mieście.

- W Tagget? - spytał Walt.

- Tak. - Amanda potarła policzek. - A nie powinien tam się odbyć?

- Niby czemu? - Walt uśmiechnął się. - Bardzo dziękuję za zaproszenie. Przyjdę na pewno.

- I ja też - dodał Pepe. - Czy nowi też mogą przyjść?

Zawahała się przez moment i spojrzała na Matta i Jeremy'ego.

- Tak. Zapraszamy wszystkich mieszkańców rancza „Królewski Poker”.

- Najlepsze życzenia, proszę pani - powiedział Matt. - Czy mógłbym przyjść z Karen?

- Och. Oczywiście.

A myślała, że wymkną się z Hawkiem do miasta i wezmą cichy ślub. Tymczasem zanosilo się na prawdziwe weselisko.

Choć właściwie tak właśnie powinno być. Przecież brali jak najbardziej poważny ślub. W pełnej oprawie. Tylko okoliczności były nieco niezwykłe.

- Wszystkiego najlepszego, Hawk - zawołał Matt, gdy ten wszedł do kuchni.

Hawk uśmiechnął się radośnie.

- Dobrze dbaj o tę dziewczuszkę - napomniął go Walt. - Jest dla mnie i dla Pepe'a jak córka. Jeśli zrobisz jej krzywdę, z nami będziesz miał do czynienia.

- Będę dbał o nią, Walt - powiedział Hawk bardzo poważnie.

- Wiem o tym. To jest bardzo dobra kobieta.

- Masz rację.

- Gdzie i kiedy odbędzie się ślub? - spytał Jeremy, kiedy wszyscy usiedli.

- W piątek o dziesiątej w kościele prezbiteriańskim.

- Widzę, Hawk, że nie zasypiasz gruszek w popiele - powiedział Pepe z uśmiechem.

- No bo i na co tu czekać, prawda, złotko?

Kiwnęła głową zadowolona, że nie zdradził nikomu prawdziwych przyczyn takiego pośpiechu. Na samą myśl o tym, że Pembroke'owie dowiedzieliby się, iż wyszła za męża tylko po to, by ich przechytrzyć, robiło się jej słabo.

Powiedziała mu to później. Kiedy rozbierali się w jej pokoju.

- Bardzo się cieszę, że nie powiedziałaś nikomu ani o pozwie, ani o prawdziwych przyczynach naszego małżeństwa.

- To tylko nasza sprawa. Chociaż i tak nie da się tego utrzymać w tajemnicy. Kiedy zacnie się dochodzenie i przesłuchania, wszyscy się dowiedzą.

Z ciężkim westchnieniem podeszła do okna. Spojrzała na czarne, obsypane gwiazdami niebo.

- Też tak myślę - powiedziała.

Podszedł i położył jej ręce na ramionach. Czuła ciepło jego nagiej skóry, jego siłę. Był człowiekiem, na którego można było liczyć w potrzebie.

- Wszystko będzie dobrze, złotko. Przecież ci obiecałem.

- Wiesz, to jest nieuczciwe - powiedziała. - Bobby Jack w ogóle nie chciał przyznać się do Joeya. Teraz, kiedy umarł, jego rodzina uważa, że mogą zignorować to i zrobić wszystko po swojemu.

- Tak. To jest nieuczciwe. Ale damy sobie radę. Przestań już się martwić.

- Nie mogę. - Spojrzała mu w twarz. - Nie stałoby się to wszystko, gdybyś posłuchał mnie i nie zabrał Joeya do miasta - powiedziała gorzko.

- To prawda. - Wzruszył ramionami. - Masz prawo się złościć. Ale, Amando, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby to naprawić. Na jakiś czas zapomnij o gniewie. Poczekajmy, co czas pokaże, dobrze? - Odwrócił ją i ujął jej twarz w dłonie. - Nie pozwolę im odebrać ci Joeya - obiecał.

Zrobiło się jej gorąco. Położyła mu dłoń na ramieniu. Przesunęła po twardych muskułach, po szerokiej klatce piersiowej. Musnęła

małą sutkę. Ze zdumieniem zauważyła, jak żywo zareagował na tę pieszczotę.

- Można w to grać także we dwoje - powiedział. Dotknął delikatnie jej szyi. Potem wolniutko wsunął dłoń w rozchylenie bluzki.

- Lubię tę grę - szepnęła. W ułamku sekundy gniew, strach i niepewność prysnęły jak mydlana bańka pod wpływem rozkoszy, jaką potrafił jej dać tylko ten mężczyzna. Jego dotknięcie rozpałiło ją. Jego pocałunek odebrał przytomność. Nie wiadomo kiedy zniknęło z nich ubranie i tulili się do siebie w ciasnym, wąskim łóżku. W niepamięć uleciały wszystkie lęki i obawy Amandy. Pozostało tylko wszechogarniające uczucie rozkoszy.

Później, znacznie później, niemal już zasypiała, zmęczona. Lecz coś nie dawało jej spokoju.

- Hawk? - szepnęła sennie.

- Hmm? - mruknął.

- Myślałam, że chcesz mieć dziecko. - Leżała przytulona do szerokiej piersi narzeczonego. Objęci ramionami, ze splecionymi nogami, grzali się w chłodzie nocy własnym żarem. Amanda marzyła, by ta noc mogła trwać wiecznie.

- Chcę. Co urodzisz najpierw, jeszcze jednego chłopczyka czy małą dziewczynkę?

- Wszystko mi jedno. Czemu zatem użyłeś prezerwatywy?

Uniósł się nieco i odgarnął jej włosy z twarzy.

- Chciałem zaczekać.

- Na co? - Znów wróciła dręcząca ją niepewność. Czyżby chciał najpierw upewnić się, że zdoła wytrwać w małżeństwie?

- Na noc poślubną.

- Hawk, muszę ci powiedzieć, że nigdy nie podejrzewałam cię o tyle romantyzmu.

- I ja też, złotko - odparł, przesuwając między palcami pukiel jej włosów.

- Wcale nie wyglądasz na romantyka.

- Nie dbam o głupie bzdury, jakby powiedział Joey.

- Myślałam, że lubisz całusy.

Pocałował ją. Mocno, długo i namiętnie. Kiedy oderwali się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza, przesunął palcami po jej ustach.

- Lubię twoje całusy - powiedział.

- Przecież to głupie bzdury. - Nie spodziewała się, że tak bardzo uwielbiać będzie jego pocałunki. Wystarczył jeden, by świat zawirował i wszystkie rozsądne myśli uleciały jej z głowy. Za wszelką cenę musiała nauczyć się panować nad sobą.

- Takie głupie bzdury lubię. Chodziło mi o miłość, romanse i takie rzeczy.

- Już dobrze. Nie powiem nic więcej. - Lecz nic nie przeszkadzało jej patrzeć. Często można w ten sposób dowiedzieć się o kimś znacznie więcej niż z wypowiedzianych przez niego słów. Była urzeczona i szczęśliwa, że ten twardy kowboj miał tak romantyczną duszę.

- Czy powiedziałem ci, że Alec potwierdził swój przyjazd na nasz ślub? - spytał Hawk, układając się wygodniej.

- Tak. Mitzy też. Zaprosiłeś swojego ojca?

- Nie. A ty zaprosiłaś matkę?

- Nie. - Nawet jej nie zawiadomiła. Ta kobieta nie odezwała się do niej przez pięć ostatnich lat. Widać nic jej nie obchodziła rodzona córka. Może kiedyś wysłała jej kartkę z wiadomością o tym, że wyszła za męża. A może nie. Nigdy, co prawda, nie była naga i głodna, ale też nigdy nie zaznała od matki ani odrobiny miłości. Ta kobieta była zbyt zajęta swoimi kolejnymi mężczyznami, żeby miała chęć zajmować się córką.

- Stworzymy rodzinę lepszą niż te, z których się wywodzimy - powiedział Hawk, jakby czytał w jej myślach.

- Bardzo tego pragnę.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Amanda stała na środku sklepu kompletnie zdezorientowana. Nigdy przedtem nie była w salonie mody. Kiedyś, przed laty, matka zabierała ją na zakupy do pobliskiego domu handlowego. Najczęściej kupowała jej dżinsy i flanelowe koszule. Po raz pierwszy w życiu była w takim eleganckim sklepie.

Podeszła do nich sprzedawczyni. Uosobienie wyszukanej doskonałości. Na jej widok Amanda poczuła się zaniedbana i niezgrabna. Ekspedientka miała na sobie idealnie dopasowany czerwony kostium z niezwykle krótką spódniczką. Włosy starannie zaczesane i upięte. Do tego nienaganny makijaż. Dyskretnym spojrzeniem otaksowała Amandę. Ocena nie była zbyt wysoka. Ale trudno dziwić się, zważywszy, że Amanda miała na sobie wyblakłe dżinsy i flanelową koszulę, a włosy związane wstążką w koński ogon.

Sprzedawczyni z zainteresowaniem zwróciła się do Hawka:

- Czym mogę państwu służyć? - Nawet jej głos i wymowa były eleganckie i wyszukane.

- Chcemy kupić suknię. Ślubną suknię - powiedział Hawk.

- Mamusia i tatuś biorą ślub - odezwał się Joey zza pleców Amandy. Miał obiecane lody, jeżeli w sklepie będzie grzeczny.

Hawk uśmiechnął się. W jednej ręce trzymał kapelusz, drugą obejmował delikatnie Amandę za ramiona.

- To prawda - powiedział.

Ciekawe, czy myśli, że ucieknę, jeśli nie będzie mnie trzymał? zastanawiała się Amanda. Uświadomiła sobie, że nie pasuje do tego miejsca. Należała do zupełnie innego świata.

Ekspedientka znieruchomiała, zakłopotana. Lecz zawodowa rutyna szybko wzięła górę nad zaskoczeniem.

- Ach, to wspaniale - rzuciła. - Pani jest panną młodą? - spytała Amandę, przyglądając się jej uważnie.

- Tak. - Amanda najchętniej uciekłaby. Zapadła się pod ziemię. Nie potrzebowała tego wszystkiego.

- Nazywam się Alison Towers. Jestem tu kierowniczką. Niestety, nie mamy w naszym sklepie sukien ślubnych.

- Potrzebuję po prostu czegoś ładnego i eleganckiego. To nie będzie wielka ceremonia. - Gdyby Hawk nie stał jej na drodze, uciekłaby jednak.

- Ślub będzie rano. W piątek - wyjaśnił Hawk.

- Rozumiem. - Alison kiwnęła głową i odwróciła się w stronę wieszaków. - Myślę, że znajdziemy coś odpowiedniego.

- Coś ładnego - dorzucił Hawk.

- Jestem pewna, że będzie ładna, Hawk - szepnęła Amanda.

- Nie mógłbyś wyjść stąd z Joeyem?

- Nie, dopóki nie zobaczę sukni.

- Chyba możesz mi zaufać?

- Nie będzie to nic praktycznego? Nic, co będziesz potem nosiła po domu? - dopytywał się nieufnie.

- Do diabła, Hawk! Przecież to moja suknia ślubna. A poza tym nie chodzę po domu w sukienkach.

- Wiem. Nawet nie masz ani jednej.

- Ciii. - Amanda nerwowo obejrzała się, spoglądając na sprzedawczynię. Tamta, na szczęście, nie usłyszała. Albo udała, że nie słyszy.

- Zaczekajcie na mnie w samochodzie.

- Nie będziemy czekać w samochodzie. Jeśli koniecznie tego chcesz, pospacerujemy sobie po mieście.

Chciała zaprotestować, chciała zabronić mu narażania Joeya na spotkanie z Pembroke'ami...

- Będę na niego uważał. Ale nie mam zamiaru siedzieć w samochodzie - powiedział Hawk stanowczo.

- No, dobrze. To nie potrwa długo.

- Znajdziesz nas w lodziarni. - Hawk włożył kapelusz. - Idziemy, Joey. To nie jest sklep dla mężczyzn.

- Cudownie! Już zaczynasz wpajać mu pewnego rodzaju uprzedzenia. Przez ciebie wyrosnie na takiego samego kowboja, który uważa...

Hawk przyciągnął ją do siebie i pocałował. Kiedy odepchnęła go, uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy więcej nie zwracaj się do mnie w ten sposób.

- To dlatego, że... - Zmieszła się. Spojrzała na te usta i zapragnęła znaleźć się z nim gdzieś, sam na sam, i znowu zasmakować tego oszałamiającego pocałunku.

- Och! Idźcie już, wy dwaj. Wybiorę suknię i dołączę do was w lodziarni - zawołała zrezygnowana i odwróciła się do stojącej wśród wieszaków ekspedientki.

Prawda zaś była taka, że po prostu i tak nie była w stanie zmienić Hawka.

- Niemal zapomniałam, że jestem szczęśliwą mężatką - powiedziała Alison. Podała Amandzie dwie suknie.

- Jest niesamowity, prawda? - Amanda uśmiechnęła się wstydliwie.

- A pani szaleje za nim. Zresztą on również, Amanda pokiwała głową.

- Myślę, że ta będzie doskonała - powiedziała Alison, unosząc w jednej ręce długą kreację z kremowego jedwabiu z delikatnie marszczonym karczkiem. - Albo ta - wyciągnęła drugą rękę. - Chociaż jest chyba cokolwiek zbyt wyszukana.

Jedwab i koronki. Jedna piękna i druga śliczna.

- Sama nie wiem, którą wybrać - bąknęła Amanda.

- Proszę więc przymierzyć obie.

Przez następne pół godziny Amanda przymierzała i dobierała dodatki, bieliznę i buty. Zdecydowała się na pierwszą suknię. Tę kremową. Układała się idealnie wokół figury i Amanda czuła się w niej jak królowa. Alison namówiła ją na bardzo odważną bieliznę. Amanda nigdy przedtem nie widziała czegoś tak ażurowego. Do tego przezroczyście pończoszki i jedwabne pantofelki.

- A co zamierza pani włożyć na głowę? Kapelusz czy welon? - spytała Alison, podając Amandzie pudła z zakupami.

- Nie wiem. Nie pomyślałam o tym. Chyba po prostu upnę wło-

sy. - Przez tyle lat nie zwracała uwagi na fryzurę. Miała tylko nadzieję, że jeszcze potrafi się uczesać.

Alison obliczyła należność. Myślała jednak o czymś intensywnie.

- Kiedy wychodziłam za Charliego, miałam na głowie kapelusz - powiedziała. - Kiedyś był biały, ale z biegiem lat zmienił barwę. Teraz nabrał koloru prawie takiego jak ta suknia. Na pewno będzie pasował. Jeśli pani zechce, mogę pożyczyć go pani.

Poznała tę kobietę pół godziny temu, a ona proponuje jej pożyczkę kapelusza?!

- Ja nie...

- Proszę się nie obawiać. On naprawdę będzie pasował do całości. Przecież chciałyby pani wyglądać w tym wyjątkowym dniu jak najwspanialej, prawda?

Przecież to nasz ślub, pomyślała. Chciała być piękna. Choćby tylko przez jeden poranek.

- Bardzo dziękuję - powiedziała. - Jeśli naprawdę nie jest to dla pani kłopot, chętnie skorzystam z propozycji.

- Wspaniale. Mogę przywieźć go pani później?

- Mieszkam na ranczu, za miastem. Może mogłabym odebrać go w dniu ślubu?

- Oczywiście. Mogę przynieść go do kościoła, jeśli pani zechce.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę. Stało się na tym, że Alison przyniesie kapelusz do kościoła i zostanie na uroczystości.

Amanda wyszła ze sklepu, rozglądając się na lewo i prawo. Dostrzegła kilka znajomych twarzy, ale ludzie ci nie zauważyli jej. Daremnie czekała na jakąś uwagę, gdy przedstawiła się Alison. Zapewne ta kobieta po prostu nie słyszała o niej. A w ogóle to wielka frajda takie zakupy. Jeśli jeszcze kiedyś będzie potrzebowała sukienki, na pewno wstąpi właśnie do sklepu Alison.

- Udało się nam - powiedział Hawk, wyjeżdżając z parkingu.

- Co? - rzuciła roztargniona. Układała właśnie na kolanach pudełko z zakupami i bardzo starała się nie pognieść ich.

- Nie wpaść na nikogo, kto miałby coś przykrego do powiedzenia któremuś z nas.



Zerknęła na Joeya i pokiwała głową.

- Wybrałaś ładną sukienkę?

- Mam nadzieję.

- Pokażesz mi ją.

- Nie. Nie można pokazywać ślubnej sukni narzeczonemu. To przynosi pecha. I tak los nas nie oszczędza.

- Nie przejmuj się. Świat mamy u naszych stóp.

Potrząsnęła głową i odwróciła się do okna. Co będzie, jeśli przepowiednie Hawka nie spełnią się? Jeśli Pembroke'owie odbiorą jej Joeya? Czy i wtedy Hawk zostanie z nią? Przecież już nie będzie musiał. Co ona wtedy zrobi?

- Hej!

Drgnęła i obejrzała się.

- Znowu się martwisz. Przestań.

Kiwnęła głową. Wiedziała, że Hawk miał rację.

- Poszliśmy do restauracji i rozglądaliśmy się, mamusiu - powiedział z dumą Joey.

- Joeyu, to miał być sekret - zganił go Hawk.

- Mówiłeś, że przyjęcie to tajemnica - naburmuszył się Joey.

Hawk skrzywił się okropnie.

- Jakie przyjęcie? - spytała ostrożnie Amanda.

- Poczęstunek weselny. Zarezerwowałem salę bankietową „Pod Sosnami”.

- Ależ to najdroższa restauracja w mieście!

- Uspokój się. Przecież to moje pierwsze wesele.

- Zwykle jest tak, że to panna młoda płaci za poczęstunek, więc...

- Chyba że zapłaci pan młody. Psiakrew! Pan młody! Wciąż nie mogę uwierzyć, że to prawda.

- Ja uwierzyłam. Właśnie kupiłam suknię ślubną.

- Której nie chcesz mi pokazać aż do piątku.

- No tak. Walt albo Pepe będą musieli mnie zawieźć. Ty pojedziesz z Mattem albo z Jeremym. Nie możesz zobaczyć mnie przed uroczystością - powiedziała nagle.

- Do diabła. Czy to znaczy, że jutrzejszą noc będę musiał spędzić w baraku?

Skarciła go wzrokiem, wskazując głową przysłuchującego się rozmowie Joeya.

- Tak - odparła.

- Jedną noc chyba jakoś przetrwam - mruknął. Ale wcale nie był przekonany. Przyzwyczyił się już do spania z nią. Ale doskonale wiedział, co robił. Musiał mieć pewność, że Pembroke'owie nie zrobią krzywdy Amandzie i Joeyowi. Chciał dbać o nich i opiekować się nimi. Jego małżeństwo musiało być inne niż małżeństwa jego ojca!

Po kolacji Hawk posłał Joeya, by wraz z Waltem pooglądał telewizję. Potem wyciągnął Amandę na werandę. Usiadł na huśtawce i posadził ją sobie na kolanach.

- A teraz, Amando, chcę zrobić to jak należy. Czy zechcesz wyjść za mnie?

- Myślałam, że to już postanowione - odparła zdziwiona.

- Tak czy nie? Nie kiwaj głową.

- Tak, Hawk. Będę zaszczycona, wychodząc za ciebie.

- Dobrze. - Uniósł ją nieco i sięgnął do tylnej kieszeni. Jedną rękę wyciągnął po jej dłoń, w drugiej trzymał pierścionek z brylantem.

Z trudem powstrzymując łzy, podała mu lewą rękę. Wsunął na jej palec zaręczynowy pierścionek, uniósł jej dłoń i pocałował.

- Och, Hawk! - Uniosła dłoń, wpatrując się w migocący klejnot.

- Jest cudowny - wyszeptwała. Zamrugała powiekami, żeby powstrzymać łzy.

- Miałem nadzieję, że ci się spodoba. - Przytulił ją i pocałował w policzek. Odwróciła głowę. Jej usta odszukały jego wargi. Pocałowali się. Mocno i długo. Serce łomotało gwałtownie w piersi Amandy. Może rzeczywiście wszystko będzie dobrze? A jeśli nawet nie, to nie dlatego, że nie starała się. Zapamięta te chwile na długie lata. Chyba na zawsze. Gdyby tak jeszcze Hawk ją pokochał. Nie można mieć wszystkiego, pomyślała.

Tej nocy Amanda długo nie mogła zasnąć. Podczas obiadu nie odrywała oczu od Hawka. Nie mogła uwierzyć, że już do następnego obiadu zasiądą jako mąż i żona. Nie miała zielonego pojęcia, co

znaczy małżeństwo. Jej matka nigdy nie wyszła za męża. Jonas, Pepe i Walt także nigdy się nie ożenili. Może powinna była sprzedać Hawkowi ranczo, zabrać Joeya i zniknąć? Mogła pojechać do innego stanu, dokąd nie sięgają ręce Pembroke'a.

Wykonała kilka głębokich oddechów, by się uspokoić. Przecież nie było powodów do paniki. Nie działo się nic strasznego. W końcu i tak już sypiała z Hawkiem. Zmienić miało się tylko to, że odtąd będą robić to w wielkim łóżku ustawionym w wysprzątaney tego ranka głównej sypialni.

Miała nadzieję, że Hawk zajmie się hodowlą bydła. Naprawdę nie byłoby to takie złe. Dzięki temu ona mogłaby zająć się ukochanymi końmi.

Był dobry dla Joeya. Kochał go.

Poczuła jego dłoń na swojej.

- Dobrze się czujesz? - spytał miękko.

Kiwnęła głową.

Uważnie patrzył jej w twarz. Potem skinął głową, ścisnął jej palce i cofnął rękę. Długo jeszcze czuła kojące ciepło jego dotyku.

- Pojedź z nami do miasta, Hawk. Uczymy twój kawalerski wieczór - rzucił Jeremy.

- Nie, dziękuję. Daruję sobie.

- Należy ci się ostatni wyskok - nalegał Matt.

Hawk potrząsnął głową.

- Kiedy ostatni raz świętowałem jakąś okazję, skończyło się to bijatyką i wyleciałem z roboty. Tym razem wolę nie ryzykować.

- Spojrzał na Amandę.

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie i uśmiechnęła się. Cały był wtedy poraniony i poobijany. Mimo to stanął w jej obronie. Już pierwszego dnia.

- Poza tym dzisiaj wieczorem zamierzam się przeprowadzić - powiedział Hawk znacząco.

- Możemy ci pomóc - zaoferował Walt.

- Chcielibyście mnie wygryźć, co?

- Przecież wiemy, że jutro szkoda ci będzie czasu na przenosiny - odparł Pepe z błyskiem w oku.

Zawstydzona Amanda spuściła głowę. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Amanda zagryzła wargi, żeby też się nie roześmiać. Ale oczu nie podniosła.

- Ja mogę ci pomóc, Hawk... - powiedział Joey - to znaczy, tato.

- Świetnie, współniku. Przydasz się.

Kiedy już w końcu położyła się do łóżka, nie mogła zasnąć. Nie tylko dlatego, że denerwowała się przed ślubem. Brakowało jej Hawka. Sypiali ze sobą od tak niedawna, a już czuła się osamotniona w swoim wąskim łóżku. Brakowało jej jego ciepła, poczucia bezpieczeństwa w silnych ramionach.

Leżała zapatrzona w gwiazdy za oknem. Dziwnie zrobiło się jej jakoś, kiedy przeniosła swoje rzeczy do pokoju Jonasa. A jeszcze dziwniej, gdy Hawk, przy pomocy Walta i Jeremy'ego, przyniósł tam swój dobytek i rozmieścił go w szafach i szufladach obok jej rzeczy.

Kiedy skończył już porządkować szafę, zatrzymał się na moment i dotknął jej ubrań. Było w tym geście tak wiele erotyzmu, że uśmiechnęła się na samo wspomnienie. Miała nadzieję, że spodoba mu się suknia, którą wybrała i... podniecająca bielizna, którą zamierzała mieć pod nią.

W końcu, wyczerpana, usnęła, wyobrażając sobie minę Hawka, gdy zdejmie z niej suknię następnej nocy.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dzień weselny! Amanda była przerażona. Wciąż nie wiedziała, co powinna zrobić. Joey wpadł do jej pokoju wyjątkowo wcześnie. Jeszcze nawet nie wstała. Wyciągnęła ręce i przytuliła go z całej siły. Był jej największym skarbem. Kochała go nad życie. Wszystko gotowa była zrobić, by go chronić. Nawet wyjść za człowieka, który jej nie kochał.

- Od jutra będę spała z Hawkiem w pokoju Jonasa - powiedziała.

- Czy on zostanie z nami już całkiem na zawsze? - spytał Joey.

- Tak. - Taką przynajmniej miała nadzieję.

- To teraz będę już zawsze z nim, a nie z tobą?

- Och, nie! Będiesz ze mną, kochanie. Po prostu dołączy do nas jeszcze Hawk.

- On powiedział, że muszę oddać mu ciebie. Nie chcę oddawać cię, mamusiu, ale Hawk powiedział, że muszę.

Roześmiała się i przytuliła go jeszcze mocniej.

- Hawkowi chodziło o to, że w kościele podejdiesz ze mną do ołtarza i powiesz, że zgadzasz się, żebym za niego wyszła. Nie zamierzam cię zostawić... nigdy cię nie opuszczę.

- To dobrze. - Joey uśmiechnął się. - Kocham cię.

- I ja ciebie kocham.

Ubierała się powoli, w skupieniu. Uczesała się. Zrobiła dyskretny makijaż. Przyjrzała się sobie w lustrze z zadowoleniem. Nikt, patrząc na nią, nie mógł domyślić się, jak szybko pokochała człowieka, za którego miała wyjść za mąż. Zresztą, czy coś w tym złego? Przecież to była prawda. Nie musiała się wstydzić. Tylko lękała się trochę powiedzieć mu to.

Włożyła nową bieliznę. Poczuła się niezwykle pociągająca. Po-

tem włożyła pończochy. Nigdy przedtem nie nosiła pończoch. Wyprostowała stopy i z uznaniem przyjrzała się swoim nogom. Były naprawdę zgrabne. Miała nadzieję, że Hawk też tak uważał.

Na koniec włożyła suknię. Zasunęła zamek, wygładziła fałdki i stanęła przed lustrem. Suknia leżała na niej idealnie. Pastelowy odcień jedwabiu podkreślał jej karnację. Uśmiechnęła się. Wyglądała naprawdę wspaniale.

Zeszła na dół, gdzie czekali już Walt i Pepe. Obaj w eleganckich garniturach, w błyszczących jak szkło wysokich butach i w najlepszych kapeluszach.

- Ho, ho! Ale ładnie wyglądasz! - bąknął Walt.

- Wspaniale wyglądasz, Amando. Szkoda, że nie ma tu z nami Jonasa - powiedział Pepe, uśmiechając się szeroko.

- Też chciałabym, żeby tu był. Brakuje mi go - wyznała. Poruszyło ją do głębi wrażenie, jakie zrobiła na starych przyjaciółkach.

- Zawsze cię kochał. Tak jak my. Chciał, żebyś była szczęśliwa. Myślę, że polubiłby Hawka. Nawet gdyby nie uważał go za najlepszego kandydata na męża dla ciebie. Ale my będziemy mieli go na oku.

- Tak jest, szefowo - dodał Pepe. - Gdybyś kiedykolwiek była w potrzebie, pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na nas.

- Dziękuję - powiedziała ze wzruszeniem. Przytuliła ich po kolei. Pod powiekami poczuła łzy. - My się tu rozczulamy, a tam pastor czeka. Nie każcie mi płakać, bo rozmaże mi się makijaż.

- Chcieliśmy tylko, żebyś wiedziała, co do ciebie czujemy.

Kiwnęła głową i zawołała Joeya. Po kilku minutach, ściśnięci jak śledzie w beczce, jechali starym fordem Walta do Tagget.

Przed kościołem czekała już Alison Towers. A tuż przy niej wysoki, szczupły zastępca szeryfa. Serce podeszło Amandzie do gardła. Czyżby Pembroke'owie przystali go po Joeya? Przecież Mitzy powiedziała, że dziecko może zostać z matką aż do ostatecznego wyroku sądu.

Walt zatrzymał auto tuż przy kościele. Alison podeszła, żeby przywitać Amandę. Zastępca szeryfa wolno szedł za nią.

- Odstawię samochód na parking i zaraz wrócę - powiedział Walt, kiedy wszyscy wysiedli.

- Cześć! - powiedziała Alison.
- Cześć! Cieszę się, że przyszłaś.
- Wspaniale wyglądasz. W zakrystii jest mały pokój, gdzie możesz dokończyć przygotowania. Cześć, Joeyu.
- Cześć. - Joey zza pleców Amandy przyglądał się nadchodzącemu zastępcy szeryfa.
- Amando, chciałabym przedstawić ci Charliego, mojego męża. Charlie, to jest Amanda... Rety! Nawet nie znam twojego nazwiska.
- No, cóż. Jeszcze przez kilkanaście minut Williams. Potem Blackstone.
- Żenimy Hawka - powiedział Joey. - Czy to prawdziwy rewolwer?

Charlie kiwnął głową.

- Nie do zabawy - powiedział z uśmiechem.
- Jejku! - Oczy Joeya zrobiły się ogromne ze zdumienia.
- Chodźmy od środka. Już prawie dziesiąta. Nie chciałabym, żeby ten gość, za którego masz wyjść, musiał czekać - powiedziała Alison. - Czy Charlie może pójść ze mną?

- Oczywiście - odparła Amanda. Więcej gości, więcej radości.

W dwie minuty wszystko było gotowe. Wspaniałe kapelusze doskonale uzupełniały kreację. Amanda długo stała przed lustrem. Hawk mógł być z niej dumny.

- Proszę. Hawk kazał dać ci to. - Alison wręczyła jej ogromne białe pudło. - Idę już, żeby zająć miejsce. Powiem organiście, że jesteś gotowa.

- Organiście?
- Przecież musi grać, kiedy będziesz szła przez kościół. - Alison pomachała jej ręką i zniknęła.

Amanda otworzyła pudło. Wewnątrz leżała ślubna wiazanka.

Łzy spłynęły jej po policzkach.

- Co się stało, mamusiu? Skaleczyłaś się? - spytał Joey.
- Chyba twoja mama staje się sentymentalną starą babą. - Ostrożnie wydobyła bukiet białych róż przewiązanych kremową wstążką. Przycisnęła wiazankę do piersi. Była panną młodą!
- No, Joey, ruszajmy. Jesteś gotów?

- Tak!

Trzymając go za rękę, czekała na pierwsze tony marsza weselnego. Gdy zabrzmiały, ruszyła do ołtarza. Do Hawka.

Kościół był pełen ludzi. A przecież zaprosiła tylko niewielu przyjaciół. Mitzzy zgodziła się być jej druhną. W pięknej ciemnoróżowej sukni stała przed ołtarzem. Wysoki mężczyzna obok Hawka musiał być jego bratem. Po lewej stronie siedzieli Walt i Pepe. Po prawej Matt, Karen i Jeremy. Alison z mężem tuż za nimi.

Nie spodziewała się tylu gości.

Hawk miał na sobie ciemnoszary garnitur, olśniewająco białą koszulę i błękitnosrebrny krawat. Stał dumny, wyprostowany i patrzył na nią.

Była piękna. Lśniące kasztanowe włosy spływające na plecy przywołały mu przed oczy obrazy z ich wspólnych nocy. Suknia leżała na niej idealnie. Podkreślała jej szczupłą sylwetkę i długie nogi. Coś ścisnęło go za gardło.

A Amanda stanęła tuż przy nim i uśmiechnęła się.

Gdy wziął ją za rękę, poczuła, że i on ma na palcu zaręczynowy sygnet. Zamknęła oczy. Jak mogła zapomnieć?! Na szczęście on pamiętał. Skupiła uwagę i wsłuchiwała się w słowa wypowiedane przez wielbego Pattersona.

Kiedy padło pytanie, kto oddaje tę kobietę narzeczonemu, Amanda schyliła się nieco i ścisnęła rękę Joeya. Chłopczyk uśmiechnął się.

- Wszystko w porządku, że mamusia wychodzi za Hawka - powiedział głośno i wyraźnie.

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

Hawk schylił się i wziął chłopca za drugą rękę.

- Dzięki, współniku - szepnął.

Dalej wszystko poszło jak z płatka. Gdy przyszła pora na pocałunek, Hawk mocno przywarł wargami do jej ust.

Joey pociągnął go za rękę.

- Znowu te głupie bzdury - powiedział.

- Coś mi się zdaje, że zostałem zbesztany za te głupie bzdury - szepnął Hawk prosto w ucho Amandy. Potem wyprostował się i odwrócił do przyjaciół.



Amanda nie miała czasu przywyknąć do zaręczynowego pierścionka. Prędko zamieniła go na ślubną obrączkę. Przez całą drogę do domu przyglądała się swojej dłoni. Wnętrze samochodu wypełniał odurzający zapach kwiatów z bukietu. Kiedy uroczystości dobiegły końca, oddała kapelusz Alison i teraz ciepły wiatr tarł jej włosy.

To był naprawdę cudowny dzień. Poznała brata Hawka i polubiła go natychmiast. Przemili okazali się także Alison i jej mąż. Amanda zaprosiła ich na niedzielę na ranczo. Ale Alison, na przekór dystyngowanemu wyglądowi, nalegała, by pozwolono jej popracować na gospodarstwie ze dwa dni.

Mitzy została na poczęstunku. Potem przeprosiła i wyszła. Musiała wrócić do pracy. Przed wyjściem odciągnęła Amandę na bok. Powiedziała, że jej zdaniem ten ślub definitywnie przekreślił wszelkie szanse Pembroke'ów na uzyskanie opieki nad Joeyem.

A Hawk nie odstępował jej ani na krok. Stale był przy niej. Gdy rozmawiał z bratem czy z Charliem Towersem, bawił się kosmykami jej włosów. Kiedy gawędził z Mattem i Karen, trzymał ją z ręką. I, oczywiście, mocno ścisnął jej dłoń, gdy krojła weselny tort.

To był naprawdę cudowny dzień. Westchnęła.

- Jesteś zmęczona? - spytał Hawk.
- Troszeczkę. Wszystko poszło wspaniale, prawda?
- Obawiałaś się czegoś złego?
- Bałam się trochę, że Pembroke zechce spróbować przerwać ceremonię. Albo że będzie chciał rozmawiać z Joeyem - przyznała.
- I ja czekałem na to - mruknął groźnie.
- Co mówiłeś?
- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł sprać go na kwaśne jabłko.
- A ja - zachichotała - zupełnie nie byłabym szczęśliwa, gdyby mój mąż spędził noc poślubną w areszcie.
- Zauważyłaś, że nie było mnie przy tobie ostatniej nocy?
- Musiałam. Tęskniłam za tobą całą noc - powiedziała.
- Chyba jednak nie tak jak ja, kochanie. Skoro Walt i Pepe zostali w mieście i obiecali dopilnować Joeya, mamy całe ranczo dla siebie.
- Wspaniale. Tylko ja i ty.

- Wciąż myślę o tym nowusieńkim łóżku, I o nas.
- To jest to - powiedziała.

Hawk zatrzymał samochód przy drzwiach kuchennych. Położył rękę na ramieniu Amandy i powiedział:

- Zaczekaj.

Potem wysiadł, obszedł auto dookoła, otworzył drzwiczki po jej stronie i wziął żonę na rękę.

- Witaj w domu, pani Blackstone - powiedział, wchodząc na schody.

- Przenosisz mnie przez próg? - spytała rozpromieniona.

- Sama rozumiesz, taki zwyczaj.

- Tak - uśmiechnęła się. W jednej ręce trzymała wiązanekę, drugą objęła go za szyję.

Przeniósł ją przez próg i wszedł po schodach na górę. Podeszedł do nowego łóżka i postawił Amandę na podłodze.

- Czy podziękowałam ci za kwiaty? - spytała. - Są prześliczne. Wyjął bukiet z jej dłoni i rzucił na krzesło.

- Ty jesteś prześliczna. Serce mi zamarło, gdy ujrzałem cię idącą przez kościół. - Schylił się i pocałował ją.

Zadrzała. Każdym nerwem pragnęła go. Jak jeszcze nigdy przedtem. Zagubiona w objęciach człowieka, któremu ofiarowała wszystko. Człowieka, który był już jej mężem.

Hawk dotknął jej pleców. Niecierpliwie szukał zamka. Kiedy już go znalazł, wolniutko rozsunał suwak. Zsunął suknię z jej ramion, cofnął się o krok i wbił wzrok w koronkowy staniczek.

- O... kurczę... Chcesz, żebym oszalał? - Dotknął ostrożnie delikatnej koronki.

Amanda uśmiechnęła się.

- Kupiłam sobie trochę zabawnej bielizny - powiedziała zalotnie.

Hawk jęknął głucho, pochylił się i sięgnął ustami do wypychającej delikatną materię sutki.

Ścisnęła go za rękę. Serce zaczęło jej bić gwałtownie, a wszystko wokół niej zawirowało.

Zsunął suknię z jej bioder i pozwolił opaść na podłogę. Oparł czoło o czoło Amandy i powiedział:

- Nawet pani nie uwierzy, pani Blackstone, ile razy miałem ochotę zrobić to, gdy szła pani przez podwórze. - Położył dłonie na jej pośladkach i przycisnął je do swych bioder. - Ileż to razy chciałem zawlec cię na siano i kochać się z tobą.

- Hawk! - zawołała zdumiona. Pogłaskała go po twarzy. Nikt przedtem nie pożywał jej aż tak. Nie przypominał żadnego z mężczyzn, których spotkała. Przytuliła się do niego, przywarła z całej siły, czując wyraźnie potęgę jego pragnień.

Objął ją niecierpliwie i położył na łożku. Gwałtownymi ruchami zerwał z niej skąpe elementy odzieży.

Amanda leżała z bijącym sercem. Chciała powiedzieć coś, lecz nie umiała znaleźć słów. Potem było już za późno. Hawk zakrył jej usta namiętym pocałunkiem, wplótł dłonie w długie, jedwabiste włosy. Rozsunął jej uda i wolniutko wsunął się w nią.

Uniósł się nieco, ujął jej twarz w dłonie i powiedział:

- Powiedz mi, czego pragniesz, a zrobię wszystko co tylko w mojej mocy, by ci to dać.

Objęła go mocno. Wiedziała, że miał poczucie winy. Była pewna, że nie zamierzał zostawać na stałe, że chciał znaleźć własny dom. A tu... Nie rozumiała. Lecz na dnie jej duszy zajaśniał ogień nadziei. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie wiedziałam... - Zamrugowała gwałtownie powiekami, ale nie zdołała zatrzymać strumieni gorących łez.

- Och, kochanie, nie płacz. - Całował ją gorączkowo, usiłując powstrzymać ten potop.

Jego pocałunki, jak zwykle, rozpałiły ją. I po chwili oboje pędzili przez płomienie rozkoszy, aż na sam szczyt, do końca.

Amanda uspokajała się z wolna, rozkoszując się ciężarem ciała Hawka na sobie. Głaskała jego potężne ramiona. Zachwycało ją, że każdy mięsień zaczynał drżeć pod dotknięciem jej palców.

- Zrobione - mruknął, całując ją w szyję.

- Co zrobione? - zdziwiła się.

- Nasze małżeństwo zostało skonsumowane - oświadczył z dumą.

- To dlatego tak spieszyliśmy się do domu? Żeby skonsumować nasz związek? - spytała.

Hawk obrócił się na plecy, pociągając ją ze sobą. Odgarnął jej włosy z twarzy i spojrzał głęboko w oczy.

- Chciałem, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik.
- Dlaczego?
- Dla pewności.

Przyglądała mu się z rosnącą miłością. On nie był pewien? Ożenił się z nią, by ratować Joeya, a zależało mu, by wszystko było jak należy. Zrozumiała, że kocha go do szaleństwa. Zapagnęła powiedzieć mu o tym... lecz coś ją powstrzymało. On nigdy nie powiedział, że ją kocha. Wołała więc nie odzywać się. Na razie.

Dopóki nie wyjaśni się sprawa Joeya.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zmiany, jakie nastąpiły w ciągu następnych dwóch tygodni, wprawiły Amandę w osłupienie. Hawk skontaktował się ze starymi kumplami z rodeo i w całym gospodarstwie zawrzała intensywna praca. Odmalowano wszystkie budynki, wyreperowano ogrodzenie wybiegu dla koni. Cztery dodatkowe pary rąk do pracy sprawiły, że robota szybko posuwała się naprzód, ale też Amandzie znacznie przybyło zajęć w kuchni. Coraz więcej czasu spędzała w domu. Dzięki temu mogła więcej uwagi poświęcić synowi. Kupiła mu na urodziny kuca i każdą wolną chwilę poświęcała na naukę jazdy i opieki nad zwierzęciem. Odbyła się nawet niewielka uroczystość. Od zatrudnionych na ranczu mężczyzn Joey dostał nowe siodło i uprząż.

Odwiedził ich także inspektor społeczny. Joey doskonale dał sobie radę z testem. Wypadł nawet lepiej niż wielu jego rówieśników. Inspektor napisał też w raporcie, że chłopiec jest szczęśliwy i bardzo dobrze rozwinięty. A także, że gospodarstwo sprawia wrażenie zadbanego i dobrze prosperującego.

Żaden prawnik nie skontaktował się z nimi.

Joey jeździł na kucyku wokół wybiegu, a Amanda zastanawiała się nad przyszłością. Kochali się z Hawkiem każdej nocy. Bez żadnych zabezpieczeń. Czyżby rzeczywiście zamierzał zostać z nią na zawsze? Pragnęła tego. Lecz póki nie miała pewności co do losu syna, nie mogła snuć marzeń o własnej przyszłości.

Zadzwonił telefon. Amanda odebrała go w stajni. To była Mity.

- Wycofali pozew - powiedziała prawniczka bez żadnych wstępów. - Twój mąż udowodnił im, że nie mają żadnych szans na zwycięstwo. Natomiast proces mógłby tylko dokumentnie zbrukać pamięć Bobby'ego Jacka. Pani Pembroke nie przeżyłaby tego. Już nie zamierzają was nękać.

Nogi odmówiły Amandzie posłuszeństwa. Wolno osunęła się na ziemię.

- Jest mój? - Poczowała ogromną ulgę. Strumienie łez spłynęły jej po policzkach. Strach odleciał, przepadł. Nie musi oddawać swojego syna!

- Dziękuję, Mitzy - wyszeptwała.

Prawniczka drobiazgowo relacjonowała wszystkie szczegóły sprawy, lecz do Amandy prawie to nie docierało.

Pół godziny później siedziała na nowym ogrodzeniu wybiegu dla koni i przyglądała się Joeyowi jeżdżącemu na kucu. Kiedy usłyszała zbliżających się jeźdźców, zaczęła biec ku nim z twarzą promieniącą radością.

- Jest mój! Wycofali pozew - krzyknęła, gdy podjechali bliżej. Hawk spiął konia i w mgnieniu oka był tuż przy niej. Schylił się, chwycił ją pod ramiona i posadził przed sobą.

- Czemu tak wrzeszczysz, kobieto? - spytał, uśmiechając się radośnie.

- Joey jest mój. Pembroke'owie wycofali pozew! - Radość wprost rozsadzała Amandę. - Hawk, ty to sprawiłeś. Tak jak obiecałeś. Nie będzie żadnego procesu!

- To wspaniale.

- Ale to jeszcze nie wszystko - powiedziała. Pozostali mężczyźni minęli ich, dotykając rond kapeluszy.

- Tak?

Kiedy jeźdźcy kolejno znikali w stajni, Amanda z powagą popatrzyła na Hawka.

- Z tego, co mówiła Mitzy, zrozumiałam, że większość mieszkańców miasta była po mojej stronie. Zaczęły krążyć na temat Pembroke'ów nieprzychylnie komentarze. Ktoś zaczął wypytywać ludzi o mnie... o moją reputację. Próbowano znaleźć kogokolwiek, z kim kiedykolwiek umówiłam się na randkę. I udało się dotrzeć tylko do Jeffa Morgana. Spotkałam się z nim, gdy chodziłam... do szkoły podstawowej.

Hawk ściągnął wodze, zawrócił konia i wolno ruszył w stronę wzgórz.

- Jak to się mogło stać? - spytał.

- Przecież to twoja robota, nieprawdaż? To ty nastraszyłeś Pembroke'ów. A potem całe miasto. - Objęła go i pocałowała. - Dziękuję. Ocaliłeś dla mnie syna.

- Ależ nie, kochanie. I tak nigdy by go nie dostali. Obiecałem ci to, pamiętasz? Poza tym to jasne, że jeśli Bobby Jack kłamał, wypierając się ojcostwa Joeya, to mógł kłamać i w innych sprawach.

Pokiwała głową. Nagle zorientowała się, że oddalają się od domu.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedział poważnie.

Strach ścisnął jej serce. Nie chciała rozmawiać. O czymkolwiek. Chciałaby móc rozkoszować się ulgą i radością, że wyjaśniła się sprawa Joeya. Bała się, że usłyszy coś, czego usłyszeć nie chciała.

Czyżby zamierzał oznajmić jej, że wyjeżdża? Przecież nie istniały już przyczyny, dla których ożenił się z nią. A może zadzwonił jego agent?

- Powinnam wrócić do Joeya - powiedziała niepewnie.

- Jest przy nim wielu ludzi. Na pewno potrafią dopilnować chłopca.

Nerwowo wytarła w spodnie zwilgotniałe dłonie. Chciała odwrócić się od męża, lecz, wciśnięta w siodło, nie mogła się poruszyć.

- O czym chcesz rozmawiać? - spytała. Wykonała kilka głębokich oddechów, by uspokoić nerwy. Jeśli zamierzał opuścić ją, musiała przyjąć to spokojnie. Nie będzie urządać scen. Pomógł jej i tego nigdy mu nie zapomni. Ale nie będzie prosić go o cokolwiek.

- Rozmawiałem dzisiaj z Tomem Standishem - oznajmił.

- Co? - spytała kompletnie zaskoczona.

- Tak. Powiedziałem mu, że gdyby był zainteresowany, gotów byłbym odkupić od niego trochę ziemi.

- Co mu powiedziałeś?! - Szeroko otwarła oczy. Komizm sytuacji omal nie zmusił jej do śmiechu. - To on próbował wykurzyć mnie stąd, żeby zdobyć moje ranczo, a ty mówisz mu, że chcesz kupić kawałek jego ziemi?!

- Tak jest. - Hawk wysoko uniósł brwi. - Widzisz tu jakiś problem?

- Nie - zachichotała. - Żałuję, że nie mogłam zobaczyć jego miny.

- No, cóż. Był nieco... zaskoczony.  
- I co odpowiedział?  
- Że prędzej mu kaktus na dłoni wyrośnie. - Hawk wzruszył ramionami. - Potem porozmawiałem jeszcze z innymi sąsiadami. Pewnego dnia ktoś będzie chciał sprzedać kilka akrów.

Rozejrzała się, kompletnie zdezorientowana. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- To znaczy, że zostajesz? - spytała w końcu.  
- Zostaję? Gdzie?  
- Tutaj.  
- Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Ściągnął cugle i zatrzymał konia.

Westchnęła głęboko.

- Czy zamierzasz zostać w „Królewskim Pokerze” ze mną i Joeyem? Pembroke'owie wycofali pozew i niebezpieczeństwo już minęło. Przecież wiem, że wędrujesz z miejsca na miejsce w poszukiwaniu swojego rancza.

Spojrzał na nią badawczo.

- Chcesz powiedzieć, że zwalniasz mnie?! Że mnie wyrzucasz?  
- Nie! - Amanda zauważyła zbliżające się niebezpieczeństwo.  
- Nie, Hawk! Nie chcę, żebyś wyjechał. Nigdy!

- To o czym ty właściwie mówisz?

- Przecież wiem, że ożeniłeś się ze mną, żeby ratować Joeya.

Zacisnął pięść i przytknął do jej podbródka. Uniósł twarz Amandy i musnął ustami jej usta. Potrząsnął głową.

- Doskonale wiesz, kochanie, że ożeniłem się z tobą, bo pragnąłem ciebie. I kiedy już cię mam, nigdy cię nie opuszczę.

Poczuła ucisk w gardle. Lecz musiała przecież wykorzystać taką szansę.

- Mnie się zdaje, że to jest miłość - powiedziała.

- Mnie też - stwierdził ze zdziwieniem.

- Hawk?

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jak mogłaby to nie być miłość? Czy uważasz, że ożeniłbym się z kobietą, która nie miała ani jednej sukienki, ale za to była



właścicielką podupadającego rancza i w dodatku prowadziła wojnę z całym miastem, gdybym jej nie kochał? Co by zatem miały oznaczać ostatnie tygodnie, złotko? Tylko łóżkowe zabawy?

Amanda pokręciła głową.

- Wysłałam za ciebie, bo cię Kocham - powiedziała po prostu.

- Najdroższa. - Przytulił ją. - Czasem wydaje mi się, że Kocham cię od chwili, gdy usiadłem przy tobie w restauracji i z żalem myślałem, że chyba nie jesteś pełnoletnia. Wpadłem jak śliwka w kompot. Kochałem cię, gdy krzątałaś się po gospodarstwie, pracując ponad swoje siły. Podziwiałem twoją szaleńczą odwagę w walce z całym miastem. I ceniłem twoje podejście do syna - pocałował ją. - Chciałbym zobaczyć pewnego dnia, że tak samo zabiegasz o nasze dzieci.

Szczęście wypełniło duszę Amandy.

- Nie wiedziałam - powiedziała.

- Teraz już wiesz. Ale nie musimy chyba robić z tego powodu jakichś głupich bzdur, prawda?

Roześmiała się.

- Może spróbujemy - poprosiła. - Szczególnie tych, od których przybywa dzieci.

- A jak myślisz, dlaczego musimy powiększyć ranczo? Potrzebujemy dużo przestrzeni, żeby pomieścić wszystkie dzieci.

- Ile zamierzasz ich mieć? - spytała.

- Ile tylko zechcesz, Kochanie. Każde i tak będzie wyjątkowe. Tak jak Joey. Bo ty je urodzisz.

Nie była w stanie wymówić ani słowa. Zdołała tylko objąć męczyznę, którego kochała. Już wiedziała, że czeka ich szczęśliwa przyszłość.